

Halina popławska
Cień dłuższego ramienia

Pamięci Pani Marii Milewskiej kustosza Biblioteki Narodowej
HALINA POPLAWSKA
Wydawnictwo „Alfa” Warszawa 1993
Projekt okładki i strony tytułowej Katarzyna Potkańska
Redaktor Urszula Przasnek
Redaktor techniczny Teresa Jądra

w

I wydanie: Iskry, Warszawa 1968 Copyright © by Halina Popławska 1993
ISBN 831-7001-701-0

Prolog

Noc była niezwykle ciemna, gdy dwaj jeźdźcy stanęli u klasztornej furty. Jeden z przybyłych zeskoczył z konia i ujął rączkę dzwonka. Po chwili w bramie otwarło się okienko, ukazując wystraszoną twarz furtiana.

– Do księdza przeora...

– O takiej porze? Czy do chorego? – zaniepokoił się zakonnik.

– Ksiądz przeor uprzedzony, oczekuje nas – tłumaczył półgłosem przybyły, podczas gdy furtian rzucał niepewne spojrzenia na konie i na sterzące z olster pistolety.

– Czasy niespokojne – mrucał – zjawiają się tu różne łązęgi...

– Proszę zawiadomić księdza przeora – przerwał niecierpliwie nieznajomy. – Spiesz nam się...

– Już idę, idę! – Furtian zatrzaskał okienko, po czym usłyszano klekot drewnianych sandałów na kamiennych płytach dziedzińca.

– Źle trafiliśmy – burknął jeździec, który dotąd nie opuścił końskiego grzbietu.

W tej chwili ciemna fasada klasztoru rozbłysła migocącym płomykiem, a na podwórzu zastukały szybkie kroki. Brzęknę-

5

ły łańcuchy, zgrzytnął klucz w monumentalnym zamku, skrzypnęły zasuwki i brama otwarła się gościnnie. Konie, ostrożnie stąpając w ciemnościach, kierowane pewną ręką, weszły na dziedziniec. Z mroku dolatywały szepty, krzątanina zaniepokojonych nocną wizytą zakonników.

Drugi jeździec, ujrawszy się bezpiecznym w otoczonym murami podwórzu, zsiadł z konia, przytrzymując fałdy szerokiego płaszcza, którym okrywał spora skrzynkę z dębowego drzewa, błyskającą brązowymi okuciami starej i pięknej roboty. Przybyli ujęli sterzące po bokach skrzynki rączki i, zwracając się do drepczącego wśród koni furtiana, poprosili stanowczo:

– A teraz do księdza przeora, braciszku.

Zakonnik, posłuszny widać rozkazom otrzymanym od zwierzchnika, poprowadził gości w stronę głównego budynku, zaryglowawszy przedtem starannie bramę i ustawivszy na straży przy furcie młodego mnicha, który skinieniem głowy odpowiedział uspokajająco na zalecenia furtiana.

W wielkiej sieni o bielonych wapnem ścianach, przeciętych ogromnym czarnym krzyżem, na kamiennej posadzce stała latarnia z osadzoną wewnątrz łożową świecą. Przy mdłym światelku chwiejącym się w ręku furtiana, przybysze weszli na pierwsze piętro i długim korytarzem, znacznym po obu stronach drzwiami cel, doszli do otwartej na oścież pracowni przeora.

Na szerokim, założonym księgami stole, płonęły dwie grube świece w wysokich mosiężnych lichtarzach. Nieznajomi zatrzymali się u progu, ale już przeor zapraszał do siebie, ruchem ręki odprawiając furtiana.

– Niech będzie pochwalony – zaczął ten z przybyłych, który dzwonił do furty.

– Na wieki wieków – odparł dźwięcznym barytonem przeor. – Witam, panie Aleksandrze.

Nocny gość, tak nazwany, rozejrzał się ciekawie po celi,

6

po czym postąpił krok naprzód ukazując młodą twarz z opadającym na czoło jasnym kosmykiem.

– Mój przyjaciel, Barnaba Michałowski – przedstawił towarzysza. – Przywieźliśmy

skrzynkę.

Przeor obrzucił Michałowskiego baczny spojrzeniem, zatrzymując wzrok na czarnych, dziwnie błyszczących oczach młodego człowieka.

– Czy... nikt nie widział? – spytał.

– Nikt.

– To dobrze. Zbytek ostrożności nigdy nie zawadzi. A więc to ta skrzynka?

– Tak.

– Czy tylko wy dwaj...

– Tylko – przerwał Michałowski.

– I to wszystko, co zostało?

– Wszystko. Resztę zabrali. Tyle tylko udało się uratować i jeśli ksiądz przeor przechowa...

– Dobrze ukryję, nie bój się, panie Aleksandrze. Nikt nie znajdzie, a jeśli nas nie stanie, przeleży do Sądneho Dnia.

– Chcielibyśmy znać miejsce – wtrącił znowu Michałowski. – Chyba tak będzie lepiej; mimo wszystko ktoś z nas przeżyje...

Wzrok przeora poszukał ciemnych źrenic gościa, po czym spoczął na skrzynce.

– Piękna robota – szepnął dotykając okuć – i stara. Kryjówka tego nie zniszczy, o nie, wybrałem dobre miejsce. – Następnie wyprostowawszy wysoką postać dodał poważnie: – Poczekajcie chwilę, zaraz wam służyć.

Po tych słowach przeszedł do sąsiedniej izby, skąd wyniósł zapaloną latarnię i zdmuchnąwszy świecę skierował się ku drzwiom, dając znak młodzieńcom. Goście ujęli skrzynkę i pospieszyli za nim.

Przeor sunął korytarzem, a młodym ludziom zdawało się, że obeszlą gmach dokoła, tak długo wędrowali. Dotarli wresz-

7

??? do wąskich schodów prowadzących do podziemi. W całym budynku panowała ciemność i cisza, jak gdyby oprócz nich nie było tu żywej duszy, choć klasztor zamieszkiwało kilkudziesięciu mnichów. Schodzili powoli, obarczeni ciężarem, a przeor oświetlał drogę, prowadząc krętym, podziemnym chodnikiem.

– Niedobrze w piwnicy – mruknął Michałowski. – W razie pożaru nikt się nie dostanie, by ratować skrzyńkę.

– Nie w piwnicy ją schowamy – odparł przeor spokojnie – już ja coś dobrego umyśliłem. Zobaczycie. – Po tych słowach pchnął niskie drzwi w gładkim murze. Owionęło ich chłodne powietrze i znaleźli się w ogrodzie, tak się przynajmniej zdawało przybyszom.

Przeor zgasił latarnię. Wiatr huczał w czubach wysokich topoli. Byli na tyłach głównego budynku, tak ustawionego, że piwnicom frontowej fasady odpowiadały parterowe izby wychodzące na ogród po przeciwległej stronie gmachu.

– Zimna noc – szepnął przeor wsuwając ręce w szerokie rękawy habitu.

Młodzi ludzie rozglądali się zaciekawieni, lecz ciemności były tak gęste, że z trudem dostrzegali skrzynkę stojącą na wyżwirowanej ścieżce.

– Chodźmy dalej – przemówił wreszcie przewodnik, gdy goście odpoczęli nieco, i szybko zagłębił się w mrok.

Ogród okazał się bardzo rozległy, szli bowiem długo, w milczeniu, zapuszczając się w coraz to inne alejki wśród prastarych drzew. Na koniec przystanęli na otwartej przestrzeni, pośrodku jak gdyby wielkiego trawnika. Przeor wskazał majaczący w ciemności zarys krzyża.

– To tu – powiedział krótko.

– Tu? – zdziwił się Michałowski.

Przeor podszedł tuż pod wielki marmurowy krzyż, wyrastający z granitowego postumentu.

8

– W tym miejscu przed trzydziestu laty rozstrzelano dwóch braci – szepnął. – Krzyż stoi na pamiątkę. Przyjrzyjcie się dobrze, widzicie, że ramiona nierównej są długości?

Młodzieńcy wyteżali wzrok, by pochwycić różnicę.

– Dłuższe ramię – ciągnął przeor zniżonym głosem – zapamiętajcie dobrze. To właśnie tu.

Goście śledzili z uwagą każdy jego ruch.

– Wszystko wam wypisałem, kiedy, jak i co należy czynić. A teraz do roboty.

W godzinę potem nocni przybysze opuszczali celę przeora. Jasnowłosy Aleksander chował do portfela gęsto zapisaną kartkę papieru. Wszyscy trzej byli niezwykle poważni.

– Wiecie więc wszystko – kończył przeor rozpoczęte przedtem wyjaśnienia. – Jeśli nikt z nas nie przeżyje, przeleży do Sądneho Dnia. Wierzę jednak, że wróćcie. Ja może nie doczekam, ale wy, młodzi... Goście pochyłili się do jego ręki. Czarne źrenice Michałowskiego błysnęły, po czym skryły się pod powiekami.

– Odprowadzę was do furty; o świcie musicie już być daleko. Pozbawieni ciężaru zbiegali lekko po szerokich, kamiennych schodach, przemierzali olbrzymią sień i podwórze. Konie zarżały cicho, poczuwszy panów. Z mroku wyrosła drobna postać furtiana, znowu brzęknęły łańcuchy, sztaby, zaskrzypiały zasuwy i zazgrzytał klucz. Konie niecierpliwiły się i parskały głośno. Po chwili tylko cichnący w oddali tętent przypominał niedawną wizytę. Słaby płomyk zgasł, pograżając w mroku wyniosłą fasadę klasztoru. Drzewa szumiały wstrząsane wiatrem. Ciemność była nieprzenikniona.

W sto lat później

i

Minał prawie rok od chwili, gdy Broniś Mączyński po raz pierwszy jako pracownik przestąpił masywny próg Biblioteki Narodowej. Ukończył właśnie studia na Uniwersytecie Warszawskim i rozglądał się za pracą, a ponieważ był nieśmiały, małowówny i nie lubił wysuwać się na plan pierwszy, poszedł za radą ciotki Zuzanny i pewnego dnia znalazł się przed drzwiami gabinetu dyrektora Biblioteki Narodowej, oczekując na decydującą o jego losie rozmowę.

Dyrektor znajdował się gdzieś na terenie Biblioteki i Broniś, przygotowany na dłuższe czekanie, zapadł w przytulne objęcia stylowej kanapy.

Przez wielki, mroczny hall przewijało się wiele osób, czytelników i interesantów,

wśród których łatwo było rozpoznać pracowników Biblioteki, ubranych w ciemnozielone fartuchy.

Broniś czekał dość długo i pochłonięty obserwacją nie zauważył szczupłego pana, który szybkim krokiem przemknął obok kanapy, niknąc w drzwiach dyrektorskiego gabinetu. Głos portiera wyrwał go z zamyślenia:

– Kogo mam zameldować?

– Mączyński, Bronisław Mączyński – odrzekł, zrywając się pospiesznie.

11

– Pan Mączyński – zaanonsował portier otwierając drzwi i usunął się, by przepuścić gościa.

Dyrektor mył ręce nad umywalką w kącie gabinetu.

– W tej chwili panu służę – powiedział wesoło – tylko zmyję kurz wieków, wracam z magazynu.

Po czym wskazał przybyłemu fotel, sam zajmując miejsce za wielkim, zarzuconym papierami biurkiem.

– Pragnąłbym pracować w Bibliotece Narodowej – zaczął cicho Broniś, przerażony własną odwagą. – Ukończyłem historię... znam trochę francuski... niestety nie mam pojęcia o bibliotekarstwie... Czy się na co przydam?

– Przyda się pan – przytaknął dyrektor, patrząc życzliwie na młodego człowieka. Sporo było jeszcze formalności do załatwienia, sporo papierków i zaświadczeń do zdobycia, Broniś jednak szczęśliwie przebył życiowy Rubikon i wkrótce powiększył grono pracowników Biblioteki.

– Sądząc po odźwiernym i dyrektorze – zwierzał się pewnego wieczoru ciotce Zuzannie – wszyscy muszą tam być niezwykle sympatyczni.

W Dziale Dziewiętnastowiecznych Druków, dokąd przydzielił go dyrektor, przyjęto Bronisia jak białego kruka, jak prawdziwie bibliofilskie cimelium. Pracowało tu wiele starszych pań o rzadko spotykanej erudycji, kilka młodych dziewcząt po studiach, a „pan doktor” mimo marsowej miny okazał się nadzwyczaj łagodny.

– Jest skromny i dobrze ułożony – zaopiniowała pani Aurelia, przyjrawszy się przez okulary nowemu koledze.

– Przystojny i elegancki – dodała panna Zosia.

– Niezarady – wydeła usteczka kapryśna panna Marta.

– Pilny i rzetelny pracownik – wtrącił pan doktor jako najwyższą pochwałę.

Po kilku miesiącach Broniś czuł się jak u siebie w kącie za szafami, gdzie na jego prośbę ustawiono biurko pod brązo-

12

wym popiersiem założyciela Biblioteki. Był sam, jak lubił, oddzielony od reszty pracowników, wypełniających dwoma rzędami biurka wielką, podłużną Salę

Katalogową.

Gdy minęło początkowe zainteresowanie jego osobą, zaczęto go traktować z odrobiną życzliwego lekceważenia, sam bowiem usuwał się w cień zastawionych książkami półek, zagrzebany zdawało się po uszy w poszukiwaniach bibliograficznych, w wykrywaniu autorów anonimowych dzieł czy utajonego roku wydania druku.

Wkrótce przestano w ogóle zwracać na niego uwagę, tak mało był widoczny za swymi szafami, a energiczna pani Wiktoria obdarzyła go mianem „niedołęgi” twierdząc, że młody człowiek „musi mieć coś nie w porządku”, jeśli zamiast ubiegać się o dobrą posadę w którymś z instytutów naukowych wybrał bibliotekarstwo. Ale pani Wiktoria znana była ze złośliwości i ostrego języka.

– Co nowego w Bibliotece? – pytała przy obiedzie ciotka Zuzanna.
– Psia nuda – wzdychał Broniś. – Siedem bitych godzin to trochę za wiele.
– Przecież nie siedzisz siedmiu godzin, sam mówiłeś, że masz ruchliwą pracę?
– Nawet bardzo. Podobny jestem do Sherlocka Holmesa, gdy tak gonię za nieuchwytnym autorem z ubiegłego wieku.

Ciotka spoglądała na bratanka z wyrzutem.

– Ciocia wie, jak lubię książki. Naprawdę zaczyna mnie wciągać ich biblioteczne życie. Ale początki zawsze ciężkie. Wkrótce przyzwyczaję się i mimo nienawiści do zielonego kitla stanę się stuprocentowym ramolem.

– Z twoją inteligencją... – zaczynała ciotka.

– Jestem za mało naukowy – odpowiadał ponuro. Dzięki temu, że praca wymagała poruszania się po Bibliotece, poznał dokładnie wszystkie zakątki czcigodnej instytucji.

13

Na tyłach wspaniałego pałacu, obejmującego biura administracji, ogromną salę czytelnianą, katalogi, co cenniejsze zbiory oraz wszelkie działy wraz z pół tysiącem pracowników, ciągnął się supernowoczesny, dziesięciopiętrowy magazyn, połączony z bocznym skrzydłem Biblioteki powietrzną oszkloną galerią. Do drugiego skrzydła pałacu przylegała utrzymana w tym samym stylu przybudówka, zwana „starym magazynem”, gdzie było wiele interesujących Bronisia książek. Z czasem zaznajomił się z magazynierami i miał swobodny dostęp do półek, przywilej, którym cieszyli się tylko co znaczniejsi bibliotekarze.

– Magazyn to najbardziej fascynujące miejsce w Bibliotece – oznajmił raz ciotce
– magazyn i katalog, gdyż i tam są książki, choć nie we właściwej postaci.

Główny Katalog – dużą kwadratową salę z pięknym, ozdobionym stiukami sufitem, niegdyś jeden z licznych salonów pierwszego piętra – zapełniały długie rzędy szafek z jasnego drzewa, ze skarbami Biblioteki. Każdy biały prostokątny kartonik odpowiadał książce, przechowywanej w magazynie, a pełne takich kartoników szufladki to nic innego jak kilometry zastawionych tomami półek.

Pod oknami stały cztery biurka pracowników katalogu, a ogromny napis „Informacja”, umieszczony nad jednym z nich, kierował do uśmiechniętej, rumianej panny Agnieszki rzesze nieświadomych katalogowych tajników poszukiwaczy książek. Kierownik, pan Adam Błażewicz, od razu przypadł Broni-siowi do serca. Był to starszy mężczyzna w okularach, poważny i małomówny, który poza katalogiem, zdawało się, nie widział świata. Broniś lubił przyglądać się, jak rozkłada na biurku pasjansa z katalogowych kartek, wpatrując się przenikliwie w nazwiska autorów. Wiedział doprawdy wszystko! Jeśli znalazło się trzech Maciejów Glińskich piszących o hodowli drobiu w trzech różnych epokach, pan Błażewicz rozszyfrował

14

każdego z nich, nawet gdy któraś z prac wyszła anonimowo i bez daty wydania! Poprawiał błędy kolegów, korygował omyłki poprzedników, porządkował, unowocześniał dawne partie katalogu, uzupełniając opis bibliograficzny nowymi odkryciami. Szperał w starych foliałach, wiecznie poszukując to nazwiska, to tytułu, to daty urodzenia pisarza. Był żywą encyklopedią i słownikiem biograficznym.

– Panie Adamie! – wołała panna Zosia z rozpaczą.

– Gdzie jeszcze mam szukać autora tych anonimowych „Pamiętników wielkiej damy”?

– Panie Adamie! – wtórowała panna Marta. – Czy „Iliadę” i „Odyseję” dajemy pod Homera czy pod hasło tytułowe? Nigdy tego nie pamiętam.

– Panie Adamie! – denerwowała się pani Wiktoria

– czy już pan ustalił, jak katalogujemy Amicisa? Włoskie bibliografie dają go pod De Amicis. Jakże lubiłam „Serce”!

Do katalogu przytykała niewielka narożna salka z dużym balkonem, skąd roztaczał się prześliczny widok na miasto. Ściany ginęły pod oszklonymi szafami, pełnymi encyklopedii, słowników, biografii sławnych mężów i innych podobnych publikacji we wszystkich znanych europejskich językach od osiemnastego wieku począwszy. Pośrodku owalny stół otoczony krzesłkami zapraszał do pogawędki z największymi ludźmi wszystkich czasów, a kilka drabinek pozwalało dostać się do górnych półek, hen pod sufitem.

Gdy Broniś zmęczył się bieganiem po Bibliotece lub znudziła go samotność w kącie za szafami, wybierał jeden z trzydziestu sześciu wielkich, ciemnoczerwonych tomów encyklopedii włoskiej „Enciclopedia Italiana”, siadał przy owalnym stole i dziesięć minut odpoczywał, oglądając wspaniałe reprodukcje sztuki Renesansu. Potem, pokrzepiony na duchu, wracał do piętrzącego się na biurku stosu książek i broszur.

Pewnego dnia, gdy siedział zajęty katalogowaniem, do ką-
15

ta za szafami zajrzała panna Regina, najmłodsza pracownica Działu Dziewiętnastowiecznych Druków.

– Pani Tymoniecka prosi pana do siebie – szepnęła patrząc badawczo na Bronisia.

– Już idę. – Młody człowiek odłożył pióro i wstał.

– Mam nadzieję, że nic pan nie przeskrobał – powiedziała współczująco, gdyż poprzedniego dnia pani Tymoniecka zwróciła jej uwagę na zbyt częste i długie rozmowy telefoniczne, przeprowadzane w godzinach pracy ze zbyt licznymi znajomymi.

– Nie, chyba nie – zastanowił się Broniś.

Pani Tymoniecka, zwierzchniczka Dziewiętnastowiecznych Druków, zajmowała mały gabinet przylegający do sali. Często toczono tam burzliwe dysputy, a raz nawet Broniś był tematem obrad.

– Ten nowy do niczego – twierdziła kategorycznie pani Basia – nie wykazuje najmniejszego zainteresowania bibliotekarstwem od strony teoretycznej.

– Inteligentny i zdolny – broniła ulubienca pani Aurelia.

– Zawiódł nasze nadzieje – dowodziła pani Wiktoria.

– Okazał się jedynie dobrym pracownikiem, spełnia posłuszenie, czego się od niego wymaga, i nic więcej.

– To hipokryta, w rzeczywistości dumny i zarozumiały; udaną skromnością maskuje pogardę dla pracy bibliotecznej

– pani Basia uważała się za psychologa.

– Bzdury! – oburzyła się pani Aurelia. – Dla wszystkich uprzejmy, chętny do każdej roboty, nie traci przy tym czasu na gadanie i nie wychodzi na papierosa. (Palenie w sali było surowo wzbronione.)

Pani Tymoniecka przywitała Bronisia uśmiechem i wskazując krzesło rzekła:

– Mam dla pana wielkie zadanie, panie Bronisławie. Broniś skłonił się w milczeniu.

16

– Dyrektor życzy sobie, byśmy przystąpili do uporządkowania zbiorów batignolskich. Ocalałe podczas wojny resztki tego księgozbioru zostały, jak panu wiadomo, naprędce skatalogowane w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości,

by jak najszybciej udostępnić je czytelnikom. Jednak dotychczasowe ich opracowanie dalekie jest od nowoczesnych wymogów, jakie nam stawiają przepisy katalogowe. Dyrektor, porozumiewając się z panem Błażewiczem i ze mną, zarządził skatalogowanie od nowa tych właśnie druków. Chcemy włączyć je w ciągu najbliższych lat do głównego katalogu jako wzorowo opracowane pozycje. Pomyśleliśmy więc o panu.

Broniś nie spuszczał oczu z ust pani Tymonieckiej.

– I cóż? Czy to panu odpowiada?

– Ależ tak – wyjąkał, nie wiedząc, co właściwie rzec, choć czuł, że spotyka go wielkie wyróżnienie.

– Dwie osoby, panna Regina i panna Marta zaczną od jutra przeglądać szufladki katalogu, wyłączając kartki z prowizorycznym opracowaniem tej partii naszego księgozbioru, która odtąd przechodzi pod pańską opiekę. A pan, panie Bronisławie – głos pani Tymonieckiej złagodniał – zajmie się katalogowaniem i porządkowaniem tych dzieł po kolei, jak stoją w magazynie. Trzeba tylko mądrze zorganizować robotę. Dobra organizacja to połowa drogi do celu. No jakże, nie cieszy się pan?

– Ja... bardzo, bardzo pani dziękuję, czuję się zaszczycony... doprawdy, pani o mnie pomyślała, a tyle osób pracuje dłużej ode mnie...

– Dla naszych pań zbyt uciążliwa bieżanina po schodach, a doktor ma reumatyzm...

Pan najodpowiedniejszy do tego zadania, zresztą taka wola dyrektora. Może w końcu obudzi się w panu prawdziwie bibliotekarskie powołanie.

– Doprawdy, ja... ogromnie lubię moją pracę... – Broniś zrozumiał wyrzut zawarty w słowach kierowniczkii. – Przykre-mi, „jeśli..

2-Cień dj

o

17

– Och, jestem z pana najzupełniej zadowolona – przerwała pani Tymoniecka. – Od jutra przystępuje pan do nowych obowiązków. Książki, nad którymi pan pracował, proszę przekazać pani Wiktorii. A teraz chodźmy.

Do bocznego skrzydła dostali się długim korytarzem pierwszego piętra. Stamtąd schodziło się na parter, gdyż tylko w tym jednym miejscu przebito drzwi do przybudówki.

– Większość tych książek znajduje się w starym magazynie. – Pani Tymoniecka musiała co chwila odpowiadać na ukłony spotykanych pracowników. – Zna pan chyba magazyniera?

– Tak, znam. To pan Sylwester.

– Janek Sylwester, miły i roztropny chłopiec; mam nadzieję, że współpraca z nim doskonale się ułoży.

– Tak, przypuszczalnie... – Broniś nie był tego całkiem pewny, wspominając niezbyt sympatyczną twarz magazyniera.

– Pracuje pan blisko rok – ciągnęła pani Tymoniecka schodząc powoli po wąskich schodach bocznego skrzydła – nabrał pan doświadczenia w pracy bibliotecznej. Umie pan katalogować dziewiętnastowieczne druki polskie i obce, potrafi pan posługiwać się pomocami naukowymi, jakie mamy do dyspozycji. Myślę, że wybór nasz był słuszny.

– Postaram się...

Nie zdążył dokończyć zaczętego zdania, gdyż stanęli przed obitymi blachą drzwiami starego magazynu, na których tabliczka z napisem „Palenie wzbronione” ostrzegała najzagorzalszych miłośników tytoniu.

Broniś nie wiedział, że za tym progiem czeka go największa przygoda, jaka kiedykolwiek wydarzyła się bibliotekarzowi. Nie spodziewał się spotkać nic innego jak codzienną szarżynę tych samych czynności, które wykonywał od roku. Był o sto mil od myśli, że obite blachą drzwi kryją zagadkę godną samego Sherlocka, do którego tak chętnie się przyrównywał.

18

- t ,

Wyróżnienie zawdzięczał wyłącznie dyrektorowi i zdawał sobie sprawę z cichej dezaprobaty pani Tymonieckiej. Było mu przykro i zapragnął okazać się godnym pokładanego w nim zaufania. Nieświadom więc niedalekich wypadków energicznie nacisnął klamkę i usunął się przed kierowniczką.

2

Wózek toczył się gładko po wysłanym linoleum korytarzu, a grube, w skórę oprawne tomy „Żywotów sławnych mężów” Plutarcha kołysały się rytmicznie w takt kroków Bronisia, który siedł obok, podtrzymując papierową piramidę. Razem z magazynierem wnieśli właśnie wózek na pierwsze piętro, gdyż w bocznym skrzydle połączonym ze starym magazynem nie było windy.

Książki odbywały teraz codzienne wędrówki na biurko Bronisia i z powrotem na półki magazynu. Kąt za szafami zalegały stosy druków.

– Jak idzie robota? Ma pan może jakieś trudności?

– pytała od czasu do czasu pani Tymoniecka.

– Dziękuję, nieźle – odpowiadał Broniś z uśmiechem.

– Trudności się zdarzają, ale jakoś sobie radzę.

Wiele czasu spędzał teraz w magazynie, szperał w bibliografiach i encyklopediach,

wertował słowniki anonimów i pseudonimów, odbywał długie konferencje z panem Błażewiczem.

Wszystko co prawda szłoby znacznie lepiej, gdyby nie stary magazyn, a ściśle mówiąc magazynier, Jan Sylwester. Prawie rówieśnik Bronisia, może o lat kilka od niego starszy, od pierwszej chwili, od owej pamiętnej wizyty w przybudówce z panią Tymoniecką, okazywał Bronisiowi dziwną i niezrozumiałą wrogość. Był

wyraźnie niezadowolony, gdy kierow-

19

niczka Działu Dziewiętnastowiecznych Druków oznajmiła mu o nowych funkcjach swego pracownika.

Co mu to przeskadza? – myślał Broniś obserwując nachmurzoną twarz magazyniera.

– Panie Janku – mówiła tymczasem pani Tymoniecka – pomoże pan we wszystkim panu Mączyńskiemu; dyrektorowi zależy bardzo na tych książkach. Pan tak doskonale zna stary magazyn. Liczę na pana.

– Zrobię, co potrzeba – mruknął Sylwester nie patrząc na Bronisia.

Pani Tymoniecka widać nie zwróciła uwagi na zły humor magazyniera i wyszła uspokojona, że powierzone zadanie będzie jak zwykle dobrze wykonane.

Gdy następnego ranka młody człowiek zjawił się w starym magazynie, Jan Sylwester stał przy długim stole sortując zniszczone, prawie rozpadające się w strzępy broszury przeznaczone do introligatorni. Na grzeczne przywitanie wchodzącego odburknął coś niezrozumiale.

Broniś rozejrzał się ciekawie po nowym miejscu pracy, które widział już wprawdzie kilkakrotnie, ale dziś oglądał innymi oczami.

Tak zwana przybudówka był to stylowy budynek stanowiący właściwie jedną dużą salę. Na wysokości pierwszego piętra biegła dokoła ścian galeryjka, na którą prowadziły wąskie, drewniane schody. Wszystko było tu stare, łącznie z nieprzepisowymi, drewnianymi półkami, które szczelnie zapełniały całe wnętrze. Broniś nieraz porównywał magazyniera do ogromnego pajaka, uczeplonego półek kilka metrów nad podłogą. Wysokich okien nie było widać, ginęły pod książkami, które nie dopuszczały do sali dziennego światła. Środek zajmowały rzędy masywnych, staroświeckich regałów, a smukłe drabiny, na których Sylwester dokonywał akrobatycznych wprost popisów zręczności, pozwalały dotrzeć do najwyższej ustawionych małych tomików, pięknie oprawnych

20

w ciemną skórę, w świetle lamp błyskających zmatowiałym na grzbietach złotem.

Jan Sylwester panował niepodzielnie w starym magazynie i rzadko który z bibliotekarzy zaglądał za obite blachą drzwi, rzadko też książki opuszczały drewniane półki, wzywane do czytelnicy. Czasem tylko jakiś profesor, historyk literatury czy badacz naszych dziejów zapragnął przewertować zakurzone kartki pamiątkowego księgozbioru.

Broniś nie spodziewał się spotkać tu żadnego pracownika z innego działu, toteż zdziwił się niepomnie, gdy raz wróciwszy po zapomniane pióro, posłyszał głosy dochodzące zza regałów. Nie mógł rozróżnić wyrazów, wydało mu się jednak, że słyszy głos kobiety. Rozmawiający mówili cicho, a książki tłumiły słowa. Gdy zaczął pisać się po skrzypiących schodach na galeryjkę, szybkie kroki w kierunku wyjścia ostrzegły, że tajemniczy gość opuszcza magazyn. Drzwi natychmiast zamknięto. Wracając dostrzegł Sylwestra, stojącego przy swym stole z rumieńcem na policzkach i błyskiem w oku.

– Zapomniałem pióra – usprawiedliwił się niepotrzebnie Broniś.

Magazynier spojrział na młodego człowieka, jak gdyby widział go po raz pierwszy, otworzył usta, może chciał coś powiedzieć, ale potrzęsnał głową i wrócił do swych broszur.

Broniś nie był z natury wścibski, toteż zapomniał wkrótce o całym zdarzeniu, pochłonięty nawałem obowiązków. Nie miał teraz czasu na wypadki w krainę złocistych fresków Be-nozza Gozzoli! Jedynym momentem wytchnienia pozostało drugie śniadanie, „najmilsza chwila w długim dniu pracy w Bibliotece Narodowej”, jak obwieścił ciotce Zuzannie na początku swej bibliotekarskiej kariery, gdy męczyła go jeszcze nuda wlokących się w nieskończoność monotonicznych godzin.

Jedyną pociechę stanowiła wówczas pękata paczuszka, obfitująca w domowe przysmaki. Pani Adamczykowa w przeraźliwie białym fartuchu stawiała na biurku w kącie za szafami

21

ogromny kubek dymiącej herbaty, a Broniś mył ręce, zdejmował zakurzony, ciemnozielony kitel i zasiadał do jedzenia.

– Nie mam teraz czasu na ceremoniał śniadania – śmiał się w domu. – Człowiek czuje się ważny i potrzebny, kiedy pomyśli, że czeka na niego dziesięć tysięcy książek i broszur do skatalogowania.

Tyle mniej więcej liczył księgozbiór, stanowiący pozostałość tak zwanej Biblioteki Batignolskiej.

Ciekawe były dzieje tej kolekcji, tragiczne jak losy narodu. Powstała w połowie

dziewiętnastego wieku ze skromnej biblioteki szkolnej, gromadziła początkowo podręczniki do historii i literatury polskiej. Szkołę, nazwaną Szkołą Narodową Polską, w roku 1842 założyli dla swych dzieci emigranci, niedobitki ocalałe z pożogi powstania listopadowego. Umieszczono ją w cichej uliczce na Batignolles, dziś jednej z dzielnic w północnej części Paryża, w owym czasie podmiejskiej miejscowości, zamieszkaney przez skromnych urzędników, którą dopiero w roku 1860 włączono do stolicy.

Chlubnie zapisała się Szkoła Batignolska w dziejach wychodźstwa, kładąc wielkie zasługi dla kultury polskiej, broniąc młodzież przed wynarodowieniem, utrzymując ducha polskości wśród gromadki wygnańców, zasilonej po trzydziestu latach nowymi ofiarami przemocy.

Do największego rozkwitu doszła Szkoła pod zarządem doktora Seweryna Gałęzowskiego, którego po upadku powstania listopadowego losy rzuciły do Meksyku.

Znakomity chirurg stał się opatrznościowym mężem dla nieszczęsnych Indian, lecząc darmo i niosąc pomoc i ratunek najbardziej potrzebującym. W roku 1848 osiadł w Paryżu, a w kilka lat później obrany skarbnikiem, następnie prezesem Rady Szkolnej, porzucił praktykę lekarską, poświęcając się całkowicie pracy społecznej wśród emigrantów, a przede wszystkim Szkole. Dzielnie sekundował mu jego zastępca – Adam Mickiewicz.

22

Szkoła Narodowa Polska na Batignolles rozwijała się znakomicie dzięki ofiarności społeczeństwa oraz subsydium rządu francuskiego. Liczyła ponad trzystu uczniów. Niestety wojna francusko-pruska położyła kres tak pięknie prosperującej instytucji. Szkoła, ścieśniona i zubożała, przetrwała jednak ciężkie lata. Istnieje do dziś dnia na Batignolles jako Liceum Polskie.

Wraz z rozkwitem szkoły rosła i rozwijała się jej biblioteka. Napływały dary z kraju, a emigranci coraz częściej zapisywali w testamencie całe księgozbiory lub opuszczając Francję przekazywali szkolnej bibliotece osobiste archiwa.

Wśród ofiarodawców znaleźli się Joachim Lelewel, Alojzy Biernacki, były minister skarbu, doktor Antoni Hłuśniewicz, niezwykle popularny eskulap emigracji, syberyjski zesłaniec Karol Ruprecht, przy końcu burzliwego żywota bibliotekarz Szkoły, i wielu, wielu innych.

Wkrótce do biblioteki Szkoły Polskiej na Batignolles zaczęto przyłączać inne biblioteki polskie, istniejące na terenie Francji, a gdy w roku 1863 Towarzystwo Demokratyczne Polskie przenosiło swą siedzibę do Anglii, oddało jej bogaty księgozbiór wraz z archiwum.

Dzięki temu Biblioteka Batignolska stawała się powoli najpełniejszą, poza granicami kraju, kolekcją nie tylko druków, ale i rękopisów, dotyczących jednej z najsmutniejszych kart historii narodu, gromadząc dokumenty z życia emigracji, tragicznych dziejów pierwszego i drugiego powstania, przechowując korespondencje,

pamiętniki i wspomnienia współczesnych, cenne autografy, rzadkie druki z XVI i XVII wieku, medale i monety, ryciny i mapy, czasopisma polskie wydawane na emigracji.

Pod koniec ubiegłego wieku poważnych już rozmiarów zbiory przewieziono do zamku w Kórniku pod Poznaniem, gdzie oczekiwały na tryumfalne wejście do Biblioteki Narodowej.

23

Zdziesiątkowane podczas ostatniej wojny, miały znowu służyć nauce polskiej. Z jakimże pietyzmem Broniś dotykał oprawnych w szare płótno tomów, ozdobionych na grzbietach kwadratem czerwonej skóry z tytułem dzieła oraz białą nalepką, gdzie w błękitnej ramce bibliotekarz, może sam autor „Zamku kaniowskiego”, wypisał czarnym atramentem numer, czyli sygnaturę książki.

A w każdym tomie coś interesującego: pieczętka, napis, dedykacja, notatka, każdy mówił o przeszłości, ukazywał dawnego właściciela.

Obok owalnej pieczętki i odbitej błękitnym tuszem nazwy Szkoły po francusku: „Ecole Nationale Polonaise des Batig-nolles”, czyli „Szkoła Narodowa Polska na Batignolles”, Broniś spotykał inne, niebieskie lub czarne, jak „Towarzystwo Demokratyczne Polskie”, „Towarzystwo Wychowania Narodowego”, ozdobione Orłem i Pogonią, „Z Biblioteki Polskiej w Wersalu”, „Ze Zbioru J. Lelewela”.

Nazwiska ofiarodawców stały mu się bliskie jak nazwiska znajomych i uśmiechem witał książki doktora Hłuśniewicza czy pana Alojzego Biernackiego, których pieczętki z polskim lub francuskim napisem widniały obok pieczętki batignol-

skiej.

Pomazane atramentem podręczniki szkolne do nauki greki i łaciny szczególnie budziły wzruszenie. Mały urwipoleć ozdabiał swój autograf zamaszystym zakrętasem,

by wiedziano po wieczne czasy, że Godurowski czy Stępiński, Wrześniowski czy Waligórski byli w takim a takim roku uczniami Szkoły i ślęczeli nad Owidiuszem i „Iliadą”.

Księgozbiór batignolski pochłonał Bronisia, ukazał mu pracę biblioteczną w zupełnie nowym świetle. Niepostrzeżenie przywiązał się do tych pamiątek, drżał o każdą z nich, nierad, gdy magazynier posyłał czasem szaro oprawny tomik do czytelnika.

Wtedy właśnie upewnił się, że jest ktoś jeszcze, kto regu-

24

larnie odwiedza stary magazyn, być może zresztą wcale nie dla batignolskich autografów, lecz dla przystojnego Janka Sylwestra.

Pewnej środy nie zastał nikogo w magazynie, mimo że przepisy w takim wypadku nakazywały zamykać drzwi na klucz. Siedząc na drabince, ukryty między wysokimi regałami, przeglądał małe tomiki zajmujące górne półki, wynotowując rok wydania oraz ilość stron, by nie przenosić niepotrzebnie kilkunastu książek do sali katalogowej.

Po paru minutach skrzypnęły drzwi i weszły dwie osoby rozmawiając półgłosem. Tym razem słyszał wyraźnie każde słowo, a nawet głos kobiecy wydał mu się znajomy. Nie potrafił jednak określić, do której z pracownic Biblioteki przynależał, choć wiedział, że przynajmniej raz już go słyszał.

Broniś zamierzał chrząknąć, kaszlnąć czy poruszyć tomami „Historii Naturalnej”, by w jakiś sposób zasygnalizować swą obecność, lecz powstrzymał go dziwny jakiś instynkt, zmuszając do udawania zatopionego w pracy mola książkowego.

– Tu jest ten napis – mówił Sylwester – może pani zobaczyć?

Kroki zbliżyły się do stołu, przy którym magazynier zazwyczaj pracował. Broniś nie mógł dojrzeć osób, słyszał jednak doskonale, co mówiono.

Zaszeleściły przewracane niecierpliwą ręką kartki.

– Nie o to mi chodzi, to po francusku; nie znalazł pan nic innego, panie Janku? Głos kobiecy, w którym z początku zabrzmiało niezadowolenie, przybrał kokietyjny ton.

– Nic, resztę pani widziała.

– A ten brakujący tom? Może stoi wśród innych książek? Czy przeszukał pan półki na galeryjce?

– Nie wszystkie... nie mam teraz tyle swobody...

– Tak rozumiem... ale pan mi pomoże, panie Janku?

25

– Czyż nie robię zawsze tego, co pani każe?

– Ja nic nie każę... ja tylko proszę... pan taki miły... Broniś siedział jak na rozżarzonych węglach, nie wiedząc, co począć: ujawnić swą obecność czy w dalszym ciągu milczeć.

W tej chwili zadzwieczał telefon.

– Stary magazyn – podniósł słuchawkę Sylwester. – Tak, panie doktorze, zaraz przyjdę. Dzwoni doktor Rayski – zwrócił się do niewidzialnej kobiety. – Wzywam mnie do głównego magazynu. Czy pani zostanie?

– Zostanę. Proszę nie zamykać drzwi na klucz. Muszę tu sprawdzić kilka pozycji. Broniś cierpiał niewymowne męki. Do bólu zdrętwiałych wskutek niewygodnej pozycji nóg doszło zdenerowanie niezręczną sytuacją, w jakiej znalazł się z własnej winy. Obawiał się, że zostanie wykryty, wówczas spaliłby się chyba ze wstydu.

Tajemnicza kobieta przeszła tymczasem na drugą stronę magazynu i zaczęła szperać wśród książek, przesuwając ciężkie tomy, szeleszcząc kartkami. Robiła to gorączkowo, jak gdyby bardzo się spieszyła.

Gdy nogi ścierpły mu tak, że dłużej trudno było wytrzymać, Broniś postanowił wymknąć się z przymusowego więzienia. Miał nadzieję dotrzeć do drzwi, nim zobaczy go nieznajoma. Trudno, niech myśli, co chce, byle nie musiał spojrzeć jej w oczy. Przecież nie będzie wiedziała, że to był on.

Nie dało się jednak zrealizować tego planu. W pewnej chwili kobieta podeszła szybkim krokiem do schodów galeryjki. Broniś, wściekły na siebie, że nie zdecydował się dotąd niepostrzeżenie opuścić magazynu, zrozumiał, że stracił ostatnią szansę. Z góry ujrzy go jak na dłoni. Gdy była w połowie drogi, wrócił

Sylwester.

– Dzięki Bogu, wyrwałem się! – zawołał zdyszany; widocznie biegł korytarzem. – Czy nikt nie przychodził?

26

– Nikt. – Zeszła ze schodów i zbliżyła się do stołu. Broniś odetchnął.

– Rzadko pani teraz tu bywa – powiedział magazynier z wymówką.

– Rzadko? – zdziwiła się.

– No, nie tak jak przedtem.

– Bo rzadko jest pan sam. Nie mogę narazić się na plotki. Gdy raz wezmą mnie na języki...

– Pewnie zagryźliby panią. Mnie i tak trudno uwierzyć...

– Tu nie ma nic do wierzenia – przerwała dosyć ostro. – Lubię z panem rozmawiać,

panie Janku, ponadto pomaga mi pan w ważnej pracy. – Głos jej znowu stał się cieplejszy.

Broniś był bliski rozpaczy. Uważał się za ordynarnego gbura. Co powiedziałaaby ciotka Zuzanna?

– Dziesiąta! – zawołała nagle tajemnicza kobieta. – Muszę wracać na górę!

– Jeszcze chwilkę... Potem przyjdzie ten dureń, sterczy tu całymi dniami i nie daje spokoju.

– Trudno, panie Janku, proszę nie zapomnieć o galeryjce.

Po raz drugi odezwał się telefon.

– Stary magazyn. Nie, nie ma. Dobrze powtórzę. Pytają o niego – zwrócił się do niewidzialnej kobiety. – U nich teraz śniadanie.

– Przyjdę chyba jutro – powiedziała z wahaniem. – Za długo tu byłam, pewnie mnie szukają.

Broniś nie mógł się doczekać końca rozmowy. Nie wiedział, w jaki sposób wydostanie się z magazynu, ale wolał najgorsze, niż asystowanie przeciągającej się scenie. Zupełnie nieoczekiwanie Sylwester przyszedł mu z pomocą.

– Odprowadzę panią do windy – powiedział zrezygnowany, zrozumiawszy, że nie uda mu się zatrzymać jej dłużej.

Gdy wyszli, Broniś z trudem stanął na własnych nogach.

27

Pokuśtykał wąskim przejściem między regałami, po czym wysunął głowę upewniając się, że jest naprawdę sam. W drodze do drzwi potknął się o kupkę książek, leżących na podłodze koło półki. Były to tomy, które tak zaciekle wertowała nieznajoma. Broniś schylił się, powodowany niezrozumiałą ciekawością. Chciał zobaczyć, jakie książki oglądała. Na wierzchu leżała pięknie oprawna w skórę, z tłoczonym złotymi literami tytułem „Historia Francji” Wiktora Duruy, znany przed stu laty podręcznik szkolny. Spotkał już wiele egzemplarzy tej popularnej niegdyś publikacji. Machinalnie otworzył książkę, gdy uderzyły go dwa słowa wypisane wyraźnym, pochyłym pismem u góry karty tytułowej, tam, gdzie zwykle zamieszcza się nazwisko właściciela. Dobry to musiał być gatunek atramentu, jeśli nie zbladła ani jedna literka i Broniś bez trudu przeczytał: Aleksander Mączyński.

3

Na obiad była zupa pomidorowa z ryżem, pieczeń wołowa z kartofelkami i czerwona kapusta, a na deser budyń czekoladowy ze słodką śmietanką. Broniś jak zwykle z największym apetytem zmiotł wszystko do ostatniej okruszyny, pomógł ciotce sprzątnąć ze stołu i dopiero gdy zasiedli do zwykłej pogawędki o wypadkach dnia, wyciągnął z teczki oprawny w skórę tomik.

Po raz pierwszy popełnił rzecz straszną: wyniósł ukradkiem z Biblioteki książkę, nie otrzymawszy jej zgodnie z utartą procedurą przez wypożyczalnię. Jednakże musiał koniecznie podzielić się z ciotką swym odkryciem i dlatego „Historia Francji” najpierw utonęła w przepastnej kieszeni zielonego kitla, by następnie w teczce Bronisia wydostać się za mury Biblioteki.

28

Podniecenie spowodowane niespodziewanym zajściem nie opuściło go nawet podczas obiadu i ciotka kilkakrotnie spoglądała z uwagą na bratanka, czekając cierpliwie,

aż sam opowie, co go dręczy.

Ciotka Zuzanna była rodzoną siostrą ojca Bronisia i wychowała chłopca od maleństwa, gdyż rodzice jego zginęli w powstaniu warszawskim. Sama była wdową i nie miała dzieci, toteż całe przywiązanie i matczyną wprost miłość zlała na

jedynego bratanka.

Broniś nie pamiętał rodziców, za to, odkąd pamiętał siebie, pamiętał ciotkę Zuzannę. Była mu ojcem i matką, miał ją zawsze przy sobie, pełną zrozumienia i serdeczności.

Oprócz przywiązania łączyła ich jeszcze prawdziwa przyjaźń. Nie mieli przed sobą tajemnic, dzielili się zarówno myślami, jak i każdym przeżyciem. Ciotka otrzymywała niewielką emeryturę po mężu i zajęta cały dzień domem prowadziła ich skromne gospodarstwo, a marzeniem Bronisia było zapewnić jej kiedyś wygodną i przyjemną starość. Chwilowo martwił się, że jego zarobki początkującego bibliotekarza nie pozwalają na przyjęcie pomocy domowej, by opiekunka nie męczyła się sprzątaniami, gotowaniem i zakupami.

– To mój dziadek! – wykrzyknęła ciotka ujrawszy autograf właściciela w przyniesionej przez Bronisia książce. – Poznaję jego pismo. Aleksander Mączyński!

Pamiętam, było w domu wiele książek tak podpisanych. Niestety wszystkie spaliły się podczas bombardowania Warszawy.

Ciotka Zuzanna wiedziała o nowej funkcji Bronisia; bratanek opowiedział jej dzieje Biblioteki Batignolskiej, opisał pieczętki i co ciekawsze autografy, spotykane w książkach i broszurach tego księgozbioru. Toteż z zainteresowaniem zaczęła przerzucać kartki „Historii” pana Duruy.

– Jakie to dziwne – mówiła wzruszona – widocznie ofiarował część swej bogatej biblioteki Szkole Polskiej. Czy nie spotkałeś więcej książek z jego podpisem?

29

– Nie, ta jest pierwsza. Odkąd wiem, że to nasz dziadek, uważniej będę przeglądał każdy wolumen.

– Mój dziadek, a twój pradziadek – poprawiła ciotka.

– Wspaniały człowiek! Był jednym z pierwszych, którzy poszli do lasu w 1863 roku.

Po upadku powstania styczniowego musiał uciekać do Francji. Majątek skonfiskowano, groziło mu zesłanie na Sybir, a może śmierć. Miał wówczas tyle mniej więcej lat co ty, zresztą jesteś do niego uderzająco podobny. U ojca w gabinecie wisiał doskonały portret dziadka robiony w Paryżu, zapomniałam tylko nazwiska malarza.

Broniś wziął książkę z rąk ciotki i przekartkował starannie w poszukiwaniu jakiejś notatki, uwagi czy innego śladu, lecz nie było nic prócz podpisu i błękitnej pieczętki batignolskiej. Za to na grzbiecie, u dołu, ujrzał złotem tłoczone inicjały: A. M.

– Doskonale pamiętam – zawołała ciotka, gdy zwrócił jej uwagę na nowe odkrycie.

– Była w domu oszklona mahoniowa biblioteczka pełna tak samo oprawnych tomów. Prześlicznie to wyglądało! Stała w gabinecie ojca, jak wszystkie pamiątki po dziadku.

– Podręczniki szkolne przypuszczalnie ofiarował Szkole

– zauważył Broniś.

– Być może. Proszę cię, oglądaj uważnie oprawy, pewnie znajdzie się więcej takich jak ta. Ojciec miał po dziadku całego Waltera Scotta w tłumaczeniu francuskim z cudownymi miedziorytami zamiast rycin. Doskonale przypominam sobie te tomiki w ciemnej skórze, z delikatnym, złożonym ornamentem na okładce. Wysoce artystyczna robota! Było ich z pięćdziesiąt, stare wydanie z lat trzydziestych ubiegłego wieku, chyba wyszło jeszcze za życia autora. Jakie tam były ciekawe powieści historyczne! Najbardziej lubiłam o Ryszardzie Lwie Serce...

– Czy ciocia znała dziadka?

– O nie, umarł przed moim urodzeniem, lecz rodzice

30

wiele nam o nim opowiadali, pokazując pamiątki. Ojciec ogromnie kochał dziadka. Był to, jak twierdził, człowiek wielkiej odwagi i rzadkiej prawości charakteru.

– To doprawdy nadzwyczajne. Ja w Bibliotece Narodowej znajduję książkę mego pradziadka! Jak gdyby na mnie czekała, jakby pradziadek odezwał się do mnie, chciał mi coś przekazać... Czy ożenił się we Francji?

– Tak, ale z Polką, córką emigranta, prześliczną dziewczyną. Ojciec przechowywał z wielkim pietyzmem jej miniaturę. Na nieszczęście wojna zabrała wszystko. Nic nam nie zostało, najmniejszej rodzinnej pamiątki, chyba tylko ta książka, cudem ocalała w Bibliotece Narodowej.

– Co ciocia jeszcze o nim wie?

– Był przystojnym młodzieńcem i cieszył się wielkim powodzeniem u Francuzek.

Wybrał jednak Polkę, córkę ubogiego emigranta. Ogromnie ją kochał i ojciec wspominał często, jak bardzo byli szczęśliwi. Wkrótce potem wybuchła wojna francusko-pruska i dziadek jako ochotnik wstąpił do francuskiej armii, by – jak mówił – choć w części odwdziżyć się przybranej ojczyźnie za gościnę i azyl. Po klęsce pod Sedanem nie poddał się, lecz z garścią takich jak sam zapaleńców uszedł w góry Alzacji, gdzie przez kilka miesięcy organizował oddziały partyzantów, nękając Niemców podjazdową walką. Później został za to odznaczony orderem Legii Honorowej. Był prawdziwym bohaterem. Dziadkowie długo nie mieli dzieci. Jedyne dziecko, a mój ojciec, urodził się dopiero w 1877 roku w Paryżu i tam ukończył prawo.

– Czy dziad Aleksander nigdy nie przyjeżdżał do kraju?

– Nigdy, ale wiem od ojca, że żądał od niego przysięgi, iż po odzyskaniu niepodległości osiedli się w Polsce.

– I syn dotrzymał słowa?

– O tak, od razu po traktacie wersalskim w 1918 roku przeniósł się do Warszawy.

– Szkoda, że dziadek tego nie doczekał.

31

– Bardzo szkoda, niestety zmarł zdaje się w 1904 czy piątym roku. Nie był jeszcze taki stary, podobno do końca trzymał się znakomicie, prosty jak trzcina, z bujną czupryną... tak go opisywał ojciec. Było zresztą w domu parę fotografii...

– Na co zmarł?

– Właściwie śmierć dziadka była nagła i nastąpiła w tajemniczych okolicznościach. Ojciec nie lubił o tym wspominać, za wielki to dla niego cios, strata ojca, którego tak kochał.

– Jak zmarł, ciociu, jak to było?

– Wszystko jest niejasne, nic pewnego nie wiadomo, stało się to tyle już lat temu. Więcej dowiedziałam się od matki, gdyż ojciec, jak ci wspomniałam, nie mógł spokojnie mówić o tej tragedii.

Dziadek codziennie jeździł konno w Lasku Bulońskim, dzięki temu pewnie zachował tak młodzieńczą postawę. Otóż jednego dnia wrócił bardzo zdenerwowany. Okazało się, że koń się znarowił i poniósł, omal nie zrzuciwszy dziadka z siodła. Ale dziadek był znakomitym jeźdźcem, od dziecka zżyty z końmi, ogromnie kochał zwierzęta. Wyszło później na jaw, że koniowi zadano jakiś niebezpieczny narkotyk.

Przesłuchano służbę i chłopak stajenny wyznał, że tego dnia nieznany włóczęga kręcił się w podwórzu koło stajni. Dziadek był potem bardzo niespokojny, przestał sam wychodzić z domu, porzucił konną jazdę, niestety, ta ostrożność nie uchroniła go od śmierci.

– Musiał mieć wrogów! – zawołał Broniś. – Przecież ktoś wyraźnie nastawał na jego życie.

– To prawie nie do wiary. Ojciec opowiadał, że swoją dobrocią dziadek jednał sobie wszystkich.

– Ale jak zmarł? Nigdy mi ciocia o tym nie opowiadała.

– Nie mówiłam, bo to stare dzieje i smutne, a dość mieliśmy smutku i żałoby. Teraz, gdy dziadek dał ci jakby znak, powinienesz dowiedzieć się o jego losie. Umarł w kilka tygodni po wypadku z koniem. Pewnego ranka znaleziono go w gabi-

32

necie martwego. Leżał na podłodze. Serce zawsze miał zdrowe. Policja przeprowadziła dochodzenie i znalazła na dywanie pod kanapą niewielki kamyk. Okno było otwarte. Kamyk wyrzucony celnie z procy trafił dziadka w skroń, powodując śmierć na miejscu. Śledztwo trzeba było umorzyć, przyjmując, że jakiś łobuziak strzelił tak nieszczęśliwie, trafiając w okno gabinetu. Ojciec jednak nie dał za wygraną i przeprowadził badanie na własną rękę. Jak wiesz, był prawnikiem. Z jego poszukiwań wynikało, że naprzeciwko okien dziadka było mieszkanie do wynajęcia; domy dzieliła tylko szerokość starej uliczki. Podobno ktoś widział nieznanego osobnika, jak wchodził do nie zamieszkanego lokalu. Ojciec wziął na spytki dozorcę, ale ten milczał jak grób. Zapłacono mu pewnie dobrze za dochowanie tajemnicy, a tylko on posiadał klucz do pustego mieszkania. Gdy ojciec zawiadomił policję o swym odkryciu, dozorca już nie było. Przestraszył się i czmychnął. Nie udało się nigdy go odszukać, a czas mijał i cała sprawa poszła wreszcie w zapomnienie. Ojciec jednak długo jeszcze poszukiwał zbiega, wyznaczył wielką nagrodę za ujawnienie miejsca jego pobytu. Niestety, wszystko bez skutku. Policja przychyliła się raczej do teorii

nieszczęśliwego wypadku. Przesłuchano świadków, kilku przechodniów, którzy owego dnia znaleźli się przypadkowo na ulicy, paru właścicieli sklepów i na tym się skończyło. Akta sprawy odłożono do archiwum. Lecz ojciec nigdy się z tym nie pogodził.

– Czy nie zasięmano informacji u przyjaciół dziadka? Może oni wiedzieli coś o jego wrogach?

– Ależ tak, ojciec rozmawiał ze wszystkimi. Był między nimi przyjaciel od serca, rówieśnik, z którym dziadek nie rozstawał się prawie od lat dziecińczych. Razem poszli do powstania, razem uciekli do Francji. Ożenili się prawie równocześnie. Pan Barnaba Michałowski – bo tak się nazywał ten najbliższy przyjaciel – podobno strasznie rozpaczał po śmierci dziadka. Ciężko się nawet rozchorował. Ojciec trochę

3–Cień dłuższego...

33

się go obawiał. Mówił, że miał niesamowite oczy, czarne i błyszczące, i że gdyby był malarzem, wzięłby je za model do oczu szatana.

– I niczego się nie dowiedziano? Pozostawiono sprawę nie rozstrzygniętą? – gorączkował się Broniś.

– Niczego. Myślę, że ojciec do śmierci wyrzucał sobie opieszałość w rozwiązaniu tej tragicznej zagadki. Mama uspokajała go twierdząc, że zrobił wszystko, co było w jego mocy. Chodziły nawet słuchy, że była to zemsta na tle przekonań politycznych ze strony członków przeciwnego obozu i tym podobne hipotezy stawiane w całkowitej nieświadomości właściwej przyczyny. Tak czy owak sprawa narobiła wiele hałasu, pisały o niej gazety francuskie i polskie. Dziadek był dosyć znaną osobistością na terenie Paryża.

Zaszedł jednak wypadek, który rzucił nowe światło na tajemnicze okoliczności towarzyszące śmierci dziadka. W parę dni po pogrzebie włamano się do jego mieszkania, przewracano książki i papiery, zabierając wiele listów i osobistych szpargałów. Dziadek utrzymywał wszystko w idealnym porządku, tym bardziej więc uderzał nieład po bytności złodziei. Nie zginęło nic wartościowego z wyjątkiem części osobistych papierów dziadka, przedstawiających cenną pamiątkę wyłącznie dla rodziny. Tej zagadki policja również nie potrafiła rozszyfrować. Sprawcy czy też sprawców włamania nie ujęto. Pan Michałowski, dowiedziawszy się o tym, przez szereg nocy trzymał straż w pokojach dziadka, pilnując, by zamach nie został powtórzony. Ale więcej już takich napaści nie było.

– Kiedy umarł pan Michałowski?

– Dożył późnej starości. Umarł w Warszawie, dokąd także przeniósł się po 1918 roku. Odwiedzaliśmy go czasem z rodzicami, doskonale to pamiętam. Pod koniec życia był biedak sparaliżowany. Ale oczy pozostały rzeczywiście niesamowite. Mieszkał z żoną w ogromnym apartamencie, w du-

34

żych, ciemnowych pokojach przy Marszałkowskiej. Leży na Powązkach, wszyscy byliśmy na jego pogrzebie.

– Czy miał dzieci?

– Dwóch synów. Po jego śmierci kontakt nasz z tą rodziną rozluźnił się znacznie.

Ojciec mój, zdolny prawnik, był jednym z bardziej wziętych adwokatów w Warszawie.

Ogromnie miłosierny za darmo bronił biedaków, a gdy wierzył w niewinność oskarżonego, podejmował się często spraw beznadziejnych. Przez to zawsze był bardzo zajęty, zdaje się też, że nie czuł specjalnej sympatii do synów pana Michałowskiego. Staruszka odwiedzał przez pamięć na dziadka i na łączącą ich przyjaźń.

– A co robili jego synowie?

– Starszy, w wieku mego ojca, niefortunnie pokierował swym życiem. Po poważnych studiach na Politechnice Paryskiej, zaczął pracować w pewnej fabryce pod Warszawą, lecz, o ile pamiętam, niezbyt dobrze mu się wiodło. Podobno rozpił się, nie założył rodziny i wykoleił się zupełnie. Zmarł nagle na atak serca, kilka lat przed wybuchem wojny. Za to młodszy syn miał duszę artysty. Zaprzyjaźniony z paryską bohema zapowiadał się jako wybitny talent malarski. Pozostał, niestety, we Francji, ożenił się z modelką i zerwał wszelki kontakt z rodziną. Jego syn wrócił jednak do kraju. Twój ojciec poznał go u kogoś, nie pamiętam już, gdzie to było. Mimo że matkę miał Francuzkę, mówił dobrze po

polsku. Zdaje się, zamieszkał w Warszawie. Nie wiem, co robił, zapomniałam nawet, jak mu było na imię. Może zginął podczas wojny, nie wiadomo. Jeśli żyje, dziś jest to pan po pięćdziesiątce. Tak więc, choć pradziadowie przyjaźnili się serdecznie i byli rzecz można nierozłączni, w następnych pokoleniach słabła więź między dwoma rodzinami. Twój ojciec i ja nie utrzymywaliśmy już żadnych stosunków z wnukiem pana Michałowskiego, a ja nawet go nie znałam.

– Jakże to wszystko dziwne – zamruczał Broniś.

35

– Chętnie odnowiłbym znajomość z tą rodziną. W książce telefonicznej będzie co najmniej pięćdziesięciu Michałowskich, przy tym ciocia nie zna imienia... No, nie ma co się nad tym głowić, grunt, że zapoznałem się z pradziadkiem. Chciałbym więcej o nim wiedzieć... Aleksander Mączyński... Będę poszukiwał książek z jego biblioteki, może w którejś z nich została zakładka, coś, co do niego należało, a co mógłbym zabrać...

– Może – przytaknęła ciotka Zuzanna.

– Ciociu! – Broniś zerwał się podniecony – jest sposób, by odnaleźć ślad Michałowskich. Wystarczy pójść w Zaduszki na Powązki. Czy był to grób rodzinny?

– Tak, olbrzymi grobowiec z posągami anioła. Bardzo mi się wówczas podobał. Pochowano tam pana Michałowskiego, jego żonę i starszego syna.

– Czy ciocia trafi?

– Chyba tak. Wchodziło się przez Czwartą Bramę, potem chodnikiem wzdłuż muru i którąś z alejek w lewo. Nietrudno będzie znaleźć, pomnik widoczny z daleka.

– Wybierzemy się w tę niedzielę. Jeśli grób utrzymany w porządku, to znak, że rodzina nie wygasła.

– Nie rozumiem, dlaczego tak ci na nich zależy?

– Sam nie wiem, zafascynował mnie ten świeżo odnaleziony pradziadek. Śmieszne co prawda słowo: pradziadek. Ciocia przedstawiła go jako młodego człowieka, powstańca, bohatera. I powiedziała, że jestem do niego podobny.

– Bardzo podobny do portretu, który wisiał w naszym domu. Ojciec mój podobny był do matki, czyli do twojej prababki, żony dziada Aleksandra. Twój zaś ojciec i ja wdaliśmy się w naszego ojca. Dopiero w tobie odżył pradziadek.

– Niestety nie jestem bohaterem...

– Ale i nie tchórzem – przerwała energicznie. – Jesteś nieśmiały, a to minie z wiekiem.

36

– Tak ciocia sądzi? – W głosie Bronisia brzmiało powątpiewanie.

– Jestem tego pewna.

– Co prawda nieraz już chciałem nauczyć moresu tego bezczelnego magazyniera. Czuję, że mnie nie cierpi.

– Jeśli nie jesteś mu sympatyczny, nie potrzebujesz silić się na serdeczność. Jednak pracujecie razem i powinniście zachowywać się przyzwoicie, czy cię kto lubi, czy nie.

– Ach, ciociu, moja cierpliwość jest niewyczerpana! Dziad Aleksander dawno sprząłby go po pysku. Nie mówiłem cioci, że on flirtuje z jedną z pańien.

– Nie powinno cię to obchodzić – oburzyła się ciotka. – Nie po to pracujesz w Bibliotece Narodowej, by kontrolować, kto z kim flirtuje. Zajmij się lepiej batignolami.

– Byłem mimowolnym świadkiem. Żeby ciocia wiedziała, jak zdrętwiałem na tej drabinie między regałami! Czuję się potem jak kawał drewna! Robiłem sobie oczywiście wyrzuty, a ile się najadłem strachu, że zostanę odkryty w idiotycznej pozycji i w nagłupszej sytuacji, jaką sobie można wyobrazić! Żeby ciocia to wszystko widziała, podziwiałaby stoicki spokój, z jakim zniosłem te męki! Trzeba jednak przyznać, że dzięki tym przykrym przeżyciom odnalazłem książkę pradziadka.

Leżała wśród innych, które przeglądała ta pannica. Jestem jej naprawdę wdzięczny.

Jeżeli Sylwester jej się podoba, trudno. Ale w mojej pracy to niepotrzebna komplikacja. Zresztą najlepiej czuję się w kącie za szafami. W magazynie jestem intruzem.

– Bardzo cię proszę, Bronisiu, nie powtarzaj eksperymentów z ukrywaniem się na drabinach między regałami. Jeśli magazynier rzeczywiście jest zajęty tą dziewczyną, mylnie wytłumaczy sobie twą nieprzewidzianą obecność.

– Nie będę więcej taki głupi. Za każdym razem głośno się zaanonsuję.

Ciotka zajęła się szyciem, a Broniś był tak zaabsorbowany myślami, że nie wybrał się do kina, choć w pobliżu szedł film, który dawno już chciał obejrzeć. Nazajutrz „Historia Francji” tą samą drogą powróciła do Biblioteki i stanęła na półce starego magazynu. Młody człowiek zabawił tam tylko chwilę, by wraz z Sylwestrem przetransportować w kącie za szafami nową porcję druków do opracowania. Cały dzień spędził na katalogowaniu, badając pilnie każdą książkę, czy nie kryje nazwiska dziada. Niestety minęło wiele dni, nim znowu spotkała go ta przyjemność.

Tym razem był to mały, nieoprawny tomik poezji Słowackiego z podpisem pradziadka i datą 7 lipca 1866 roku skreśloną również jego ręką. Tomik ten, jak i jego poprzednik, powędrował do mieszkania ciotki Zuzanny. Oglądali książeczkę na wszystkie strony, czytali ze wzruszeniem piękne wiersze, które zachwycały już czytelników sprzed wieku. Ale nic nie znaleźli.

Pani Tymoniecka zaglądając czasem za szafy widziała Bronisia pochylonego nad robotą. Któregoś dnia wpadł również dyrektor.

– Co sływać w batignolach? – spytał, siadając pod popiersiem założyciela Biblioteki.

– Wszystko w porządku, panie dyrektorze. Zawarłem wiele cennych znajomości. Na przykład z panem Lelewelem. O tu, proszę, jego autograf.

Dyrektor obejrzał zniszczoną broszurę.

– Życzę coraz ciekawszych znajomości – zakończył wizytę.

Odtąd wszyscy pracownicy Działu Dziewiętnastowiecznych Druków czuli się w obowiązku okazać zainteresowanie działalnością Bronisia.

– Co pan teraz kataloguje, panie Bronisławie? – spytała któregoś dnia pani Wiktoria.

– „Sfinks” po włosku – Broniś dobrze wiedział, że Wiktoria specjalnie zajmuje się Hoene-Wrońskim. – Nawet chciałem się pani poradzić...

– To bardzo rzadkie wydanie – przerwała zachwycona. – Czy może pan opracować je i do mojej kartoteki?

Gdy Broniś poszedł do magazynu, w sali zawrzało.

– Zrobił wielkie postępy – oświadczyła pani Wiktoria.

– Tak – przyznała pani Basia – może kiedyś zostanie naprawdę pracownikiem naukowym.

– Uznano moje zasługi bibliotekarskie – śmiał się Broniś opowiadając ciotce przeżycia ostatnich dni. – Otacza mnie nim „naukowości”; praca moja jest prawie tak „naukowa”, jak praca Wielkich Bibliotekarzy. Zobaczycie ciocia, wkrótce w naszej sali stanie drugie popiersie.

Bronisia co prawda nie tylko bawiła, ale i dziwiła zmianą w zachowaniu otoczenia,

niby nieuchwytna, lecz dająca się wyraźnie odczuć. Nie wiedział doprawdy, czemu przypisać to nagłe zainteresowanie jego osobą. Ale ponieważ każda nowość, najbardziej nawet sensacyjna, powszednieje z czasem, więc i spowszedniała w Bibliotece krótka popularność Bronisia. Był zresztą rad, gdy wreszcie pozostawiono go w spokoju i mógł nadal swobodnie poszukiwać kontaktu z pradziadem.

Raz do kąta za szafami dobiegł z sali znajomy głos kobiecy, tajemniczy głos ze starego magazynu, związany nierozzerwalnie w pamięci Bronisia z odkryciem pierwszego autografu Aleksandra Mączyńskiego. W tym momencie panna Regina przekazywała mu kartki wyjęte z katalogu.

– Kto to mówi? Czyj to głos? – spytał, starając się nie okazać zbyt dużego zainteresowania.

– Pan nie wie? – zgorszyła się panna Regina. – Przecież to Klara Michałowska, najpiękniejsza dziewczyna w Bibliotece Narodowej.

Nie było krzty przesady w stwierdzeniu, że panna Klara Michałowska jest najpiękniejszą dziewczyną w Bibliotece Narodowej, a właściwie jedną z najpiękniejszych w ogóle. To biło w oczy, choć była to uroda raczej posępna. Ciemne, prawie krucze włosy, zaczesane były do góry w duży kok. Śliczną twarz, pozbawioną co prawda uśmiechu, rozświetlało dwoje wspaniałych, czarnych, dziwnie błyszczących oczu. Pod cienkim, zgrabnym nosem czerwieniały pięknie zarysowane, pokryte jaskrawą pomadką usta. Z całej postaci przebijała wytworność i

elegancja.

Ubrana zawsze skromnie, lecz z doskonałym gustem, panna Michałowska przekładała ciemne kolory nad inne, szczególnie w zielonym było jej do twarzy. Nigdy też nie nosiła bibliotecznego kitla.

Pracowała zaledwie od kilku miesięcy, na własną prośbę przyjęta do Działu Dziewiętnastowiecznych Rękopisów; podobno została gorąco polecona dyrektorowi przez pewną wysoko postawioną osobę. Wielce inteligentna i wykształcona stała się od razu jedną z wybitniejszych pracownic działu, zyskując uznanie kierownictwa. Opracowywała rękopisy tak zwanej Wielkiej Emigracji, gdyż była to epoka, w której okazała się nie lada erudytka. Dokonała nawet ciekawego odkrycia,

udowodniwszy, że rękopis, przypisywany dotąd generałowi Dwernickiemu, w rzeczywistości wyszedł spod pióra Seweryna Goszczyńskiego, swego czasu bibliotekarza w Narodowej Szkole Polskiej na Batignolles.

Gdy Broniś wyjrzał zza szaf, panna Klara opuszczała salę. Dojrzał tylko tył czarnego koka i suknię butelkowej zieleni. Wyszedł spieszenie za nią i w katalogu,

gdzie zatrzymała się przy szufladkach, miał wreszcie możliwość ocenić jej wspaniałość \ urodę. Przedtem, choć spotkał ją już raz, nieśmiałość nie pozwoliła mu zawrzeć znajomości z piękną panną. Co prawda

40

wówczas nie znał jej nazwiska, a i teraz nie był pewien, czy pochodzi z interesującej go rodziny.

Stanął przy sąsiedniej szafce i już otwierał usta, by zadać dręczące go pytanie, gdy panna Klara podniosła głowę i uczyniwszy pół obrotu spojrzała prosto w twarz Bronisia. Wzrok jej odepchnął młodego człowieka, poraził bezwzględna wrogością, przeszył nienawiścią. Dokonawszy dzieła zniszczenia, panna Michałowska powoli, jak gdyby nic się nie stało, wyszła z katalogu.

Broniś został przygwożdżony do podłogi. Wiedział już wszystko. O takich właśnie oczach mówiła ciotka, wspominając pradziadowego przyjaciela. A więc spotkali się.

W czwartym pokoleniu. Skąd jednak nienawiść?

Wrócił za szafy. Ledwie doczekał trzeciej, tak mu było pilno podzielić się z ciotką doznany wrażeń.

Długo rozmawiali tego wieczoru, ciotka po raz setny musiała opowiedzieć wszystko,

co było jej wiadome o panu Barnabie. Po raz setny sięgnąć do wspomnień ojca oraz do własnych dziecinnych przeżyć.

– Poczekajmy do niedzieli – zakonkludowała wreszcie, zmęczona jałową dyskusją.

– Pójdziemy na cmentarz i zobaczymy. Sam mówiłeś, że jeśli grób uporządkowany, znaczy, że rodzina nie zginęła i mieszka w Warszawie.

– To ona, na pewno ona – powtarzał Broniś krążąc po pokoju. – Za co mnie nienawidzi? Czy wie, kim jestem? Czy słyszała o Aleksandrze Mączyńskim i łączącej ich przyjaźni?

– Proszę cię Bronisiu, przestań i uspokój się wreszcie, bo oboje zwariujemy. Nie myśl o tym; zajmij się czymś. Pojutrze niedziela i pojutrze czegoś się dowiemy.

Broniś jak gdyby nie słyszał, co do niego mówiono.

– Ona i Sylwester – mruczał obiegając stół dokoła. – Nigdy w to nie uwierzę. Że on się w niej kocha, to jasne, nie widziałem wspanialszej dziewczyny, ale ona... Ciciu!

41

– krzyknął nagle – po co ona przychodzi do starego magazynu? Po co umizga się do Sylwestra?

Ciotka Zuzanna odłożyła stos ręczników z prania i reperacji.

– Może ci się zdawało i wcale się do niego nie umizga

– powiedziała spokojnie – może ma taki sposób bycia?

– O nie, to nie ten typ dziewczyny, mnie omal nie zmiażdżyła wzrokiem.

Sylwester jest jej potrzebny, ale do czego? Pracuje przecież w

Dziewiętnastowiecznych Rękopisach... Słyszałem, jak prosiła, by czegoś szukał, by jej pomógł...

– Nie nabijaj sobie głowy głupstwami. Ta panna może nie mieć nic wspólnego z Barnabą Michałowskim. Nosi bardzo rozpowszechnione nazwisko.

– Tak, wiem, ale coś mi mówi... A te jej oczy! Żeby ciocia widziała! Przecież

ciocia opowiadała o szatańskich oczach starego Michałowskiego. Ja jestem podobny do dziada Aleksandra, równie dobrze ona mogła odziedziczyć oczy po pradziadku.

– Doskonale pamiętam te oczy. Do końca pozostały niezwykle piękne, czarne i dziwnie błyszczące. Opanuj się, może to wcale nie jej pradziadek.

– Otóż to, czarne i błyszczące, i w ogóle niesamowite. Gdyby ciocia ją zobaczyła, poznałaby po oczach.

– Może i poznałabym – odparła ciotka w zamyśleniu.

– Czułam, że ojciec mój nie lubił pana Michałowskiego, choć wyrażał się o nim z największym szacunkiem. Myślę, że się go nawet obawiał.

– Gdyby ciocia mogła zobaczyć tę dziewczynę – gorączkował się Broniś. – Urządziłbym to jakoś w Bibliotece.

– Nie, nie, nie chciałabym wzbudzić najmniejszych podejrzeń. O co właściwie chodzi? Na co nam ta pewność? Cóż stąd, jeśli stwierdzimy, że jest ona prawnuczką starego Bar-

42

naby? To tylko twój dziwny kaprys. Znalazłeś książkę dziada Aleksandra z jego podpisem. Ja opowiedziałam ci, co mi było wiadome o jego życiu i tragicznej śmierci. Wyobraźnia, podniecona tymi skądinąd sensacyjnymi szczegółami, zaczyna cię ponosić. Jest to niezwykle zdarzenie w twym monotonnym bibliotecznym trybie życia. Teraz rozumiem, za młody jesteś, by ślęczeć nad papierzyskami, to zawód dla starych przyków, nie dla ciebie. Moja wina, że ci tak doradziłam...

– Co ciocia mówi? – Broniś wyrwał ciotce ręczniki i zmusił, by podniosła oczy.

– Lubię Bibliotekę Narodową i rad jestem z pracy. A teraz, gdy wiem, że nasze książki weszły w skład batignolów, nie zamieniłbym się z nikim za żadne skarby. Ponadto – dodał ze śmiechem – ślubu z Biblioteką nie brałam i odejść mogę w każdej chwili. Przyznam się, że w pierwszych miesiącach myśl ta była mi wielką pociechą. Dziś wszystko jest inaczej.

– Zadzurzysz się w tej dziewczynie... Broniś wybuchnął szczerym śmiechem.

– Ja? Ani mi w głowie. Jest bardzo ładna, co mówię ładna, piękna. Ale straszna. Boję się jej. A zresztą – dodał zmieniając ton – mamy z ciocią wiele do roboty. Chcę odkryć przeszłość. Pojedziemy do Paryża i odnajdziemy mieszkanie dziada Aleksandra.

– Ojciec zawiózł nas tam, twego ojca i mnie – odrzekła z westchnieniem. – Akurat zdałam maturę. Cóż to była za wspaniała podróż! Ojciec pragnął pokazać nam Paryż, miasto, w którym się urodził i spędził dzieciństwo i młodość, gdzie chodził do szkoły, a potem na uniwersytet. Miał tam jeszcze sporo znajomych i przyjaciół, szkolnych i uniwersyteckich kolegów, dawnych sąsiadów... Żyło wiele osób znających dziada Aleksandra. Przyjmowano nas wszędzie z największą serdecznością. Jakaż ja byłam wtedy szczęśliwa! Bronisiowi błyszcząły oczy.

43

– Pojedziemy koniecznie – powtórzył stanowczo. Ciotka pokręciła głową, a twarz jej wyrażała wątpliwość.

– To nie takie proste. Nie jesteś dzieckiem i rozumiesz, że nigdy nie będziemy mieli na to dość pieniędzy. Taka podróż jest dziś ogromnie kosztowna. Tymczasem wybierzemy się na Powązki.

– O tak, to przynajmniej nie jest kosztowne – wybuchnął. Ciotka wstała i przechodząc pogłaskała jasną czuprynę.

– Przepraszam – szepnął zawstydzony. Nadeszła oczekiwana niedziela, a z nią upragniona wyprawa na cmentarz. Był piękny październikowy dzień, pełen słońca i złotych liści. Wśród mogił skakały wiewiórki prosząc o orzeszek. Ciotka Zuzanna znalazła w torebce kilka cukierków, a uroczę stworzonko za każdym razem, gdy dostało przysmak, odnosiło cukierek do spiżarni.

Nacieszywszy się wiewiórką poszli dalej, wypatrując posagu anioła. Trochę pobłądzili w poplątanych alejkach, aż w pewnej chwili ciotka chwyciła Bronisia za ramię.

– Patrz, tam – wskazała – ten czarny grobowiec, widzisz?

– Widzę, chodźmy. Ciotce Zuzannie udzieliło się podniecenie bratanka. Szli ostrożnie, jak gdyby w obawie, by ich kto nie przyłapał. Prawie się skradali.

– Są kwiaty – szepnęła nagle ciotka. Polerowana płyta czarnego marmuru lśniła w słońcu, starannie omieciona z liści. W urnach po bokach olbrzymiego anioła bielały pęki astrów oraz płonęły wielkie

złote chryzantemy. Kwiaty były świeżo podlane. Niedawno, może wczoraj, a może dziś rano, ktoś ustawił doniczki, dołożył starań, by grobowiec wyglądał pięknie. Pośrodku czarnej płyty złote litery głosiły, że tu spoczywa

44

Barnaba Michałowski, urodzony w majątku Michałowice 20 grudnia 1840 roku, zmarły w Warszawie 14 lutego 1922 roku. po lewej stronie widniało epitafium małżonki, Eugenii z Agniewiczów, która o trzy lata przeżyła męża, po prawej zaś syna, Andrzeja.

Monumentalny anioł rozpościerał skrzydła nad ciężkim marmurem grobowca, który, zdawało się, przygniata trzy pochowane tu osoby. Na bocznych ścianach Broniś dojrzał litery, schylił się i głośno przeczytał wiersz, wyryty pobożną ręką: Jeśli z miłością, wiarą i nadzieją zmarły opuszczał ten padół żałoby, na krótko Anioł zawiera go w groby: Zza wrót grobowych, kędy go posieją po drugiej stronie tej żałobnej bramy, jak dzieckiem przyszedł na przeciwną dolę, tak znów dzieciątkiem inny a ten samy wybiega w niebo anielskie pacholę. Ledwie mu zmąsły Anioł poprzesztania, już go wywodzi drugi zmartwychwstania, z błogą radością, że śmierć jest nam progiem pomiędzy światem doświadczeń a Bogiem.

– A więc jest tak, jak przypuszczałem. Rodzina żyje, a panna Michałowska z Biblioteki Narodowej to prawnuczka przyjaciela dziada Aleksandra.

Ciotka milczała, pogrążona we wspomnieniach. Przed grobowcem stała wygodna ławka z oparciem. Usiedli, nie odrywając wzroku od kwiatów.

– Pamiętam ten wiersz – powiedziała po chwili. – Wszystko pamiętam. Tak tu wygląda, jak wtedy, gdy byłam ostatni raz z ojcem. Tylko kwiaty inne. Wówczas nie było astrów ani chryzantem, natomiast wszystko, co wiosna może dać najpiękniejszego. W urnach kwitł bez, a płytę zaścielały

45

narcyzy i konwalie. Zapach był wprost odurzający. Siedliśmy, jak teraz, na tej ławce. Ojciec zamyślony i smutny – zawsze był smutny, gdyż pan Michałowski przypominał mu tragicznie zmarłego ojca – a ja radosna, nawet na tym miejscu wiecznego spoczynku, tak piękne wydawało mi się życie i tak byłam szczęśliwa. Ojciec zaczął mówić o zmarłym, a raczej myślał głośno. Nie bardzo go wtedy słuchałam, tym niemniej pamiętam, co mówił, i teraz go rozumiem.

„Dziwne – powiedział – od najdawniejszych lat, od samego dzieciństwa widywałem pana Michałowskiego. Ojciec nazywał go zdrobniale Barno, od Barnaby, a imię to w jego ustach brzmiało najczulszym przywiązaniem. Gdy umiałem już pisać, pewnego dnia, pamiętam, przyszedł pan Michałowski; siedziałem przy moim stoliku, przepisując jako wprawkę w języku francuskie opowiadanie. «Spójrz, Barno, jak Zyg-muś ładnie pisze» powiedział ojciec i wzięwszy przyjaciela pod ramię, podprowadził do stolika. Pan Michałowski pochylił się nad zeszytem, a ja podniosłem głowę, zawstydzony pochwałą, i ujrzałem jego oczy tuż przy mej twarzy.

Uderzył mnie ten palący wzrok, przeraził i sparaliżował. Pamiętam, w nocy zerwałem się wystraszony wspomnieniem i matce z trudem udało się mnie uspokoić. Ojciec jednak zaśmiał się – bardzo kochał przyjaciela – i klepiąc mnie po plecach zauważył: »Jest nieśmiały, ale to minie, gdy dorośnie«. Niestety, nie minęła moja niechęć do tego człowieka. Niechęć całkowicie nie uzasadniona. Trudno to właściwie nazwać niechęcią, po prostu nie zżyłem się z nim, jak powinienem, znając go od dziecka, widując stale i wiedząc, że był najlepszym przyjacielem ojca. Coś mnie od niego odpychało, nie wiem co, jakiś instykt prawie zwierzęcy, jak u psa. Nie powinienem tego mówić, Zuziu, nie powtarzaj bratu mojej gadaniny. Wiem, że to człowiek nieposzlakowany, krzyształowy charakter, wielkie serce, oddany ojcu do grobowej deski; ot, zwyczajnie nie było między nami sympatii. On też mnie nie lubił,

46

tak jak powinno się lubić syna najbliższego przyjaciela, który staje się tak bliski jak własne dziecko. Gdy raz powiedziałem, że boję się oczu pana Barnaby, ojciec nazwał mnie głuptaskiem i długo śmiał się, twierdząc, że nie zna lepszego i łagodniejszego człowieka niż Barno, że ma on złote serce i nigdy w całym swym życiu nie skrzywdził ani człowieka, ani zwierzęcia. Dodał też, że powinienem wziąć go sobie za przykład".

Słowa ojca były dla mnie święte – zakończyła ciotka Zuzanna – nigdy nie wspomniałam o tym, co powiedział na cmentarzu ani mamie, ani bratu, by nie skrzywdzić pamięci człowieka tak drogiego dziadkowi. Dawne to bardzo dzieje, a jednak wszystko pozostało w pamięci tak świeże, jak gdyby działo się wczoraj.

Tyle lat minęło, wojna...

– Gdzie pogrzebano dziada Aleksandra?

– W Paryżu, na starym cmentarzu Pere Lachaise, gdzie leży Chopin. Pochowano go niedaleko naszej pisarki Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Nazajutrz po przyjeździe do Paryża byliśmy tam z ojcem. Grób nie tak ładnie utrzymany jak ten, choć i tam przyjaciele nie zapomnieli... Pogrzeb był wspaniały, opowiadał ojciec:

prezydent Francji przysłał swego przedstawiciela, składał rodzinie kondolencje – dziadek był oficerem Legii Honorowej. Nad grobem wygłoszono wiele przemówień, złożono wiele wieńców... Cóż, kiedy sprawcy śmierci nie wykryto. Biedny ojciec czuł się zawsze winnym wobec pamięci dziadka. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Poznaliśmy to wówczas, gdy nam powiedział tam, na cmentarzu Pere Lachaise: „A ja żyję, jak gdyby wszystko było w porządku”. Jednakże nie rozumieliśmy, nie mogliśmy zrozumieć prześladowanej go myśli; byliśmy wtedy zbyt młodzi.

– Dwaj przyjaciele, nierozłączni za życia, a po śmierci tak daleko od siebie, oddzieleni prawie całą Europą – zauważył Broniś w zamyśleniu.

– Tak, śmierć ich rozłączyła, wyznaczając każdemu inne

47

miejsce spoczynku. Po odzyskaniu niepodległości pan Michałowski namawiał ojca, by przewieźć prochy dziadka do Polski. Ojciec jednak nie zgodził się twierdząc, że dziadek życzył sobie być pochowanym na cmentarzu Pere Lachaise, naturalnie jeśliby umarł w Paryżu. Jak ci już mówiłam, ojciec nie lubił pana Michałowskiego,

bał się go, więc nie poszedł za jego radą. Może tak zresztą i lepiej. Mój Boże, zasiedzieliśmy się, a już robi się chłodno. Przecież to koniec października. Chodźmy do domu na obiad.

– Dobrze ciociu, wiemy już, co chcieliśmy wiedzieć. Rzeczywiście robi się chłodno.

– Dość przebywania z umarłymi, chodźmy.

– Czasem umarli bardziej są interesujący niż żywi – mruknął Broniś, idąc za ciotką wśród mogił.

5

Na dworze był szary, rozplakany listopad, ale w starym magazynie jasno płonęły lampy, a Jan Sylwester wykonywał gdzieś pod sufitem niebezpieczne salto mortale. Panna Michałowska z podniesioną do góry twarzą, dyrygowała poszukiwaniami magazyniera.

– To gruba książka, panie Janku, ma przeszło sześćset stron – usłyszał Broniś wchodząc.

– Tu same cienkie – odparł Sylwester.

– Musi tam być – niecierpliwiła się panna. – Sygnatura 35 860, niech pan jeszcze raz poszuka.

Broniś uklonił się, po czym także podniósł głowę, gdyż drabina zaskrzypiała niepokojąco. Magazynier przechylił się ku dalszym półkom, z trudem utrzymując równowagę.

– Jest!

Panna Michałowska posunęła się ku drabinie, lecz nagle

48

książka wymknęła się z ręki magazyniera. Broniś jednak w por? podskoczył naprzód i pochwycił gruby tom wraz w porcję kurzu, który obsypał mu twarz i ręce. Stał chwilę, mrugając zaproszonymi oczami, gdy panna Michałowska wyrwała mu książkę.

– Zaraz ją oczyszczę – powiedział, strząsając pył z fartucha.

– Nie trzeba – odrzekła ostro – sama to zrobię.

Po chwili i Sylwester stał na podłodze, mierzając Bronisia nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Dziękuję, panie Janku. – Coś niby uśmiech rozjaśniło mroczną twarz. – Na dziś wystarczy.

Broniś odprowadził wzrokiem do drzwi piękną pannę.

– Ta wysoka drabina niepewna – powiedział uprzejmie. – Zauważyłem, jak chwieje się u podstawy. Powinien ją obejrzeć stolarz.

– Sam wiem, co należy robić – burknął Sylwester. i – Upadek z tej wysokości może być śmiertelny.

– Pan przecież na tę drabinę nie włazi.

– Radziłbym jednak dać ją do naprawy.
– Niech pana o to głowa nie boli.
Po tej wymianie uprzejmości Broniś z trudem zapanował nad wzrastającym gniewem i nie odpowiadając wszedł na galeryjkę. Opracowywał teraz półki na prawo od schodów. W zdenerwowaniu przesuwiał książki, które należało zabrać na górę, sprawdzając kolejne numery, gdy między sygnaturą 55200 a 55202 spostrzegł puste miejsce i brak pozycji oznaczonej numerem 55 201.
– Czy ktoś wypożyczył sygnaturę 55201? – spytał Sylwestra znalazłszy się na dole.
– A skądże mogę to wiedzieć na pamięć.
– To proszę sprawdzić w kartotece.
Magazynier podszedł posłusznie do stołu, na którym stała szufladka z nalepką „Książki wypożyczone”.
~^Cień dłuższego,
49
– Nie ma rewersu, książka musi stać na miejscu, tyłkcy pan nie umie szukać – powiedział opryskliwie.
– Pewnie wzięła ją panna Michałowska.
– Nie pański interes, kto wziął – warknął Sylwester. I Broniś spojrział chłodno w rozognioną nagle twarz magazyniera.
– Przecież stale szuka tu różnych książek, a pan jej poJ maga – powiedział spokojnie.
– Po to jestem, panu też pomagam, no nie? – gniewj opadł, głos magazyniera zabrzmiał pojednawczo.
– Owszem, pomaga mi pan – przyznał Broniś.
Miał na dziś dość starego magazynu, postanowił jednak poszukać brakującej książki. Zdjąwszy więc zakurzony kitel podążył do Działu Dziewiętnastowiecznych Rękopisów.
Panna Michałowska była sama. Siedziała pod oknem przyJ dużym biurku, przed rozłożonym na podstawce wielkim, oprawnym rękopisem.
– Chciałbym się przedstawić. Pani mnie właściwie nieJ zna... Jestem Mączyński. Czarne oczy błysnęły w jego stronę gniewnie i ironicznie zarazem.
– Czemu mam zawdzięczać ten nagły zaszczyt?...
– Nazywa się pani Michałowska...
– Cóż stąd?
W tej chwili wzrok Bronisia spoczął na książce leżącej na biurku. Bez trudu poznał, że pochodzi ze zbiorów batignol-skich.
– Interesuje panią ten księgozbiór? – odpowiedział py-j taniem, biorąc książkę do ręki.
Na pierwszej stronie widniał podpis dziada Aleksandra.
– Opracowuję rękopisy Wielkiej Emigracji – odparła! wymijajaco.
– To książka mego pradziada.
– Doprawdy? – zdziwienie nie wydawało się szczere.
50
– Przecież pani jest Michałowska.
– Już pan to raz raczył zaznaczyć. Więc cóż z tego?
– Jak to? Jest pani prawnuczką Barnaby Michałowskiego, przyjaciela dziada Aleksandra.
– Doprawdy? – powtórzyła ze sztucznym niedowierzaniem.
– Nie słyszała pani o nich? Nic pani nie wie?
– Nie rozumiem pana. A co mam wiedzieć?
– No, o ich przyjaźni...
– Nie słyszałam. A w ogóle o co panu właściwie chodzi? Bronisiowi ćmiło się w oczach. Nie tak wyobrażał sobie rozmowę z prawnuczką starego Barnaby.
– Przepraszam panią, ale mogiła...
– Był pan na Powązkach? Więc pan mnie śledzi? Ponieważ zdradziła się, Broniś momentalnie odzyskał zimną krew. Nieśmiałość prysła.
– Niejeden młody człowiek panią śledzi – odparł. – Chyba przywykła pani do wielbicieli?
– Nie wiedziałam, że jest pan moim wielbicielem. Przedtem pan mnie nie zauważał.
– Od pierwszej chwili panią uwielbiam – odparł bezczelnie.
Panna Michałowska wstała, dając znak, że uważa rozmowę za skończoną.
– Bardzo żałuję, ale jestem ogromnie zajęta – powiedziała wyniośle.

- Dlaczego uwodzi pani Sylwestra?
- Będę musiała poprosić dyrektora o opiekę. Pan za bardzo mną się interesuje.
- Za co mnie pani tak nie lubi?
- Przecież pana nie znam.
- Ale mnie pani nie cierpi. Dlaczego? Jak pani widzi, jestem zupełnie szczerzy.
- Jest pan zazdrosny o magazyniera?

51

- Może. Czego pani szuka w batignolach?
- Mówiłam już, że opracowuję rękopisy Wielkiej Emigracji – odpowiedziała zniecierpliwiona. – Księgozbiór batignolski pochodzi z tej samej epoki. Znajduję w nim różne potrzebne mi dane, dotyczące współczesnych, ponadto próbki pisma – autografy ofiarodawców, które mogę porównać z rękopisami przy ustalaniu autora.
- Czy nie natrafiła pani przypadkiem na rękopis mego dziada, Aleksandra Mączyńskiego?
- Zamiast odpowiedzi pokręciła przecząco głową, a błyszczące źrenice skryły się nagle pod powiekami.
- A jednak już drugi raz ogląda pani książkę z jego podpisem. Czarne oczy objęły go uważnym spojrzeniem.
- Gdy mam do opracowania rękopis nieznanego autora – wyjsniła na pozór spokojnie – konfrontuję go z różnymi charakterami pisma z tej samej epoki. Zbiory batignolskie są kopalnią autografów. Jeśli pański przodek ofiarował swój księgozbiór szkole batignolskiej, nic dziwnego, że trafiam między innymi i na jego autograf. Czy to panu wystarcza?
- Tak, dziękuję bardzo, choć w dalszym ciągu nie wiem, do czego pani potrzebny Sylwester?
- Uwierzę chyba w pańskie uwielbienie – zaśmiała się z przymusem. – To już prawdziwa mania prześladowcza.
- Kto wie, może i mania. Ja również jak i pani korzystam w pomocy Sylwestra. Doskonale zna stary magazyn...
- Przerwało mu wejście kierownika działu. Pożegnał więc pannę Michałowską i po chwili znalazł się za drzwiami. Przy obiedzie zdał ciotce relację z rozmowy.
- Trudno ją zrozumieć – zakończył. – Mam jednak pewność, że jest prawnuczką Barnaby.
- Na to wygląda – odezwała się ciotka po dłuższej chwili milczenia.
- Ale dlaczego przeczy?

52

- Widocznie ma jakieś powody. Kontakt między naszymi rodzinami po śmierci mego ojca został właściwie zerwany. My nie czuliśmy do nich sympatii ani potrzeby komunikowania się, z ich strony antypatia była, zdaje się, jeszcze silniejsza. Być może uważali, że winniśmy wdzięczność staremu panu Michałowskiemu za wierną przyjaźń, jaką darzył Aleksandra Mączyńskiego. Nie wiadomo. Klarę przypuszczalnie wychowano we wrogiej dla nas atmosferze, jeśli w ogóle o nas słyszała. Możliwe też, że nic o nas nie wie, a twoje pytania wzięła za pretekst, sądzi, że w ten sposób chcesz zwrócić na siebie jej uwagę. Wszystko możliwe. Jeśli jest tak piękna, jak mówisz, wielu mężczyzn prześladowuje ją miłością, nic więc dziwnego, że jest nieufna i trzyma wielbicieli w odpowiedniej odległości. To tylko dobrze o niej świadczy. Nie jest rozwydrzona jak dzisiejsze dziewczęta.
- A Sylwester?
- Lubi go, bo grzeczny, uważający i wyszukuje potrzebne jej książki. To wystarczy. Reszta może być wytworem twojej wyobraźni.
- Zapewniam ciocię...
- Wydaje mi się, że panna Klara cię urzekła... Broniś zerwał się jak oparzony.
- Nienawidzi mnie! – krzyknął. – Czuję to, wiem. Prowadzi jakąś grę, ale po co? Okropnie to wszystko denerwujące! Sylwester zachowuje się jak bydlę, dłużej tego nie zniosę! Doprowadzi do tego że dam mu kiedyś w pysk!
- Opanuj się, bardzo cię proszę. Nie wolno tego robić za żadną cenę. Wiesz, co o tobie powiedzą? Że pobiłeś się z magazynierem o tę pannę. Wyobrażasz sobie, jak się przysłużysz i sobie, i jej? To przyzwoita dziewczyna, nie powinieneś jej kompromitować. Gdyby wybuchł skandal, byłbyś zmuszony opuścić Bibliotekę. Ten argument podział jak zimna woda.
- Nie opuszczę Biblioteki – powiedział stanowczo.

53

- Chcę się dowiedzieć, czego szuka w książkach mego pradziadka.

Powziawszy to postanowienie, przez następne dni czekał, aż wróca na miejsce dwie książki, jakie panna Michałowska wyniosła ostatnio z magazynu, to znaczy książka z autografem pradziadka, którą widział na jej biurku, i gruby tom, wyszukany pod sufitem przez Sylwestra. Być może miała u siebie więcej książek z Biblioteki Batignolskiej, postanowił więc mieć otwarte oczy podczas jej wizyt w starym magazynie.

W tym czasie odwiedził Inwentarz Biblioteki i z wielkiego, oprawnego w skórę tomu dowiedział się, że brakująca książka to dzieło Stendhala „Spacery po Rzymie”; gruby tom, tak niefortunnie obsypujący go kurzem, okazał się „Pismami zbiorowymi” panny Jane Austen, angielskiej powieściopisarki, w tłumaczeniu francuskim. Obie książki wydano w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Po tygodniu Stendhal stał na swoim miejscu. Bronisiowi głośno biło serce, gdy brał do ręki szaro oprawny tom z czerwoną nalepką. Ten sam, który oglądał na biurku panny Klary, ozdobiony na pierwszej stronie podpisem dziada Aleksandra. Przykucnął przed półkami, przerzucając kartki, jak zwykle w poszukiwaniu pisma pradziadka. Tym razem wysiłki jego zostały uwieńczone powodzeniem i na ostatniej stronie, po słowie „Koniec”, zamykającym rzymskie wrażenia wielkiego Stendhala, znanym już Bronisiowi wyraźnym, pochyłym pismem skreślono kilka linijek. Nagłówek brzmiał: Do mego jedyne go syna Zygmunta. Potem następowała data Nowy Rok 1885, po czym zdanie: Drogi synu, jak dorośniesz, czytaj Stendhala; wszystkie jego dzieła prawdziwe jak samo życie. Polecam ci książki z mojej biblioteki.

Obejrzawszy się, czy magazynier go nie widzi, wsunął „Spacery po Rzymie” do kieszeni zielonego kitla. Gdy zszedł z galeryjki, Sylwester rozmawiał przez telefon.

54

– Czy pan tu zostaje? – spytał, odkładając słuchawkę.

– Tak.

– Więc nie zamknę drzwi. Doktor Rayski wzywa mnie do głównego magazynu.

Broniś stłumił radość i wrócił na galeryjkę. Zostawszy sam, zbiegł szybko i skierował się ku niebezpiecznej drabinie. Pamiętał doskonale, skąd Sylwester wyjął gruby tom powieści Jane Austen. Wspiął się zwinnie jak kot, przy akompaniamencie skrzypienia i trzasku rozsychającego się drewna, prawie na szczyt drabiny, a stamtąd łatwo już dojrzał błyskający złoceniami skórzany grzbiet i tłoczone złotem litery A. M. Znał tę oprawę i te inicjały. O takich opowiadała ciotka, widniały niegdyś w mahoniowej biblioteczkce...

Błyskawicznie, ze zdobyczą w ręku, znalazł się na ziemi. Daleko od drabiny, przykucnięty na galeryjce otworzył „Pisma” Jane Austen. Już z pierwszej karty powitał go znajomy podpis. Właściciel dedykował książkę synowi, polecając, jak przy Stendhalu, swój księgozbiór jego uwadze, namawiając do studiów nad historią.

Nie było daty.

Książki powędrowały do mieszkania ciotki Zuzanny. Obejrzeliby dokładnie oba wolumina, kartka po kartce, lecz nic więcej nie znaleźli. Upewnili się jednak, że panna Michałowska poszukuje książek z biblioteki dziada Aleksandra, możliwe też, że w Bibliotece Narodowej są jakieś jego rękopisy czy listy. Pytać pannę Klarę było bezcelowe. Jasno dała do poznania, że na te tematy nic więcej nie powie, zresztą zasłoniła się nieświadomością sprawy.

– Co robić? – gorączkował się Broniś.

– Tymczasem nic – zdecydowała po namyśle ciotka. – Ja jak i ciebie przypuszczalnie interesują dawne dzieje rodzinne, a jeśli wie o stosunkach łączących obu przyjaciół, ciekawi ją naturalnie postać Aleksandra Mączyńskiego. Czekajmy. Może z czasem dowiemy się czegoś nowego.

– W papierach dotyczących Biblioteki Batignolskiej mu-

55

siały zachować się spisy ofiarowanych dzieł oraz nazwiska! ofiarodawców. Gdybym mógł zajrzeć...

– Panna Michałowska wiedziałaby o tym, sam przecież! mówiłeś, że opracowuje rękopisy Wielkiej Emigracji. Przypu-j szcalnie studiuje papiery pozostałe po Szkole Narodowej Polskiej na Batignolles, a tym samym po Bibliotece Batignolskiej. Ty jednak nie masz do nich dostępu, pracujesz w zu-j pełnie innym dziale.

– Mógłbym poprosić kierownika...

– A on poprosiłby pannę Klarę, by ci pokazała, co po-j trzeba – przerwała z żywością ciotka. – Nie, nie budźmy podejrzeń. Jeśli tak jej zależy na tajemnicy,

badźmy dyskretni. Może postawa jej wypływa z nie znanej nam rodzinnej tragedii. Była przecież wojna...

– W takim razie czekajmy – westchnął Broniś. – Przyznam się jednak, że jestem piekielnie ciekawy, co ukrywa piękna Klara.

– Może wielki smutek. Nie wiadomo, czy żyją jej rodzice, czy ma rodzeństwo, może jest zupełnie sama, taka młodość da...

– I zła. Z jej oczu tryska złość, gdy na mnie patrzy. ?

– Tak ci się pewnie wydaje. Jeśli odziedziczyła oczy po starym panu Michałowskim, można tak przypuszczać. Ale pamiętaj, że dziad Aleksander kochał przyjaciela i ufał mu jak bratu. Nie uprzedzaj się więc do jej oczu. Męska próżność nie znosi kobiecej obojętności – dodała z uśmiechem.

Broniś jednak nie dał za wygraną i dalej prowadził poszukiwania. W katalogu znalazł wszystkie dzieła Stendhala i wynotował sygnatury pochodzące z Biblioteki Batignolskiej. Oprócz „Spacerów po Rzymie” były tylko dwa, oba traktujące o ukochanej przez autora Italii; „Rzym, Neapol, Florencja” oraz dwutomowa „Historia malarstwa włoskiego”. Na żadnej nie było daty. Pierwsza prócz podpisu nie zawierała ani słowa, które wyszłoby spod pióra dziada Aleksandra. Na-56

to Iniaś w drugiej, na marginesie siódmej strony napisano ołówkiem, charakterem właściciela książki, włoskie słówko te-soro – wraz z Jeg° polskim tłumaczeniem skarb.

– Piękna ta Klara Michałowska – unosiła się pani Aurelia. – Co za niezwykła uroda, tyle przy tym dystynkcji!

– Ogromnie rasowa – przyznała pani Wiktoria.

– Wybitna inteligencja i niepospolite zdolności – dodała pani Basia. – Niedawno pracuje, a już ma wielkie naukowe sukcesy. Jej odkrycie w dziedzinie dziewiętnastowiecznych rękopisów...

– Elegancka babka – przerwała młodzianka panna Regina. – Świetnie się ubiera.

– Pewnie niedługo wyjdzie za mąż i rzuci Bibliotekę – zauważyła panna Marta z zazdrością.

– Parę dni temu czekał na nią jakiś facet w samochodzie – dorzuciła brzydka panna Zosia.

– Nie wiecie, panienki, czy mieszka z rodzicami? – zwróciła się do dziewcząt pani Aurelia.

– Nie wiem – odparła panna Regina ze zdziwieniem. Napięta do ostatnich granic ciekawość Bronisiasia, który

podczas śniadania przysłuchiwał się zza szaf ożywionej rozmowie, nie została zaspokojona, gdyż okazało się, że nikt właściwie nic nie wie.

Nie znano adresu panny Klary, nie wiedziano, jakie ma mieszkanie, czy ma rodziców, rodzeństwo, krewnych w Warszawie, co robi w niedziele, kto szyje te piękne zielone suknie.

– Nie mówi nigdy o sobie – zdumiewała się panna Marta, dla której zakup nowej lampy na okrągły stolik był

57

ewenementem roztrząsanym przez kilka dni w porze drugiego śniadania przez całą salę.

– Nie przyjaźni się z nikim w Bibliotece – stwierdziła rzeczowo panna Regina – i z nikim nie widuje się poza pracą. Nie jest na „ty” z żadną dziewczyną z Działu Dziewiętnastowiecznych Rękopisów. W ogóle dziwna.

– Ma za to dobry gust i nie obwiesza się sztuczną biżuterią – odezwała się pani Aurelia kończąc jabłko.

– Sztuczna biżuteria teraz najmodniejsza – zaperzyła się panna Marta, dotykając naszyjnika z fałszywych pereł. – Czeski Jablonex eksportuje swe kolie na cały świat, a statystyka stwierdziła, że każda Amerykanka zużywa rocznie pół kilograma sztucznej biżuterii.

– Nosi dziwną bransoletkę i medalion – przypomniała panna Regina, której oka nie uszedł najdrobniejszy szczegół toalety pięknej koleżanki.

– Tak – zawtórowała panna Zosia – bransoletka i takiż medalion, czarne ze srebrem i drobnymi perełkami. Są tak małe, że chyba prawdziwe.

– To bardzo stara biżuteria, panienki – wyjaśniła pani Aurelia. – I pamiątkowa. Pochodzi z czasów powstania styczniowego. Polki oddały wówczas klejnoty sprawie narodowej, a po upadku powstania, na znak żałoby, zaczęły nosić specjalną biżuterię: czarna emalia w srebrze z perełkami, symbolem łez. Robiono takie kolczyki, broszki, medaliony, pierścionki i bransolety. Panna Klara pewnie

odziedziczyła po przodkach, to cenna rodzinna pamiątka, która przetrwała sto lat.

Dziś rzadko już spotykana, ma ogromną wartość.

Broniś przypomniał sobie ręce pięknej panny, prześliczne dłonie, równie jak twarz koloru kości słoniowej, o długich, cienkich palcach ze starannym manicurem pokrytych czerwoną emalią paznokci. Panna Klara nie nosiła pierścionków, tylko na prawej ręce czerniała bransoleta w srebrze z delikat -

58

nym ornamentem z drobniutkich perełek i srebrnym łańcuszkiem przy zameczku. Ręką tym długo się przyglądał podpaś pamiętnej rozmowy, urzekająco czystością linii, gładkością skóry pociętej cieniutkimi, niebieskimi żyłkami, i delikatnością - wydawały się dziwnie słabe i bezbronne.

Sylwestra też pewnie tak czaruje - pomyślał ze złością.

Od szeregu dni zastanawiali się z ciotką, czy słówko „skarb” znalezione na marginesie Stendhalowskiej „Historii malarstwa włoskiego” ma jakieś znaczenie.

- Do tego stopnia Stendhal był miłośnikiem Italii - rozważał głośno Broniś - że napis na grobie kazał sobie wyryć po włosku: Arrigo Beyle Milanese -

„Mediolańczyk”. Widocznie dziad Aleksander również poślubił włoską bakcyła i rozkochał się w tym pięknym kraju. Nie wie ciocia, czy jeździł do Włoch?

- Jeździł. Ojciec lubił wspominać wrażenia z tej podróży. Pojechali całą rodziną, we troje. Ojciec miał wówczas kilkanaście lat, a dziadek był jeszcze młody. To najpiękniejsze wspomnienia ojca z lat dziecińczych, te włoskie wakacje.

Pojechali pociągiem do Genui, a stamtąd statkiem opłynęli calutki półwysep, zwiedzając po drodze co ciekawsze miasta i wyspy. Byli na Elbie i na Monte Christo, ojciec pasjonował się wówczas powieścią Dumasa; w Livorno dziadek kupił prześliczne korale dla babci. Pozostały potem w domu jako „korale włoskie”, pamiętam, jak mama je nosiła. Były blade, pięknego kształtu.

- Czy dziad Aleksander znał włoski?

- Chyba nie, najwyżej kilka słów, których nauczył się w podróży.

- Dlaczego napisał „skarb”? Czy chciał zapamiętać nowe słówko?

- Przypuszczalnie usłyszał je gdzieś i zapisał z polskim znaczeniem. Podobne jest do francuskiego tresor, a dla Włochów to równie czułe słówko, jak na nas „kochanie”. Będąc

59

w Italii nieraz słyszałem zakochane pary tak do siebie mówiące.

- A może dziadek miał co innego na myśli?

- Cóż mógłby mieć? Skarbów nie posiadał, żył jak naj owe czasy skromnie. Był wygnańcem.

Tej nocy Bronisiowi śniła się wyspa Monte Christo, z fantastyczną grota, gdzie od wieków ukryte skarby czekały naj śmiałka, co wydobędzie je na światło dzienne. Skrzyńnię napełnione po brzegi złotymi monetami wszystkich krajów rywalizowały z blaskiem najrzadszych klejnotów.

W Bibliotece nie ustawał w poszukiwaniach, odnotowując skrzętnie pozycje z księgozbioru pradziada, a jednocześnie obserwując dyskretnie pannę Michałowską. Zaciekawiała go coraz bardziej, prawie tak jak książki dziada Aleksandra.

Spotykali się teraz dość często, w magazynie Broniś jej nie unikał, wprost przeciwnie, przedłużał swój pobyt na galeryjce, gdy przychodziła prosić Sylwestra o wyszukanie książki lub odnieść niepotrzebne wolumina.

Badał skrupulatnie sygnatury, jakie wybierała ze starego magazynu, i wkrótce upewnił się, że ogląda prawie wyłącznie książki, należące niegdyś do Aleksandra Mączyńskiego. Nie było zatem wątpliwości: w papierach batignolskich zachowała się lista darów dostępna pannie Klarze jako pracownicy Działu Rękopisów. Czego jednak szukała? Jeśli, jak mówiła, potrzebowała próbki pisma dziada Aleksandra dla porównania z pismem nie ustalonego autora, wystarczyło przejrzeć parę książek ofiarowanych Szkole Narodowej Polskiej. Inaczej wyglądało to na planowe poszukiwanie. Ale czego?

Przestał widywać się z kolegami, choć dotąd spotykali się co kilka dni.

Zaniedbał kino, ulubioną rozrywkę, zaraził ciotkę Zuzannę swą idee fixe i całe wieczory spędzali na rozmowach obracających się wokół panny Michałowskiej i książek dziada Aleksandra.

- Mam nadzieję, że nie zaniedbujesz pracy w Bibliotece

60

_ przestraszyła się któregoś dnia ciotka. - Stale się boję, że orzez te książki

nie wykonujesz obowiązków, jak należy.

— Niech się ciocia nie obawia, Batignole tylko zyskają, coraz lepiej je poznają. Panna Klara na szczęście zachowuje się poprawnie, to znaczy w dalszym ciągu jestem dla niej drabiną lub regałem, większego zainteresowania z jej strony nie śmiem nawet oczekiwać. Odpowiada jednak na mój ukłon, a i Sylwester jakoś zmiękł, już nie taki bojowy. Zobaczmy, co będzie dalej.

Dalej dyrektor wydał zarządzenie, by Dział Dubletów starannie przeszukał swe magazyny i wycofał egzemplarze batignolskie, zabłąkane wśród książek przeznaczonych na wymianę. Nie wolno wydawać innym bibliotekom tak pamiątkowych okazów — brzmiał rozkaz dyrektora. Dotychczas dublety dzieł będących w posiadaniu Biblioteki Narodowej w dwóch co najmniej egzemplarzach, wymieniano na brakujące pozycje. Batignole jednak, otoczone specjalną opieką, miały pozostać in extenso w zbiorach Biblioteki.

— Panie Bronisławie — zaczęła pani Tymoniecka młodego człowieka, gdy przechodził przez salę — proszę pójść do Dubletów, do pani Ireny, i dowiedzieć się, czy nie mają przypadkiem batignoli. Jeśli coś się znajdzie, proszę zabrać do skatalogowania.

Broniś udał się natychmiast na drugie piętro do bocznego skrzydła pałacu. Pani Irena pokazała książkę o nadpalonych brzegach.

— To bardzo zniszczony egzemplarz — wyjaśniła — ma jednak pieczętę batignolską,

wobec czego powinien znajdować się pod pańską opieką.

— Bardzo pani dziękuję. Czemu jednak trafił do dubletów?

— Wiele lat temu wycofano go z katalogu, jak pan widzi, jest bardzo zniszczony. Posiadamy dwa identyczne egzemplarze w doskonałym stanie.

61

— Raz jeszcze dziękuję. Gdyby znalazły się u pani inne I książki z tej kolekcji...

— Ta chyba jest jedyną, jaką posiadamy — przerwała I pani Irena.

Po chwili siedział za szafami sam na sam z nadpalonym I francuskim egzemplarzem „Nowej polityki” niejakiego pana 1 Wiktora Considerant, wydanej w Paryżu w 1843 roku. Rogi I książki były zwęglone, grzbiet obdarty, ucierpiała widać podczas działań wojennych. Na karcie tytułowej błękitniała owalna pieczętka batignolska, poza tym brak było jakiegokolwiek napisu. Broniś machinalnie przerzucił poźółkłe kartki, gdy mniej więcej w połowie książki zauważył drobniutko zapisane linijki. Literki były małe, ołówek wyblakły i z trudem udało mu się odcyfrować parę słów, nie miał jednak najmniejszych wątpliwości co do charakteru pisma. Poznałby wszędzie to „ł” I z falistą poprzeczką oraz nie domknięte „o”. Drżącymi rękami wkładał książkę dziada Aleksandra do teczki.

— Odczytamy po obiedzie — zaopiniowała ciotka Zuzanna obejrawszy zapisaną stronicę. — Poszukam szkła powiększającego, pismo zatarte czasem i wojennymi przejściami. Szkoda, że to nie atrament!

Ulubiony kapuśniak nie wywołał zwykłego entuzjazmu; bez wrażenia minęła nawet kura w galarecie, a deser przyjęto tak obojętnie, jak gdyby go nie było.

— Ty czytaj, a ja przepiszę słowo po słowie. — Ciotka, przygotowawszy parę arkusików i długopis, usiadła naprzeciwko bratanka.

I tak zaczęli żmudną pracę nad odcyfrowaniem notatki, rzuconej ręką dziada Aleksandra na pustą, pozbawioną druku stronicę kończąca rozdział. Szkło powiększające oddało bezcenne usługi, wiele słów bowiem gołym okiem w ogóle nie dałoby się odczytać. Mozolili się ze trzy godziny, ale rezultai przeszedł wszelkie oczekiwania. Przepisawszy na czysto po-

62

kreślony i wielokroć korygowany tekst, ciotka odczytała uroczyście, co następuje:

Nie poznaję go, to nie ten człowiek, którego znam od dziecka. Coś dzieje się z nim niedobrego, coś go dręczy, gryzie. Oczy ma niespokojne. Obawiam się krzywdzących podejrzeń, tyle lat przecież jesteśmy razem. Wiem, że był w Polsce, kryjąc się z tym przed wszystkimi. Dotąd nigdy nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. A może to ja byłem głupi i zaślepiiony? Nie, nie, niesłusznie posądzam kryształowego człowieka! Okoliczności mogą świadczyć i przeciw niewinnemu. Czemu jednak skłamał? Czemu oświadczył, że jedzie do wód w Pireneje, gdy Markowski widział go w Warszawie? Wiemy dobrze obaj, że jeszcze nie czas. Tam nas nie

dopuszcza, to teraz kozackie koszary. Przeor nie żyje, umarł, biedak, na tyfus w kilka lat potem, podczas epidemii. Oprócz nas dwóch nikt więc nie wie. Czego on chce? Dlaczego nie mówi wyraźnie? Wie przecież, że trzeba czekać. Gdy go spytałem, dlaczego ukrył przede mną swą podróż do kraju, odrzekł, patrząc mi w oczy:

– Musiałem jechać w sprawach rodzinnych. Wiedząc jednak, jakie to dla ciebie bolesne, milczałem, skłamałem nawet, ale to z serca.

Nie mogę się na niego gniewać, choć czuję niepokój. Zapytałem więc tylko, czy dowiadywał się o interesującą nas miejscowość.

– Tam bez zmian – odrzekł z powstrzymaną złością.

– Nic się nie da zrobić.

– Wiesz, że jeszcze nie czas – zawołałem gwałtownie. Podniósł głowę, a oczy rozbliły mu jak gwiazdy.

– Czy to ma leżeć do Sądnego Dnia, jak mówił przeor?

– spytał wyzywająco.

– Jak możesz? Przecież wrócimy i jeśli nie my, to nasze dzieci...

Nie podobało mi się jego spojrzenie.

63

– Tak, dzieci – odparł z ironią. – A my tymczasem możemy zdychać...

Co się z nim dzieje? Nieszczery. O czym myśli? Po raz pierwszy od lat zadaję sobie pytanie, jaki jest ten człowiek naprawdę? A może to ja się zmieniłem? Może stałem się zimniej-szy, mniej serdeczny, nie tak otwarty i wylewny jak dawniej? Może zraziłem go brakiem zaufania ukrywając kartkę przeora? Nie chcę trzymać jej w domu, a jednocześnie nie wiem, czego się obawiam. Nigdy o tym nie rozmawiamy, dziś po raz pierwszy, i tylko dlatego, że Markowski spotkał go w Warszawie. On jednak nie zaprzeczył. Gdyby mu zależało na ukryciu prawdy, nic łatwiejszego, jak na przykład powiedzieć: „Markowski był pewnie pijany albo widział mego sobowtóra”. Ale on się przyznał do kłamstwa. Tak, ma rację, dla mnie to zbyt bolesne wspomnienia. Dom spalony, zbezczeszczone groby przodków, wszędzie ruiny i zgliszcza, ot, co zostało. Nie mogę tam jechać, nie mogę patrzeć na to, wielki to smutek, a żyć trzeba. Ja pewnie już tu zostanę. Zygmunt pojedzie i odnajdzie. Przekazę mu książki, wszystkie moje książki, niech czyta i uczy się.

On go nie lubi. Dziwne, czyżby dziecko czuło coś instynktem? To zdaje się nazywają intuicją, podobno kobiety posiadają ją w wysokim stopniu rozwiniętą. W takim razie i moja Sabin-ka... Nie chcę jej pytać, od początku nie ma dla niego przyjaźni, na jaką zasługuje. Nieraz jej to wyrzucałem, odkąd została moją żoną. Kobieta i dziecko nie kierują się rozumem, lecz sercem. Sąd ich często bywa niesprawiedliwy. To przecież mój jedyny przyjaciel; od dziecka razem i gdyby wiedział... nie, nie, nie śmiałybym mu spojrzeć w oczy. Coś jednak stoi między nami. Dlaczego unikaliśmy dotąd tego tematu i dopiero dziś... nigdy przedtem nie rozmawialiśmy o tej sprawie. Skąd u niego to rozdrażnienie? Powiedziałem wówczas:

– Uspokój się, głową muru nie przebijesz, trzeba czekać. Czy ci źle? Masz rodzinę, mnie...

Uścisnął mi rękę i potrząsnął głową.

64

– Nie przejmuj się moim gadaniem – powiedział lekko. – Ot, tak czasem coś człowieka nachodzi, jakieś głupstwa, wspomnienia...

Mówił to wszystko, ale tak dziwnie przy tym wyglądał, że nie wiedziałem, co myśleć. Co on zamierza? Robi wrażenie, jak gdyby układał plany; ale czego? Nic już nie rozumiem. Komu wierzyć? W każdym razie z domu usunę ślad, tak będzie lepiej.

Gdy przebrzmiało ostatnie słowo dziwnego tekstu, Broniś zerwał się z wypiekami na twarzy.

– Co to wszystko znaczy? O czym pisze dziad Aleksander? Czy ciocia rozumie? Ciotka Zuzanna oddychała szybko.

– Przypuszczam, że to coś straszego – powiedziała szeptem. – Obawiał się przyjaciela... Lękam się dociekać przyczyn...

– Przeanalizujmy zdanie po zdaniu. – Broniś opanował się na tyle, by mówić spokojnie. – Musimy to zbadać. Nie ma wątpliwości, że wszystko, co pisze, odnosi się do starego pana Michałowskiego. Dziad Aleksander zaobserwował w nim zmianę. Uderza mnie przede wszystkim zdanie: „Wiem, że był w Polsce, kryjąc się z tym przed wszystkimi”.

– Nic dziwnego, jeśli potajemnie wrócił do kraju – zauważyła z żywością ciotka.
– Pewnie inaczej nie mógł, być może był jeszcze poszukiwany. Jeżeli skazano go zaocznie jak dziada Aleksandra, skonfiskowano majątek i pozbawiono praw, to jakże mógł jawnie wrócić? Chyba, że nie zależało mu na życiu. Dziad wyraźnie przecież pisze, o, tu: „Wiemy dobrze obaj, że jeszcze nie czas”. Ponadto pan Michałowski tłumaczy zatajenie swego wyjazdu nawet przed przyjacielem delikatnością uczuć. Wyobrażam sobie, jakim przeżyciem byłby wówczas dla dziada Aleksandra powrót w rodzinne strony. Wspomina o spalonym domu, wydartych z grobu prochach bliskich. Miejsce „Tam nas nie dopuszczają, to teraz kozackie koszary” może być metaforą, to kraj porównany do koszar

5–Cień dłuższego.

65

wrogich oddziałów. Mnie natomiast uderza ciąg dalszy, gdzie pisze o przeorze, który umarł na tyfus. „W kilka lat potem” to chyba w kilka lat po ucieczce z kraju, po upadku powstania. Z tym jednak wiąże się tajemnicza sprawa, gdyż mówiąc o śmierci przeora dodaje: „oprócz nas dwóch nikt więc nie wie”. Oni dwaj i przeor wiedzieli o czymś ukrytym, o czym Michałowski wyraził się tymi słowami: „Czy to ma leżeć do Sądnego Dnia, jak mówił przeor?” A dalej dziad dodaje: „Zygmus pojedzie i odnajdzie”. Zygmus to mój ojciec. Niepokojące jest również zakończenie: „Z domu usunę ślad, tak będzie lepiej”. I co to za „kartka przeora”?

„Może zraziłem go brakiem zaufania, ukrywając kartkę przeora?”

– Oprócz przyjaźni, łączyła ich jakaś tajemnica. Może straszna tajemnica, na przykład zbrodnia...

– Niemożliwe – obruszyła się ciotka. – Po panu Michałowskim co prawda spodziewałabym się wszystkiego, ale dziad Aleksander... Ojciec tyle o nim opowiadał, tak wyraźnie przedstawił jego charakter, zwyczaje... O nie, nigdy w to nie uwierzę. To nie zbrodnia, raczej tajemnica dotycząca powstania. Wiesz, że był wielkim patriotą... I ten przeor, i jakaś kartka, i coś, o czym najbliżsi przyjaciele nie mówią, coś, co między nimi stoi, dzieli ich i łączy jednocześnie, lecz obaj, za milczącą zgodą, unikają niebezpiecznego tematu. Cóż to więc takiego?

Broniś chodził po ciasnym pokoju potracając meble.

– Coś jednak jest – przystanął nagle. – Ta książka nie może wrócić do Biblioteki, to nawet dublet i zniszczony egzemplarz, nikomu niepotrzebny, zresztą własność naszego dziada. Poproszę dyrektora...

– Tymczasem nic nikomu nie mów – przerwała ciotka – książka naturalnie zostanie w domu, co będzie potem, zobaczymy. Musisz dalej szukać. Dziad widocznie miał zwyczaj pisania na książkach, znajdziesz przypuszczalnie inne notatki, jeśli panna Michałowska cię nie ubiegła, gdyż i ona szuka.

66

Bronisiu! – krzyknęła nagle, a ręce drżały jej, gdy przewracała kartki rękopisu.

– Wiesz, dlaczego pisał na książkach? Jakże mogłam od razu tego nie pojąć?

Słuchaj, mówiąc o synu, pisze: „Przekażę mu książki, wszystkie moje książki, niech czyta i uczy się.” To teraz jasne, te notatki przeznaczone były dla syna, dla Zygmunta, czyli mego ojca. Miał nadzieję, że kiedyś je odczyta. Czemu jednak oddał je Bibliotece Batignol-skiej?

Broniś nie spuszczał z ciotki błyszczących oczu.

– Bał się – zawołał. – Może to, co pragnął usunąć z domu, umieścił w książce? Tajemniczą kartkę przeora lub dokument z powstania?

– O nie, czyż panna Michałowska szukałaby z taką gorliwością? Chociaż kto wie, może jest ambitna i pragnie dokonać wielkiego odkrycia. Teraz mija sto lat od tych wydarzeń

– w głosie ciotki Zuzanny nie było jednak przekonania.

– Nie znam jej – dodała – nie wiem, jakim jest człowiekiem.

– Jest piękna, bardzo piękna – powiedział Broniś, wyciągając się wygodnie w starym, wolterowskim fotelu.

7

W poniedziałek, kilka dni po emocjach wywołanych odczytaniem niepokojących zapisek, Broniś wbiegł na schody, spiesząc w kąt za szafami. Było już późno, ósma, i pani Ty-moniecka za chwilę obejdzie salę katalogową sprawdzając obecność pracowników.

Prawie bez tchu opadł na krzesło i natychmiast uderzył go nieporządek panujący

na biurku i na sąsiednich półkach. Ktoś poprzekładał książki i broszury, które w sobotę zostawił jak co dzień we względny porządku.

67

Ze zmarszczonymi brwiami odsuwał szufladki, nigdy nie zamykane na klucz, jako że nie zawierały nic szczególnie cennego. Niewątpliwie ktoś grzebał wśród ich skromnej zawartości. Nieznany sprawca rozwiązał tasiemki tekturowych teczek i tylko brak czasu nie pozwolił mu zatrzeć śladów niepożądanego inspekcji.

Po szczegółowych oględzinach swego bibliotekarskiego mienia, Broniś stwierdził z ulgą, że choć tajemnicza ręka dokładnie przewróciła do góry nogami wszystko, co znalazło się w jej zasięgu, nie zginęło nic z tego, co pozostawił pod strażą półek i szaf.

– W pierwszej chwili sądziłem, że sprzątaczką dostała polecenie odkurzenia mojego bałaganu – opowiadał później ciotce. – Ale ktoś grzebał także w szufladkach. Co więcej, przekonałem się, że nikt nie skarżył się na nieporządek. Zresztą kurzu pozostało wszędzie pod dostatkiem, zbadałem to dokładnie, sprzątaczkę wycierają zazwyczaj biurko, a tylko raz w miesiącu pracują z odkurzaczem.

Skonstatowawszy więc swego rodzaju „włamanie”, dłuższą chwilę siedział, wpatrując się w porozrzucane książki, po czym z westchnieniem ustawił wszystko na miejsce i poszedł do starego magazynu. Po drodze natknął się na panią Irenę z Dubletów.

– Dzień dobry – wołała z daleka – szłam właśnie do pana.

– Dzień dobry pani – Broniś miał nadzieję, że pani Irena odnalazła nowy dublet batignolski.

– Panna Michałowska pytała mnie o dublety pochodzące z Biblioteki Batignolskiej.

Wie pan, ona opracowuje rękopisy z tej epoki. To wybitnie zdolna osoba i chciałabym pomóc w jej naukowej pracy.

(Referując wieczorem ciotce Zuzannie rozmowę z kierowniczką Działu Dubletów, Broniś wymówił słowo „naukowej” ze specjalnym naciskiem).

68

– Panna Michałowska poszukuje rękopiśmiennych notatek pozostawionych często w tych pamiątkowych księgozbiorach – ciągnęła pani Irena. – Powiedziała mi, że przekazała panu jedyny dublet z tej kolekcji, jaki posiadamy. Proszę więc łaskawie wypożyczyć ten zniszczony egzemplarz do Działu Rękopisów. Obiecałam pani Klarze, że to z panem załatwię. Dłużej już pana nie zatrzymuję i z góry dziękuję za uprzejmość.

Broniś został na środku korytarza, oszołomiony nowiną.

– Wywęszyła więc – mrucał z pasją. – Nikt inny tylko ona zrewidowała mój ką. Czego, u diabła, szuka w książkach dziada Aleksandra? – Nagle wydało mu się, że tym razem znalazł sensowną odpowiedź. Powracało bowiem uparcie, nie wiadomo skąd zrodzone przeświadczenie, że to kartka przeora była magnesem przyciągającym piękną dziewczynę.

Teraz się nie mylę – myślał wzburzony. Dziad ukrył w książce kartkę przeora. Muszę ją znaleźć, zanim wpadnie w wymanikiurowane paluszki panny Klary.

Zdecydowanym krokiem wszedł do magazynu. Sylwester jak zwykle sortował książki na stole, a panna Michałowska klęczała przy regale, nie dbając o piękną spódnicę,

narażoną na zbyt bliski kontakt z kurzem.

Gdy Broniś zbliżył się, podniosła głowę i nie zmieniając pozycji zatrzymała go wzrokiem.

– Czy szukała pani w moim kącie rękopisów dziada Aleksandra? – spytał półgłosem, patrząc na nią z góry.

– W jakim kącie? – odpowiedziała pytaniem.

– W sali katalogowej, za szafami, gdzie stoi moje biurko.

– Nie wiem nawet, gdzie stoi pańskie biurko!

– A może szukała pani dubletów batignolskich?

– Dublety są u pani Ireny – odpowiedziała, spuszczaając powieki.

– Ale pytała ją pani o batignole.

69

– Owszem i właśnie czekam, aż zechce mi pan pokazać pewien zniszczony egzemplarz.

– To nie rękopis, tylko książka. Jeśli panią interesuje, proszę wypożyczyć z

magazynu, są jeszcze dwa egzemplarze w doskonałym stanie. Autor nazywa się Victor Considerant...

– Nie interesuje mnie autor – przerwała. – Poszukuję emigracyjnych rękopisów, dobrze pan o tym wie. To pana powinny interesować książki, wobec czego nie wchodzimy sobie w drogę, każde z nas bowiem zajmuje się inną dziedziną bibliotekarstwa. – W głosie jej zabrzmiała jak gdyby groźba czy ostrzeżenie.

– Bardzo słusznie – przytaknął. – Pani jednak stale narusza tę granicę. Wzruszyła ramionami zniecierpliwiona.

– Już panu kiedyś wyjaśniałam powody mego zainteresowania, zresztą czysto naukowego, księgozbiorem batignolskim.

– O tak, doskonale pamiętam, rzeczywiście wyjaśniła mi pani wszystko. – Broniś nie chciał przeciągać drażliwej rozmowy przy świadku, Sylwester bowiem oderwał się od stołu i słuchał uważnie, udając, że manipuluje coś przy regale.

– W takim razie poproszę o ten egzemplarz z dubletów – panna Michałowska utkwiała w twarzy Bronisia błyszczące źrenice.

– Tam nie ma żadnej rękopiśmiennej notatki – skłamała, uważając, że wolno mu być nieuczciwym wobec tak nieuczciwego przeciwnika.

– Ale jaki właściwie ma pan powód, by mi odmówić pokazania tej książki?... Gdzie ona jest?

Ostatnie pytanie zadała głosem ostrym, rzucając jednocześnie znaczące spojrzenie na Sylwestra, który odciął Broniśowi drogę do wyjścia.

– Czekam – wyciągnęła rękę. – Czy ma ją pan w kieszeni fartucha?

70

– Och, nie – zaśmiał się nieszczerze, mierzając kątem oka nieruchomego jak posąg Sylwestra.

– Więc gdzie jest?

– W sejfie, wraz z cennymi drukami – skłamał po raz drugi. – Poprosiłem, by ją tam zamknięto; za wszystkie batignole odpowiadam osobiście, tymczasem ktoś plądrował w moim biurku i na półkach.

– To kłamstwo. Czy mam pana zrewidować?

– Oczywiście, będę zachwycony.

Panna Michałowska tym razem jawnie już skinęła na magazyniera, który błyskawicznie znalazł się u boku Bronisia, po czym podeszła do drzwi i przekreśliła klucz w zamku.

Bronisia zaczynała bawić ta niezwykła jak na biblioteczny magazyn scena. Któż śmiał twierdzić, że bibliotekarstwo to zawód dla zapleśniałych ramoli, kiedy i tu można przeżywać sceny, godne sensacyjnego filmu!

Z kłopotliwej sytuacji wybawił go w samą porę telefon. Dzwoniła panna Regina zawiadamiając, że podano herbatę. Rzuciwszy rozbawione spojrzenie na magazyniera,

którego głupia mina budziła litość, oraz na obciążone zielonym swetrem plecy panny Klary, Broniś głośno otworzył drzwi i wy dostał się na wolność.

Ciotka Zuzanna nie podzielała jednak jego wesołości.

– Gra zaczyna być niebezpieczna – powiedziała przestraszona. – To już nie zabawa, panna Michałowska spaliła za sobą mosty. Jasno dała ci do zrozumienia, jak jej zależy na książkach dziada Aleksandra. Widać to, czego szuka, warte, by wszystko postawić na jedną kartę:

– Do licha, wcale jej się nie boję.

– Uważaj, teraz jest ich już dwoje, to może źle się skończyć.

– Przecież mnie nie napadną.

– Kto wie?

– Jak to, ciocia przypuszcza...

71

– Wszystkiego się spodziewam. Sylwester ślepo oddany pannie Michałowskiej.

– Ale nie wie, o co jej chodzi.

– To nieważne. Coś musiała mu powiedzieć, nie wiemy tylko co. Oczywiście jakąś bajeczkę. Nie wtajemniczałyby nikogo w cel swych poszukiwań.

– Więc ciocia sądzi...

– Nic nie sędzę, wiem tylko, że na tym nie poprzestaną. Jeżeli nie zawahała się przeszkukać twego biurka, a następnie zamknąć cię w magazynie...

– Ale nie będzie się przecież ze mną bić...

– Taki jesteś pewien? A Sylwester?

– Och, ten dureń...

– On tak samo myśli o tobie.

- Więc co mam robić?
- Być ostrożnym i nie narażać się niepotrzebnie. Panna Michałowska zaryzykowała dziś swą posadę. Skąd wiedziała, że nie pójdziesz do dyrektora i nie opowiesz mu wszystkiego?
- Wie, że tego nie zrobię.
- Dobrze, ale skąd ma tę pewność? Broniś wydał wargi.
- Jestem dżentelmenem – powiedział krótko.
- Bardzo pięknie, sama wychowałam cię na dżentelmena, ale i dżentelmenowi można wybić zęby.
- Gdy wychodziłem z magazynu, Sylwester wyglądał jak obity pies. Na pewno wstydzi się swej roli.
- Jeśli jak mówiłeś, zadurzył się w pannie Klarze...
- Ależ on jest dla niej niczym!
- Jest narzędziem, którym posłuży się przeciwko tobie w razie potrzeby.
- Ciocia widzi wszystko w czarnych kolorach.
- Nie, mój drogi, tylko otwarły mi się oczy na charakter panny Michałowskiej. To dziewczyna gotowa na wszystko.

72

- Owszem. Dzięki temu sytuacja staje się jeszcze bardziej interesująca.
- Nie żartuj. Odczytajmy lepiej po raz drugi notatkę dziada Aleksandra. Przynieś książkę; arkusiki z przepisany tekstem są wewnątrz. Broniś powoli odczytywał zagadkowy rękopis-
- Nie ulega wątpliwości, że chodzi jej o kartkę przeora – odezwała się ciotka Zuzanna, gdy skończył. – Wiemy już, czego szuka. Ale skąd się o niej dowiedziała?
- Zgadnij, co mi przychodzi do głowy. Jeśli przewróciła do góry nogami twój ką w poszukiwaniu tego dubletu, gotowa posunąć się dalej. Nie uwierzyła, gdy jej powiedziałaś, że książka znajduje się w sejfie. Może więc szukać jej i w naszym domu.
- Niemożliwe – zaśmiał się Broniś.
- Dlaczego? Jeśli tak jej zależy na tej kartce...
- Za włamanie grozi więzienie. Przecież nie będzie się narażać.
- Jest sprytna i tak to potrafiłaby urządzić, że nie dowiedlibyśmy jej winy. Ta książka nie jest u nas bezpieczna.
- Może poprosić którego z chłopców...
- Lepiej nie. Nie wiemy, co zawiera kartka przeora, w ogóle stoimy wobec tajemnicy. W takim wypadku bezpieczniej nie wciągać w to osób trzecich. Trzeba tylko dobrze ukryć książkę, aby nie leżała na widocznym miejscu. Najpewniej schować ją na dnie twego tapczanu.
- Panna Klara nie złoży nam wizyty osobiście – zażartował. – Raczej wyśle Sylwestra. Ciociu, proszę uważać, gdy przyjdzie inkasent za gaz i światło.
- Równie dobrze może to być poczta lub kontrola radiowa – dodała poważnie ciotka, nie zrażona lekkim tonem bratanka.

*

73

Następnego dnia Broniś zjawił się w magazynie, jak gdyby nic nie zaszło. Sylwester na drabinie wysoko pod sufitem ustawiał książki odesłane z intrologator ni. Panna Michałowska nie przyszła. Broniś zaniósł krzesło na galeryjkę i zatonął w książkach. Atmosfera sprzyjała pracy, nic nie mąciło ciszy, chyba tylko szelest przewracanych kartek lub od czasu do czasu skrzyp przesuwanej drabiny magazyniera. Tak minęła godzina i Broniś przygotował porcję książek, które należało przetransportować na jego biurko, szykował się do wyjścia, oczekując lada chwila telefonu panny Reginy z oznajmieniem pory śniadania. Przejrzał wiele książek w poszukiwaniu własności dziada, ale oprócz dwóch pozycji, opatrzonych znanym już autografem „Aleksander Mączyń-ski”, nie znalazł nic interesującego. Obie książki, „Boską Komedię” oraz Owidiuszowskie „Przemiany”, po starannym obejrzeniu wciągnął na listę „Księgozbioru Aleksandra Mączyńskiego w Bibliotece Batignolskiej”, jak zatytułował sporządzany przez siebie spis, w miarę jak odnajdywał książki z kolekcji dziada. Sylwester skończył ustawianie świeżo oprawionych broszur i stał przy stole, tyłem do sali.

Gdy Broniś znosił krzesło z galeryjki, magazynier zbliżył się do schodów i, oparty o poręcz, podniósł chmurną twarz.

– Panna Michałowska powiedziała mi... – zaczął.

– Co panu powiedziała? – spytał spokojnie Broniś, trzymając w jednym ręku krzesło, w drugim zaś „Memuary generała de Segur” z kampanii napoleońskich.

– Powiedziała mi o wszystkim.

– Mianowicie o czym?

– Niech pan nie udaje głupiego.

– Radzę zmienić ton, a poza tym...

– Ona nie życzy sobie znajomości z panem – przerwał gwałtownie magazynier.

74

– To właśnie powiedziała panu?

– Tak.

– Interesujące. Więc występuje pan z jej... upoważnienia?

Twarz Sylwestra nabiegła krwią.

– Dość zawracania gitary – wycedził spoglądając wściekle na Bronisia. – Wiem dobrze, że się pan do niej przystawiał, a gdy pana odpaliła, mści się pan i chowa potrzebne jej książki.

– I panna Michałowska prosiła pana o opiekę?

– Kości połamię! – krzyknął magazynier, doprowadzony do pasji spokojem Bronisia.

(– Myślałem, że się na mnie rzuci – zwierzał się potem ciotce – i mówiąc szczerze świerzbiały mnie ręce, żeby wreszcie dać mu nauczkę, niestety widocznie się rozmyślił, bo nagle opuścił ramiona i zwiesił głowę.)

– Nie wiadomo, kto komu połamałby kości, natomiast to pewne, że moja cierpliwość jest już absolutnie na wyczerpaniu. Radzę to sobie zapamiętać. Jakim prawem wtrąca się pan w moje sprawy?

– Bo tak mi się podoba – burknął Sylwester. Wyglądał, jak gdyby w poprzednim okrzyku wyczerpał ożywiającą go dotychczas energię.

– Ale mnie się nie podoba. Zrozumiano?

Przez chwilę wydawało się, że magazynier uderzy młodego człowieka, lecz pohamował się w porę.

– Pan się do niej zaleca, łązi za nią, nie daje jej spokoju – wyrzucił jednym tchem.

– Skarżyła się panu?

– Nie potrzebuje się mnie skarżyć, wystarczy, jak pójdzie do dyrektora. Już on zrobi z panem porządek. Patrzcie go, baranek, udaje niewiniątka. Niby to nie słyszałem, co pan tu wygadywał.

75

Panna Michałowska mówiła panu, że wybiera się na skargę do dyrektora?

– Strach pana obleciał, co? Przed kobietą łatwo zgrywać bohatera. Prosiła o książkę, a pan w kółko: „Tam nie ma nic dla pani, to nie rękopis”. Widzicie, jaki ważny! A wszystko dlatego, że kawalerowi romansów się zachciało i dostał kosza.

(– Nie wiedziałem, czy śmiać się z tych bzdur, czy dać mu w mordę – opowiadał w domu Broniś. – Klara opętała biedaka. Nagadała niestworzonych rzeczy, a on wierzy każdemu słowu wychodzącemu z jej umalowanych ustek.)

– Tak, dostał pan kosza – powtórzył Sylwester z mściwą radością. – Wiem o tym.

– A pan nie dostał? – Broniś spojrział prosto w płonące gniewem oczy magazyniera.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Sylwester odskoczył od schodów, jak gdyby ugryzła go żmija. Broniś mógł nareszcie pozbyć się krzesła.

– Nie wiadomo, co takiej dziewczynie strzeli do głowy

– zauważyła wieczorem ciotka. – To intrygantka. Może napleść dyrektorowi niestworzonych rzeczy, właśnie na przykład, że ją napastujesz. Jest tak ładna, że wyda się to całkiem prawdopodobne. Bądź na to przygotowany. Co powiesz dyrektorowi, jeśli cię zawezwie i oskarży o napastowanie kole-, żanki w czasie pracy?

– Nie wiem. Przypuszczalnie zachowam się jak idiota. Ale ona tego nie robi.

– Czy dlatego, że jest „dżentelmenem” w spódnicy?

– w pytaniu ciotki zabrzmiała odrobina ironii.

– Och, na pewno nie jest takim dżentelmenem jak ja

– Broniś skłonił się przesadnie – ciocia jej przecież nie wychowywała, ale zawsze... Nie, ona tego nie robi.

– Dałby to Bóg – westchnęła ciotka Zuzanna.

76

8

Po świętach rozsrożyła się zima i powiało chłodem w wielkich salach Biblioteki. Przez wysokie, sięgające podłogi pałacowe okna wciskał się lodowaty wicher. Delikatna pani Aurelia siedziała cały dzień w króliczym futerku, a panna Marta, owinięta czerwonym szalem, grzała ręce przy kubku gorącej herbaty. Drugie śniadanie stało się znowu najmiłszą chwilą w długim dniu pracy, niecierpliwie wyczekiwaną i mijającą zbyt szybko.

W bocznych skrzydłach było trochę cieplej, ale najlepiej pracowało się w starym magazynie. Dzięki zastawionym półkami oknom trudno tam było odczuć zmiany klimatyczne. Temperaturę utrzymywano mniej więcej jednakową, dbając przy tym, dla dobra książek, o odpowiedni stopień wilgotności powietrza.

Gdy mróz doszedł do dwudziestu stopni, Broniś większą część dnia spędzał w magazynie. Urządził sobie biurko przy bocznym stole, na którym Sylwester układał zazwyczaj książki wypożyczone do czytelni lub tak zwane zwroty. Ponieważ nieczęsto zdarzało się, by kto zamawiał egzemplarz batignol-ski, stół przeważnie stał bezużyteczny.

Wątpliwe, żeby Sylwester rad był z jego towarzystwa. W każdym razie okazywał jedynie milczącą wrogość. Panna Michałowska zjawiała się rzadko, przeważnie gdy Broniś szedł na górę na śniadanie lub do katalogu. Przy spotkaniu młody człowiek składał ceremonialny ukłon, na który otrzymywał zaledwie skinienie głową i przenikliwe spojrzenie.

– Bada mnie – mówił ciotce. – Jest ciekawa, co wiem, a czego się domyślam. Mam nadzieję, że nie spodziewa się, bym prowadził systematyczne poszukiwania książek dziada Aleksandra.

77

W najchłodniejszym dniu owej zimy Broniś dokonał znów doniosłego odkrycia. Na pięknie oprawnym w skórę „Bohaterskim żywocie admirała Nelsona” znalazł notatkę uczynioną ręką dziada, który wyraźnie przeznaczał książki synowi, odsyłając go jednocześnie do innej pozycji swego księgozbioru.

Zygmusiu – czytał Broniś – pragnę, byś zapoznał się z romansami pana Balzaka. Dowiesz się z nich dużo o ludziach. Szczególnie polecam ci „Księżnę de Langeais”.

Po czym następował podpis i data bez roku: 28 styczeń.

Ukrywszy książkę w teczce, Broniś pognął do katalogu. Niecierpliwie przerzucał kartki w szufladce. Ba-Bal. Ileż tam było pozycji Balzaka! Ile dzieł! Po francusku, po polsku, różne wydania, z różnych epok i lat. „Księżnę de Langeais” spotkał wiele razy, ale nie było egzemplarza batignolskiego. Gorączkowo wracał do poprzednich pozycji, szukał, sądząc, że pan Błażewicz się pomylił, gdy włączał kartki, układając je w alfabetycznym porządku.

Co zrobić? Może Klara, znalazłszy książkę, a w niej kapitalnej wagi notatkę, wyjęła kartkę z szufladki, zacierając tym samym wszelki ślad po istniejącym dziele?

Zmartwiony i rozczarowany udał się po pomoc do kierownika katalogu.

– Szukam pewnej powieści Balzaka z księgozbioru batignolskiego, ale nie ma kartki. Jaka na to rada, panie Adamie?

Pan Błażewicz spojrzał dobrotliwie na zatroskaną twarz Bronisia.

– A może jest w dziełach zbiorowych? – spytał podchodząc do szafki. –

Poszukajmy...

Broniś wrócił z nowym zapalem do pierwszych pozycji, do „Oeuvres completes”, czyli „Dzieł zbiorowych”, „Pism zebranych”, „Komedii ludzkiej”, „Powieści”, jednym słowem do tych tytułów, pod którymi publikowano prace te-

78

go płodnego pisarza, i już wśród pierwszych egzemplarzy francuskiego wydania „Dzieł” znalazł dwa egzemplarze ba-tignolskie.

– Gdyby o to samo pytała panna Michałowska – powiedział wahajaco – czy mógłbym prosić, by pan nie doradził jej batignolskich egzemplarzy zbiorowego wydania dzieł Balzaka?

Pan Błażewicz błysnął zza okularów uważnym spojrzeniem.

– Och, to nic ważnego – pospieszył z wyjaśnieniem Broniś. – Panna Klara poszukuje stale dziewiętnastowiecznych rękopisów i zajmują ją nawet notatki na książkach, na przykład tych z opracowywanej przeze mnie kolekcji. Bardzo mi to przeszkadza w robocie. Trzyma nieraz poszczególne egzemplarze dosyć długo...

Pan Błażewicz skinął głową.

– Rozumiem. A pan je pewnie opracowuje po kolei, jak stoja w magazynie. Zatem w razie potrzeby będzie mogła otrzymać tę pozycję bezpośrednio od pana.

– Otóż to – przytaknął skwapliwie Broniś, zadowolony, że wybrnął jakoś z kłopotliwej sytuacji.

Pan Błażewicz uśmiechnął się przyjacielsko.

– Ta młoda osoba jest niezwykle urodziwa, prawda?

– Niezwykle – powtórzył z entuzjazmem Broniś. – Nie ma chyba piękniejszej dziewczyny w Warszawie.

Z ust pana Błażewicza nie schodził dobrotliwy uśmiezek.

– Przy tym wybitny z niej pracownik naukowy, jak słyszałem.

– Tak jest, zrobiła jakieś ważne odkrycie...

– Panu też przydałoby się coś odkryć, młody człowieku...

Broniś nie odpowiedział, ale zapisawszy sygnaturę podziękował panu Błażewiczowi za pomoc i pospieszył do magazynu. Niestety zastał drzwi zamknięte na klucz. Z wywie-

79

szonej kartki dowiedział się, że Sylwester jest w głównym magazynie na zebraniu, a panna Regina poinformowała go, że doktor Rayski zwołał magazynierów z całej Biblioteki, by zapoznać ich z nowymi przepisami, co do zabezpieczenia książek i ochrony przed pożarem.

– Główny magazyn rozporządza najnowocześniejszymi urządzeniami w tej dziedzinie – zakonkludowała panna Regina z dumą. – Wiem, że w razie pożaru drzwi zamkną się automatycznie i znacznie wydzielać się specjalny gaz dla ugaszenia ognia. Gdyby ktoś został więźniem tej hermetycznej pułapki, zginąłby. Płomienie nie uczyniłyby mu co prawda krzywdy, lecz znalazłby straszną śmierć przez uduszenie. Słyszac to panna Marta wzdrygnęła się pod czerwonym szalem.

Tego dnia stary magazyn do końca pozostał zamknięty.

– Tak nie powinno być – irytował się w domu Broniś. – Jeśli urządzają jakieś idiotyczne zebrania, nie mogą zamykać Biblioteki na kłódkę. W głównym magazynie pełniono dyżur i praca szła zwykłym trybem, czyż nie można było tak samo zorganizować i tu? Sylwester nie jest niezastąpiony, to co robi, potrafi każdy magazynier.

Nazajutrz, zostawiwszy palto w szatni, popędził na górę. Było jeszcze wczesnie. Niecierpliwie wyglądał ósmej, by udać się do starego magazynu. Fatalna kartka w dalszym ciągu kłuła nieprzyjemnie w oczy. Przypuszczając, że Sylwester zapomniał zdjąć wczorajsze zawiadomienie, nacisnął klamkę, drzwi jednak nie ustąpiły. Zdenerwowany wrócił na górę, dotykając przechowywanej w kieszonce karteczki z sygnaturami poszukiwanych dzieł

Balzaka.

Po godzinie biegł znowu długim korytarzem, tym razem pewny, że zastanie Szam szeroko otwarty, znalazłszy się bowiem przy drzwiach posłyszał szmer dochodzący z wewnątrz, a następnie stukot upuszczonej książki. Mimo jednak energicz-

80

nego szarpnięcia, a potem pukania, drzwi oparły się wszelkim wysiłkom z jego strony.

Wyprowadzony z równowagi wrócił do sali katalogowej i ujął słuchawkę. Słyszał, jak telefon dzwonił długo i przeciągle, nikt jednak nie odpowiadał.

Wówczas wykręcił numer działu kadr.

– Mówi Mączyński. Bardzo przepraszam, ale chciałbym się dowiedzieć, czy pan Sylwester przyszedł dziś do Biblioteki?

– Zaraz sprawdzę – odparł nieznany Broniowski głos kobiecy.

Czekał dłuższą chwilę, po czym ten sam głos poinformował:

– Nie, proszę pana, zawiadomił, że jest chory. Broniś zniechęcony odłożył słuchawkę na widełki. Dzień

wydał mu się nagle szary, nudny, bezcelowy. Co właściwie ma ze sobą robić do trzeciej? Jakże będą się wlokły nieskończenie długie godziny! Nie mógł usiedzieć na miejscu, kąta za szafami okazał się jakiś ciasny i niewygodny. Wstał gwałtownie, postanawiając szukać rady u niezawodnego pana Błażewicza.

– Nie mogę dostać się do starego magazynu – poskarżył się starszemu koledze. – Wczoraj Sylwester był na zebraniu i wywiesił kartkę, która do tej pory zdobi drzwi. W kadrach powiedziano mi, że dziś nie przyszedł z powodu choroby. Ktoś tam jednak jest, słyszałem hałas.

Pan Błażewicz potrząsnął głową.

– Niemożliwe – odparł stanowczo. – Kluczami od magazynu dysponuje wyłącznie doktor Rayski i jeśli Sylwester nieobecny, nikt nie ma tam prawa wstępu, chyba że szef magazynu delegował kogoś innego na jego miejsce.

– Gdy pukałem, otwarto by mi przecież.

– Naturalnie. Z pewnością pan Rayski posłał kogoś do obsługi nielicznych amatorów tej starzyny. Może magazy-

6–Cień dłuższego.

81

nier nie słyszał pukania lub był na drabinie i nie zdążył zejść w porę.

– Strasznie mi to nie na rękę.

Pan Błażewicz sięgnął po słuchawkę telefonu i nakręcił numer.

– Czy pan doktor? – spytał po chwili. – Dzień dobry panu, tu Błażewicz... Chciałbym się dowiedzieć, jak tam ze starym magazynem... podobno Sylwester chory?... Tak, słyszałem... Nie, nic specjalnego... Czy można się tam jakoś dostać? Dziś nie... Owszem, mogę... Jeszcze jedno pytanie, czy dawał pan komuś klucze, bo zdawało mi się... Nie? Nikomu? Dobrze, tak, dziękuję. Do widzenia panu.

Broniś przestępował z nogi na nogę z niecierpliwością.

– Doktor Rayski mówi, że dziś nikt nie otwierał starego magazynu, dotąd nie było zapotrzebowania z czytelni na ba-tignole. Powiedział, że jutro chętnie udostępni mi stary magazyn, czyli wyznaczy magazyniera do obsługi czytelników i interesantów z terenu Biblioteki. Niestety, dziś nie może tego zrobić, ma bowiem wyjątkową sytuację: kilku ludzi chorych i nawał zamówień do zrealizowania. A więc czekajmy. Jutro będzie lepiej.

– Dziękuję panu bardzo i przepraszam za kłopot. A jednak słyszałem hałas.

– Musiało się panu zdawać, hałas mógł dochodzić z korytarza. Nikomu przecież nie wydadzą klucza. Magazynier jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo i całość zbiorów. To było złudzenie.

Nie przekonał jednak Bronisia, który doskonale obeznany z akustyką piętrowej, wypełnionej książkami sali, był pewien ludzkiej obecności w starym magazynie. Nie pozostawało nic innego jak cierpliwe czekanie. Dzień ten zapisał się w pamięci Bronisia jako „najpaskudniejszy dzień w Bibliotece Narodowej”.

– Opanuj się, chłopcze – mówiła przy obiedzie ciotka

82

Zuzanna. -- W całej Warszawie szaleje grypa. Sylwester może być dłuższy czas nieobecny. Pani Tymoniecka jakoś temu zaradzi.

– Ale ona tam była. Wchodzi swobodnie, kiedy chce, jest sama, robi, co jej się podoba.

– W jaki sposób? Pan Błażewicz zapewnił cię, że tylko kierownik magazynu dysponuje kluczami.

– Nie wiem, nie wiem. Boję się, że znajdzie kartkę przeora. Ma przecież całkowitą swobodę.

– A jeśli rzeczywiście uległeś złudzeniu?

– O nie, wyraźnie słyszałem, jak upadła książka. Szczurów nie ma w magazynie. To ona.

– W takim razie, jeżeli jesteś tak pewien, to chyba ma własny klucz?

Broniś odłożył widelec.

– Psiakostka! – zawołał. – Ona na pewno ma klucz! Nie brakło jej okazji do sporządzenia duplikatu.

– Jak się to robi? Czytałam kiedyś w pewnej powieści kryminalnej, że należy sporządzić odcisk w wosku, czy to prawda? Teraz chyba można to zrobić w plastelinie, ale czy wystarczy?

– Wystarczy. Dobry ślusarz potrafi wykonać jeszcze trudniejszą robotę.

– Wobec tego nie ma co się dłużej zastanawiać. Jutro postaraj się, by ci udostępniono stary magazyn, a dziś nie myśl o tym więcej. Pójdziemy do kina na „Lamparta”.

Następnego dnia pani Tymoniecka zjawiała się za szafami.

– Dowiedziałam się, że Janek Sylwester chory – zaczęła siadając. – Co pan zamierza zrobić?

– Jestem w wielkim kłopotcie – wyznał Broniś – chciałem prosić panią o pomoc.

– Ma zapalenie oskrzeli i najmniej tydzień pozostanie w domu. Nie możemy na tak długo przerywać pracy przy batignolach. Rozmawiałam z doktorem Rayskim.

Dostanie

pan klucz do wyłącznej dyspozycji, ale nie wolno panu nikogo wpuszczać do magazynu. Będzie pan odpowiedzialny tylko za siebie. Dla całej Biblioteki stary magazyn jest nieczynny i jeśli ktoś gwałtownie potrzebuje obejrzeć batignolskie pozycje, musi zgłosić się do doktora Rayskiego lub do głównego magazyniera. Dla pana uczyniono na ten tydzień wyjątek. Proszę tylko nie zapominać przed każdorazowym wejściem i wyjściem zamknąć dobrze drzwi, zgasić światło i zabrać klucz.

– Widząc zaś rozpromienioną twarz Bronisia dodała:

– A teraz może pan pójść po klucz. Codziennie o drugiej należy odnosić go doktorowi Rayskiemu. Poręczyłam za pana.

Nigdy jeszcze z taką radością nie biegł korytarzem łączącym pałac z głównym magazynem. Gdy wracał, ściskając klucz w rękę, chciało mu się śpiewać. Ostrożnie otwierał drzwi. Kontakt był tuż przy wejściu. Światło lamp zalało wysokie regały. Bronis przygotował się na samotność, co stanowiło dodatkowy awantaz nowej sytuacji. Rozkoszował się ciszą; w powietrzu unosił się leciutki zapach lawendy. Już po chwili jednak do przyjemności samotnego przebywania w magazynie dołączyła się denerwująca świadomość czyjejs obecności. Przeszedł przez całą salę, głośno stawiając stopy w traktorach. Nie mógł spokojnie rozpocząć poszukiwań nie upewniwszy się, że jest rzeczywiście sam. Zagłębił się między regały, przemierzył korytarze zamknięte skórzanymi lub w skromne, szare płótno odzianymi grzbietami stojących na półkach książek. Następnie wszedł na galeryjkę.

I nagle zgasło światło. Otoczyła go tak gęsta ciemność, że stracił poczucie miejsca. Ciemność i dzwoniąca w uszach cisza. Posunął się ostrożnie naprzód, namacawszy jedną ręką poręcz galeryjki, drugą zaś opierając o wypełniony regał. Obawiał się, że światło zgasło wskutek awarii, przez co nadzieja swobodnego poszukiwania spełźnie na niczym. Jednocześnie uczył niepokojącą obecność kogoś drugiego. Usiłował

przypomnieć sobie, gdzie na galeryjce widział kontakt, gdy w brzęcząca i jak gdyby głośnie ciszę wpadł szelest ludzkich kroków, a za sekundę ktoś biegł ku wyjściu stukając wysokimi obcasami. Bronis jednym skokiem znalazł się na dole, lecz dopiero przy drzwiach dopadł zbiega. Postać wywinęła się zręcznie z jego wyciągniętych rąk. Trzasnęły zamykane drzwi. Nim uporał się z zamkiem, korytarz był pusty. Przekreślił kontakt i lampy rozbłysły pod sufitem. Na podłodze leżał porzucony w ucieczce zielony biblioteczny kitel.

Na okrągłym stoliczku ciotki Zuzanny pysznił się wielki foliał oprawny w skórę, a złote litery składały nazwisko Honoriusza Balzaka. Bronis, wtulony w fotel, nie spuszczał oczu z zagadkowej księgi.

Za oknem czerniała noc, śnieg sypał cicho dużymi płatkami; czasem zaturkotał przejeżdżający tramwaj i zaszczekał pies, wyprowadzony na wieczorny spacer.

– A więc możemy przystąpić do dzieła – powiedziała nagle ciotka, odrywając wzrok od złożonych liter tytułu.

Zbiór powieści Balzaka, wśród których znajdowała się upragniona „Księżna de Langeais”, okazał się kopalnią bogatą w niezwykle odkrycia. Było to popularne w swoim czasie wydanie albumowe z ilustracjami modnych wówczas rysowników, a dziad Aleksander zebrał i kazał razem oprawić szereg powieści genialnego autora „Komedii ludzkiej”.

– Nie zwiódł mnie biblioteczny kitel – zaczął Bronis, dotykając pięknie złożonego grzbietu. – To była ona. Ma klucz i myszkuje po starym magazynie. Sylwester nic pewnie o tym nie wie.

– Co zrobiłeś z fartuchem?

– Zostawiłem w magazynie. To nowiutki fartuch, przydzielony jej do pracy, którego nigdy nie używa. Myślała, że mi zamydli oczy. Idiotka. Zamknąłem drzwi na dwa spusty, zostawiłem klucz w zamku, aby nikt nie mógł wejść bez mojej wiedzy. Zapaliłem wszystkie lampy i zabrałem się do poszukiwań. Przedtem jeszcze obszedłem cały magazyn i nauczyłem się na pamięć, gdzie są kontakty. Po raz drugi nie dam się zaskoczyć.

– Czy książka stała na miejscu?

– Tak. Widać jeszcze nie przewąchała, że coś tam jest ciekawego. Mamy nad nią przewagę. A gdy dowiemy się, czego szuka...

– Nie zapominaj, że ona zna tajemnicę dziada Aleksandra, a my nic nie wiemy, najwyżej możemy domyślać się i snuć mniej lub więcej trafne przypuszczenia.

– Ale my zaraz dowiemy się prawdy. – Broniś pogłaskał arcydzieło francuskiego introligatora. – Książka stała na dole, na najniższej półce, w najdalszym kącie magazynu. Żeby trudniej było znaleźć.

Ciotka Zuzanna przetarła okulary, a Broniś otworzył czcigodny tom i przerzucił kilkadziesiąt stron ukazując kartę tytułową „Księżny de Langeais”, ozdobioną rysunkiem kobiecej postaci w bufiastej sukni, w kapeluszu wiązonym pod brodą na piękną kokardę.

– Od razu zobaczyłem – zniżył głos, jak gdyby w obawie, że ktoś niepowołany może usłyszeć ich tylko obchodzące rewelacje. – O tu, proszę spojrzeć, między kartkami wklejone cieniutkie arkusiki bibułki, gęsto zapisane ręką dziada. Jest ich sześć...

Pochylili się nad książką.

– Wziąłem kilka tomów tego samego formatu i przeniosłem wszystko na moje biurko w sali katalogowej... Tam wpakowałem Balzaka do teczki. Obawiałem się, że ktoś spostrzeże, iż wynoszę książkę, jest taka duża, rozpycha teczkę i wi-

86
dać... Ale nikt nie zwrócił uwagi. Jak ciocia myśli, co z tym zrobimy?

Ciotka uważnie studiowała bibułkowe arkusiki, powklejane co trzy, cztery karty Balzakowskiej powieści.

– Musimy je wyjąć z książki – powiedziała po chwili. – To delikatna robota i trudna. Bardzo precyzyjnie wklejone, klej doskonały, tyle lat trzyma. Należy tak to zrobić, by nie pozostawić śladów, inaczej panna Michałowska mogłaby cię niepokoić. Później odczytamy notatkę dziada.

– Już widziałem początek, zaczyna się od słów: Do mego syna...

– Z tym czystszy sumieniem przystąpimy do dzieła. Synem tym był przecież mój ojciec, a ty jesteś jego wnukiem. Mamy zupełne prawo, ten list z za grobu do nas jest skierowany.

Zręcznym palcom ciotki Zuzanny, za pomocą nożyczek do manikiuru, udało się odciąć kartki rękopisu od paska bibułki przytwierdzonej zadziwiająco trwałym klejem do stron „Księżny de Langeais”, okazało się bowiem, że odklejenie całych arkusików nie jest możliwe. Następnie, gdy sześć zapisanych kartek rozłożono na stole, ciotka ciepłą wodą zwilżyła przyklejone brzegi bibułki, które po pewnym czasie odstały od kart książki. Gdy papier wysechł, znikły wszelkie ślady tego niezwykłego „włamania” do wnętrza Balzakowskiej powieści.

– No, a teraz możemy spokojnie dowiedzieć się, czego chciał dziad Aleksander od mego ojca – oznajmiła ciotka, prostując się i wycierając palce w ściereczkę. – Przynies lupe.

Broniś, uzbrojony w szkło powiększające, ściszone głosem odczytywał wyblakłe litery. Ciotka w skupieniu notowała każde słowo.

Do mego syna – zaczynał się rękopis. – Kochany Zygmsiu, wierzę, że książka ta, choć chwilowo dla bezpieczeństwa przekazana wraz z innymi w depozyt Bibliotece Szkoły Naro-

bi

dowej Polskiej na Batignolles, prędzej czy później trafi do twoich rąk. Wierzę też, że postąpisz najwłaściwiej, jak ci honor i obowiązek Polaka nakaże. Idzie o rzeczy wielkie, o wielkie bogactwo, które jest własnością narodu i służyć ma narodowej sprawie.

Broniś przerwał i spojrzał na ciotkę.

– Bogactwo – powiedział dobitnie. – Słyszysz ciocia? Chodzi o wielkie bogactwo. Czy tego szuka panna Klara?

– Czytajmy dalej – ciotce ze wzruszenia drżały ręce. – Czytaj, Bronisiu, to do mego ojca...

Długo wahałem się, czy zabrać tę tajemnicę do grobu, czy przekazać ją komuś godnemu zaufania. Wiemy o tym tylko my dwaj, mój przyjaciel ??? ? ja. Przeor już nie żyje, Bar-no, kryjąc się przede mną, jeździł do kraju. Nie wiem, po co, lecz domyślam się i jestem niespokojny. Najmniejsza nieostrożność może wszystko zaprzepaścić. Tyle lat skarb spoczywał bezpiecznie, a wystarczy chwila głupoty, by wpadł w niepowołane ręce. Moim obowiązkiem nie dopuścić do takiej profanacji, nie mam prawa stać się współnikiem mimowolnej nawet zdrady.

Izydorczyk zapewnił, że książki, które dam na przechowanie do Biblioteki Szkoły Batignolskiej, przeleżą bezpiecznie do mojej śmierci lub do twojej, Zygmsiu, pełnoletności. Tak więc czynię z nadzieją, że Bóg Najwyższy nie dopuści, by

przepadł ostatek społecznego mienia.

A teraz czytaj uważnie, co mam ci do zakomunikowania. Pamiętasz naszą wycieczkę statkiem do pięknej Italii? Pamiętasz, jak oglądaliśmy wyspę Monte Christo?

Byłeś wtedy pod wrażeniem powieści Dumasa, marzyłeś o skarbach, o tajemniczych grotach i pieczarach. Rzeczywistość, mój chłopcze, często prześciga najśmielszą fantazję pisarza, stąd wniosek, że dobry pisarz czerpie z życia, gdyż tylko tam znajduje wzory tych zdawałoby się awanturnicznych i nie zdarzających się nigdy wypadków. Jest skarb tak ukryty, że przeleżeć może do końca

88

świata, ukryty przy trzech świadkach, z których pierwszy już nie żyje, a twój ojciec jest jednym z dwóch pozostałych.

Byliśmy wówczas bardzo młodzi, ja ? ????, którego znasz od urodzenia, choć nie masz dla niego sympatii. Dlaczego? Nie wiem. Jakiś dziecinny, ślepy instynkt każe ci nie dowierzać temu człowiekowi. Dla mnie on bratem, przyjacielem od lat najmłodszych. Dotąd nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Ojciec mój kochał go jak syna, za to matka nie podzielała jego afektu.

– To złe dziecko – mówiła nieraz. – Niedobre towarzystwo dla naszego Aleczka. (Tak mnie w domu pieszczotliwie nazywano).

Ojciec ???? był ziemianinem i zarządzanie wielkim majątkiem zabierało mu mnóstwo czasu. Doskonały gospodarz, lubił dojrzeć sam wszystkiego, mawiając zazwyczaj:

– Pańskie oko konia tuczy.

Ciągle poza domem, nie mógł zajmować się osobiście wychowaniem dzieci, które z musu spoczywało na barkach matki, wątłej, chorowitej kobiety, większą część roku spędzającej w łóżku. ???? kochał rodziców: ojca szanował i obawiał się jednocześnie, matkę wprost ubóstwiał. Zresztą i ona miała do niego słabość. Gdy spojrział tymi wspaniałymi oczami, serce po prostu topniało w człowieku.

Dobrze nam było razem.

Gdy szliśmy do powstania i żegnałem się z rodzicami, a matka ostatni raz pobłogosławiła, pamiętam, jak szepnęła do mnie:

– I on z tobą? Nie wierz mu, Aleczku, strzeż się.

To było straszne i niesłuszne podejrzenie. Barno dokazywał cudów męstwa, był zawsze pierwszy w każdej potyczce, nigdy nie narzekał, znosił cierpliwie niewygodę. I opiekował się mną po bratersku. W tych ciężkich czasach przyjaźń nasza bardziej się umocniła, jeśli to możliwe, i na zawsze zachowam w sercu wdzięczność, gdyż szczere przywiązanie najdroższa to i rzadka rzecz w życiu człowieka.

89

Potem przyszła klęska.

???? odznaczony za Waleczność przez samego Romualda Traugutta, z narażeniem życia uratował skarb, który gdyby nie jego odwaga i przytomność umysłu, wpadłby w ręce wroga.

Znałem przeora pobliskiego klasztoru. Choć od niedawna w naszych stronach, zyskał powszechny szacunek. Wielki to był patriota, wieczny mu pokój, { dobrze przysłużył się sprawie. Ileż ludzi zawdzięcza mu żydeł Pewnej nocy był u nas w obozie, dysponując na śmierć rannego kolegę. Wówczas powiedzieliśmy mu o skrzynce.

– Przywieźcie – rzekł przy pożegnaniu – a ja tak ukryję, że przeleży i do Sądnego Dnia.

Następnej nocy, za zgodą dowódcy, wzięliśmy skrzynkę, ???? ? ja, zawieźliśmy do przeora. Noc była tak ciemna, że nie widziało się końskiego łba przed sobą. Do klasztoru mieliśmy ze trzy mile. Pędziliśmy polnym{ drogami, oglądając się za siebie. Niebezpieczna to była pora. Patrole wroga snuły się po okolicy. Cudem chyba uniknęliśmy tragicznego w skutkach spotkania.

Pierwszy raz wówczas znalazłem się w celi przeora. Widzę jeszcze jego wysoką postać i głębokie spojrzenie mądrych oczu. Widzę stół założony papierami, świece w mosiężnych lichtarzach. Jakie to dalekie stąd i jak dawno się działo, a wydaje się, że to wszystko przeżyłem zaledwie wczoraj.

Prawdę mówił przeor, gdy wspominał o skrytce i twierdził, że skarb przeleży do Sądnego Dnia. Sam szatan nie trafiłby do środka. Powierzyliśmy nasz cenny ciężar z całym spokojem tak pewnej kryjówce. Przeor dai ?{ kartkę, na której wypisał kiedy, jak i gdzie szukać, by odzy>skać depozyt. Rozstając się z nami dodał:

– Ja może nie doczekam, ale wy, młodzi...

Jakże trafnie, biedak, odgadł. Umarł w kilka lat potem, podczas epidemii. Leczył z^ielu chorych, wcale się nie oszczędzał. Urządził w klasztorne szpital. O tym

wszystkim dowiedzieliśmy się tu, w Paryżu⁹⁰ Musieliśmy bowiem na gwałt ucie-

kać, opuszczać może na zawsze rodzinne strony. Ciężka to była chwila. Rozpacz wygnania łagodziła tylko młodość i nadzieja rychłego powrotu. Niestety. Za nasz udział w powstaniu rozstrzelano mego ojca, a potem ojca Barna zesłano na Sybir, gdzie zmarł na tyfus w pierwszym miesiącu. Jego matka zgasła na serce, a moja zginęła podczas epidemii. Dwory spalono, zabrano ziemię, skonfiskowano inwentarz.

Nie mieliśmy właściwie do czego wracać, bo nawet zbezczeszczono groby przodków. Straszne to były czasy i wy, urodzeni na francuskiej ziemi, nie przeżyjecie podobnych. Takie czasy potrafią złamać najsilniejszych, a ze słabego niekiedy uczynić bohatera. Poszliśmy więc na tułaczkę, ale razem, i jeden dla drugiego stanowił część ojczyzny. Z początku Barno był dobrej myśli i często snuł marzenia, jak to my dwaj wrócimy po ukryty skarb. Potem przestał o tym mówić. Ja miałem kartkę przeora, bez której wskazówek nie bylibyśmy w stanie odzyskać świętego depozytu, mimo że asystowaliśmy przy jego chowaniu. Strzegłem jej przez te lata jak oka w głowie. Barno nigdy o nią nie pytał. Ale wydaje mi się, że czuł do mnie urazę. Może powinienem był jemu ją powierzyć? Mnie jednak przeor wręczył ten papier, gdyż mnie znał, a Barna nigdy dotąd nie spotkał. Sądzę jednak, że od tej chwili coś zaczęło nas dzielić. Z początku niedostrzegalnie, gdyż żyliśmy razem jak bracia, ale z biegiem lat, gdy każdy z nas założył rodzinę i zamieszkał osobno... Może zresztą tak mi się wydaje, może naturalna to kolej rzeczy. Nie wiem. Smutno mi jednak i ciężko, gdyż Barno to jedyna więź z przeszłością, z domem rodzinnym, z najdroższymi, których już nie ma, ze szczęśliwym dzieciństwem, z młodością... On chyba odczuwa podobnie. Kilka dni temu powiedział mi:

– Tak, tak, zmieniliśmy się, już my nie tacy jak dawniej. Ciekaw jestem, co miał na myśli. Czy i jego to samo gnębi? Wówczas po raz ostatni rozmawialiśmy o skarbie.

– Synowie odnajdą to, czego nam nie dano wydobyć z ukrycia.

91

– Nie wiadomo, czy skrzynka doczeka bezpiecznie odparł na moją uwagę.

– Cóż jej się może stać? – spytałem ze zdziwieniem.

– Wszystko. Na przykład zniknie. Ot, po prostu ktoś nas uprzedzi.

– Barno, czyś oszalał?

Zgasił blask wspaniałych oczu jak kot.

– Czy sądzisz, że nikt nie wie?

– Tylko my trzej – zaprotestowałem gorąco. Uśmiechnął się z politowaniem.

– Nie każdy taki głupi jak my – szepnął.

– Barno!

– Cóż chcesz, złoto leży bezużytecznie i leżeć ma długo jeszcze, a po naszej śmierci, może w wiele lat potem przy jakichś robotach natrafiają na skrzynkę. Czy myślisz, że skarb przysłuży się wówczas narodowej sprawie?

– W obecnej sytuacji naturalnie, że nie. Ale nic nie trwa wiecznie. Minie i niewola, jak tyle innych rzeczy. Runęły w gruzy większe potęgi. Nam trzeba czekać i wytrwać.

Zaśmiał się cicho.

– Marzycielu, niepoprawny marzycielu – poklepał mnie po ramieniu. – Wierz mi, gdybyśmy byli mądrzy, skrzynka znajdowałaby się tu, w Paryżu.

– W jaki sposób?... – zacząłem.

– To moja sprawa – przerwał. – Na wszystko są sposoby. Ale ty się nigdy nie zgodzisz. Wiem o tym. Choćby całe bogactwo miało przepaść lub pójść na marne. Znam cię zbyt dobrze. Więcej o tym nie mówmy, po co rozdrażniać bolące rany? Na tym więc zakończyliśmy rozmowę o skarbie. Potem raz tylko powróciliśmy do kartki przeora.

*9 Przekażemy tę wiadomość przed śmiercią naszym synom – powiedziałem pewnego dnia.

– A do tego czasu? – spytał patrząc na mnie uważnie.

92

– Niech leży w spokoju – odparłem. – Jest bezpieczna. Jeśli będę umierał, tobie ją zostawię.

– A jeśli śmierć przyjdzie nagle? – rzucił wyzywająco.

– Ty ją dostaniesz w każdym razie – zapewniłem. – Trafi do twoich rąk, już tak to urządę.

Wzruszył ramionami, jak gdyby mało go to wszystko obchodziło, ja jednak wiem, że stale o tym myśli. I dlatego jestem niespokojny. Wczoraj długo rozmawiałem z Izydorczykiem. To stateczny i mądry człowiek. Przekazałem mu już wiele książek. Obiecał, że wszystkie przechowa w Bibliotece Batignolskiej. Sporządziłem własnoręczny spis zdeponowanych dzieł w dwóch egzemplarzach. Jeden zachowałem sobie, drugi spoczął w aktach Szkoły. Pamiętaj jednak, Zygmusiu, że wszystkie te książki są twoją własnością. Każdej chwili możesz je wycofać, gdy zechcesz lub gdy minie niebezpieczeństwo. Taka między nami umowa, Izy-dorczyk przystał na moje warunki, ma pełnomocnictwo Szkoły, co się tyczy Biblioteki i depozytów. Nie ja jeden zresztą zostawiam u nich książki. Wielu to czyni z różnych przyczyn. Niektórzy ofiarowują, wzbogacając przez to księgozbiór szkolny, inni, jak ja, dają jak gdyby na przechowanie, na czas nieokreślony. Może na zawsze. Może i ty, Zygmusiu, przekazesz te książki pamięci swego syna? Kto wie, kiedy mój syn, wnuk czy prawnuk przerzuci te kartki. Pragnę jednak, byś pamiętał o tych moich cichych przyjaciołach, byś do nich kiedyś wrócił i przeczytał, co w niektórych nagryzmoliłem. Każdą pozycję podpisałem moim nazwiskiem, każda łatwa więc do rozpoznania. Spis zostanie w moich papierach.

I jeszcze jedna do ciebie prośba, mój synu. Nie wspominaj nigdy o tych książkach mojemu przyjacielowi. Barno niczego się nie domyśla i nie chce, by wiedział. To nie brak zaufania, o nie, przecież i on zna prawdę, ale na przyszłość tak będzie lepiej. Nie mów więc, że część mojej dość bogatej biblioteki przekazałem

93

Szkole, że złożyłem tam w depozyt pewne książki, że napisałem ci o skarbie i że w ogóle coś na książkach bazgrałem. Proszę cię o dyskrecję. Nie lubisz go, obawiałeś się go od dziecka, wzdryga-łeś się, gdy cię dotknął niespodziewanie. Obserwowałem te objawy, lecz uważałem je za dzieciństwo. Chwilami jednak myślę, że może miałaś rację? Może jest uzasadniona ta awersja jakimś podświadomym przeświadczeniem o dzielącej nas różnicy zdań? On też nie darzy cię zbyt wielką serdecznością, to również zauważyłem, ale ponieważ jesteś moim synem, stara się okazać ci jak najwięcej ojcowskiego afektu. Może z czasem dojdziecie do porozumienia. Gdy dorośniesz, spojrzysz na niego innymi oczami. To bohater. Nigdy o tym nie zapominaj. Walczył za Ojczyznę i wszystko poświęcił dla Wolności.

Kiedyś takim jak on wystawia pomniki, a ich nazwisk uczyć się będą dzieci w szkole. Dziś jest takim samym jak ja wygnańcem, takim samym tułaczem na obcej ziemi. Zygmusiu, czytaj moje książki i pamiętaj, co ci powiedziałem. Pamiętaj nasze rozmowy i wspólne przechadzki, gdy razem odkrywaliśmy piękno starego Paryża. Twój ojciec.

Późno w noc paliła się lampa w pokoju ciotki Zuzanny. Broniś zapomniał, że o ósmej rano musi być w Bibliotece, że zazwyczaj trudno mu wstać o wpół do siódmej.

Leżący na stoliku rękopis dziada Aleksandra pograżył ciotkę i bratanka w zupełnie innym świecie, wyrywając ich zdawałoby się z rzeczywistości. W obecnej chwili jedynym realnym faktem był dla nich skarb, czekający gdzieś na odkrywcę.

– Wiemy nareszcie, czego szuka prawnuczka pana Michałowskiego – rzuciła w pewnym momencie ciotka, zamykając niepotrzebną już „Księżnę de Langeais”.

– Skąd o tym wie? Czy od Barna?

– Przypuszczalnie. Dziad Aleksander pisze wyraźnie, iż umierając przekaze kartkę przeora przyjacielowi.

– Umarł nagle, może nie zdążył wydać odpowiednich dyspozycji.

94

A

– Tak ważnych spraw nie odkłada się na ostatnią minutę. Widać przed śmiercią zmienił decyzję.

– Ten Izydorczyk to pewnie bibliotekarz Szkoły Polskiej. Ciekaw jestem, czy ocalała lista książek sporządzona ręką dziada. Czy panna Klara korzysta z niej w swych poszukiwaniach?

– Chyba tak. Ale trudno ci będzie przekonać się o tym naocznie.

– Wiem, że chwilowo to niemożliwe. Najwyżej mógłbym pójść jej śladem i włamać się do biurka. Tylko że ja moich szuflad nie zamykam na klucz, ona zaś z pewnością lepiej strzeże swej zdobyczy.

– Cieką wam, czy ten skarb znajduje się w swej kryjówce?

– Jeśli panna Klara poszukuje...

- To nie ma znaczenia. Mógł już dawno wpaść w „niepowołane ręce”, jak pisze dziad Aleksander.
- Więc ciocia przypuszcza, że skarb nie istnieje? – w głosie Bronisia brzmiało rozczarowanie.
- Nie, kochanie. Tylko wszystko jest możliwe. Zresztą w innym miejscu swego pisma dziad zaznacza, że „skarb jest tak ukryty, że może przeleżeć do końca świata.” Może więc i przeleżał do naszych czasów. Cóż, nie tak to znowu było dawno, tylko sto lat temu.
- Sto lat – powtórzył Broniś, niewidzącym wzrokiem wpatrzony w różowy abażur.
- Trzy osoby znały tajemnicę: dziad Aleksander, jego przyjaciel, pan Michałowski, i ten nieznany przeor, który zresztą umarł pierwszy.
- O przeorze dziad wyraża się z najwyższym uznaniem. Wiemy, że przynależał do klasztoru położonego w pobliżu dworu dziada i obozu powstańców, gdzieś w okolicznych lasach.
- Tak, to dałoby się ustalić.

95

- Czy ciocia zna te strony?
- Znam, to było gniazdo naszej rodziny. Pojechaliśmy tam wszyscy razem. Dla ojca było to wielkie przeżycie. Dziad Aleksander opowiadał mu o domu, opisał wszystko ze szczegółami, żył ciągle wspomnieniem i chciał przelać na syna miłość do rodzinnej ziemi. Pamiętam, że pojechaliśmy wiosną. Majątek dziada leżał w powiecie augustowskim. Maj był wprost upajający. Wszystko szumiało – woda, drzewa – i śpiewało głosami tysięcy ptaków. Obeszliśmy całą okolicę. Ludzie z pobliskiej wsi wskazywali miejsce, gdzie stał dwór. Wówczas zieleniało tam wschodzące żytem pole. Wycięto stare drzewa-olbrzymy w parku, zniszczono, co się dało. Nie pozostawiono nawet nazwy. I tylko najstarsi ludzie pamiętali, że był tu niegdyś piękny majątek Mączyńskich – Agaciszki, nazwany tak od imienia którejś praprababki przybyłej z Wileń-szczyzny. Ojciec rozmawiał z paroma gospodarzami, ziemię bowiem, która po konfiskacie mienia Mączyńskich przypadła jakiemuś carskiemu dygnitarzowi, po pierwszej wojnie rozparcelowano. Nie było już powrotu do gniazda, zresztą ojciec nie miał kapitałów. Zarabiał nieźle jako wzięty adwokat, aby jednak wykupić grunty, postawić budynki gospodarskie i puścić w ruch taką machinę jak duży majątek ziemski, na to nie miał żadnych środków. Nie chciał też wskrzeszać tak smutnej przeszłości. Rodzice z początku nieraz o tym rozmawiali. Ojciec zachował wiernie w pamięci wspomnienia dziada i rozpoznał wiele miejsc w okolicy, znał nawet nazwy wsi i pobliskiego miasteczka. Klasztoru wówczas nie widzieliśmy, ojciec nic bowiem o nim od dziadka nie słyszał. W związku z tym nie zadawał żadnych pytań. Więcej tam nie jeździliśmy. Ojciec zebrał do torebki trochę ziemi z miejsca, gdzie stał dom, i z wiejskiego cmentarza, choć grobów rodzinnych już tam nie było. Gdy później pojechaliśmy do Paryża, ziemię tę, w pięknie rzeźbionej zakopiańskiej skrzyneczce, złożył w grobie dziadka. Był wtedy bardzo wzruszony.

96

- - Chciałbym pojechać w tamte strony...
- Możemy wybrać się w czasie wakacji.
- A co z dobrami pana Michałowskiego?
- Zaorane pola jak w Agaciszkach. Byliśmy tam również. Po tych dwóch domach nie zostało śladu. Chyba tylko w pamięci ludzkiej.
- Barno był jednak bohaterem, sam dziad to przyznaje.
- Tak, pamiętam, że nosił w klapie wstążeczkę orderu Polonia Restituta jako jeden z nielicznych pozostałych przy życiu powstańców z sześćdziesiątego trzeciego roku. Myśmy zawsze całowali go w rękę, tak kazał ojciec.
- Ale nie lubił go.
- Nie, jednak miał dla niego szacunek.
- Ciekawe, gdzie ukryli skarb. Chyba w klasztorze, prawda?
- Przypuszczalnie w klasztorze lub okolicy. Przywieźli skrzynkę do przeora, byli nawet w jego celi. Prawdopodobnie do dziś dnia skarb znajduje się w tym klasztorze. Te stare budowle, pełne zakamarków, doskonale nadają się na kryjówkę.
- A może klasztoru już nie ma, może został spalony podczas ostatniej wojny?
- Wszystko możliwe. W takim razie skarb przepadł.
- O nie! – oczy Bronisia świeciły w pobladłej twarzy. – Skarb musi się znaleźć i ja go odnajdę. Tyle poświęcenia nie może pójść na marne. Zresztą, gdyby było inaczej, czyż panna Klara szukałaby tak zawzięcie? A propos, skąd ona o tym wie?

– Może pan Michałowski ze swej strony poinformował syna o skarbie i tak wiadomość ta, przekazywana z ojca na syna, dotarła do panny Klary. Może zostawił jakieś papiery, notatki, może miał wreszcie kartkę przeora, dziad Aleksander zapewnił go przecież, że w razie jego śmierci kartkę otrzyma przyjaciel.

7–Cień dłuższego.

97

– Ale w poprzedniej, czytanej przez nas notatce, dziad pisał o usunięciu kartki przeora z domu.

– Pamiętam. Nie zapominaj jednak, że nie znamy dokładnych dat ani chronologii tych zapisek. Może miał taki zamiar, a potem zmienił zdanie.

– W każdym razie stosunki między przyjaciółmi popsuły się. Stary Michałowski nie zawiadomił dziada o podróży do kraju. Pewnie jechał z zamiarem wydobycia skarbu, chciał może przywłaszczyć te bogactwa. Ciekawe, czy podzieliliby się z przyjacielem?

– Ależ Bronisiu – zgorszyła się ciotka – zapominasz, co nasz dziad napisał. Był to skarb narodowy, a nie prywatna własność. Ludzie oddali ostatnie może kosztowności na powstanie. Bogactwo to pochodziło ze społecznej ofiarności. Gdyby tak było, jak mówisz, pan Michałowski popełniłby podłość, a to był jednak bohater i patriota.

– Ale z dziadkiem nie rozmawiali o skarbie, ten temat był rodzajem „tabu” – upierał się Broniś. – I dziad mu nie ufał. Dlaczego pisał na książkach? Dlaczego oddawał je na przechowanie jakiemuś Izydorczykowi?

– Nie „jakiemuś Izydorczykowi”, lecz bibliotekarzowi Szkoły Narodowej Polskiej – oburzyła się ciotka. – Przyznaję ci rację, ale obawiam się zbyt pochopnych posadzeń.

– Książki były tylko czadowym depozytem i są nadal naszą własnością. Dlaczego Zygmus, czyli cioci ojciec, nie interesował się nimi?

– Nic o nich nie wiedział. Chyba nie znał Izydorczyka. Może bibliotekarz wówczas już nie żył i nie zdążył zawiadomić mego ojca, który interesował się ogromnie książkami dziada pozostałymi w jego mieszkaniu. Wszystkie przewiózł do Warszawy. Przecież mówiłam ci o powieściach Waltera Scotta...

– Ale dziad zaznacza, że jeden egzemplarz spisu pozycji,

98

oddanych na przechowanie, zatrzymał u siebie. Czy Zygmus nie przeglądał jego papierów?

– Nie wiem. Przecież nie wiedział o istnieniu tego depozytu, skąd więc mógł przypuszczać, że w papierach dziada były jakieś wzmianki... Chociaż sędzę, że jako prawnik przejrzał całą pozostałą po nim spuściznę, wszystkie dokumenty, zapiski...

– Ciociu – zaczął Broniś i urwał, jak gdyby wsłuchany w niejasno sprecyzowaną myśl. – Opowiadała mi ciocia, że po nagłej śmierci dziada włamano się do jego mieszkania i przewracano papiery w gabinecie, zabierając sporo szpargałów. Ciotka słuchała jak zahipnotyzowana.

– I pan Michałowski, któremu Zygmus doniósł o tym zdarzeniu, ofiarował się spędzić kilka nocy w pokojach przyjaciela, by strzec pozostałej po nim schedy... Ciotka Zuzanna nie drgnęła.

– Był sam i miał swobodę działania. Mógł szperać w biurku, w szafach, w książkach, w dokumentach i papierach. I zabrać, co mu było potrzeba. Kto wie, czy nie był u Izydorczyka, żądając wydania książek. Pewnie znalazł spis i stąd wiadomość ta dotarła poprzez pokolenia aż do panny Klary. Z pewnością szukał kartki przeora. Dziad umarł nagle i nie zdążył lub nie chciał mu jej powierzyć. Zygmuśowi zalecił przecież milczenie. To jasne.

Ciotka przebudziła się z zamyślenia.

– To straszne – powiedziała cicho. – Nie posuwajmy się w naszych przypuszczeniach za daleko. Bądźmy posłuszni dziadowi. – To mówiąc wzięła ostatni arkusik rękopisu i odczytała głośno:

To bohater. Nigdy o tym nie zapominaj. Walczył za Ojczyznę i wszystko poświęcił dla Wolności. Kiedyś, takim jak on, wystawią pomniki...

99

– Dobrze, tym niemniej rola pradziadka Klary nie jest jasna. A książki są naszą własnością. – Broniś potrząsnął energicznie czupryną.

– Ten tom musi wrócić do Biblioteki – powiedziała surowo ciotka. – Nie możemy wzbudzać żadnych podejrzeń. Będziesz dalej prowadził poszukiwania i jeśli panna Klara cię nie uprzedzi, może trafisz na kartkę przeora.

– Trafie – odparł z największym przekonaniem Broniś.

10

Gdy Sylwester przyszedł do Biblioteki pierwszego dnia po chorobie, skończyły się dla Bronisia dobre czasy. Przez te dwa tygodnie samotnego przebywania w magazynie, obejrzał wiele książek, znalazł kilkanaście egzemplarzy z księgozbioru dziada Mączyńskiego i energicznie posunął naprzód katalogowanie batignoli. Mimo tych wygód nie był zadowolony, gdyż w żadnej z interesujących go pozycji nie natknął się na najmniejszy komentarz czy notatkę. Nic prócz nazwiska właściciela. Panny Michałowskiej nie spotkał ani razu.

Sylwester, wymizerowany chorobą, przywitał go równie mrukliwie jak dawniej.

– Podobno dostawał pan klucz? – powiedział zaraz pierwszego dnia.

x

– Owszem, tak zarządziła pani Tymoniecka za zgodą doktora Rayskiego. Nie mogłem czekać na pański powrót. Robota jest pilna.

– Mam nadzieję, że nie narobił pan bałaganu. I chyba nic nie zginęło. Za stary magazyn ja jestem odpowiedzialny-

– Jeżeli tylko ja miałem klucz, może pan być spokojny.

Magazynier spojrzał pytająco.

100

– Nikt nie ma klucza – odparł opryskliwie – Mało kto tu przychodzi...

– Nie wiem – zauważył ostrożnie Broniś – Sądzę, że tak być powinno.

– Czy wpuszczał pan kog0? _ gjos magazyniera wyraźnie zdradzał niepokój.

– Nie. Miałem prawo sarą tylko pracować w magazynie. Nawet panna Michałowska nie przyszła ani razu.

Wydało mu się, że Sylwester odetchnął jak gdyby z ulgą. Nazajutrz magazynier był bardziej ponury niż zwykle.

– Czyj to fartuch? – Potrząsnął przed twarzą Bronisia zielonym kitem.

– Skąd mogę wiedzieć?

– A kto ma wiedzieć, co? ????? nie było Przez dwa tygodnie, a tylko panu wydawaj k\ucz

– Ktoś tu chyba sprząta.

– Sprzątaczką sama nie przychodzi.

– Mogła zostawić fartuch,

– To fartuch zupełnie noWyj nie noszony-

– Tak, me używany – przyznał Broniś przypatrując się bibliotecznemu umundurowania _ Może panna Michałowska coś o tym wie, proszę ją spytać

– Panna Michałowska nienosi fartucha.

– A jeśli raz włożyła?

– Pan coś kręci. Kto tu był?

– Niech się pan wreszcie odczepi Przy mnie nie było nikogo.

W otwartych drzwiach starego magazynu zieloną plamą zamajaczyła suknia panny Michałowskiej.

– Dzień dobry, panie Ja% _ %roniś otrzymał tylko lekkie skinienie głową. – Cieszę ??? *e nan iuż zdrów. Bar-dzo mi brakowało magazynu. ??1? sje nazbierało spraw... – Niosła plik kartek.

Twarz Sylwestra pokryła się najpierw rumieńcem, potem

101

bladością. Niezdarnie trzymał fartuch, nie wiedząc, co z nim zrobić.

– Dostał pan nowy kitel – uśmiechnęła się. – Ja co prawda nie noszę tej bibliotecznej liberii – spojrzała pogardliwie na Bronisia – ale to wygodna moda, szczególnie dla panów.

– Właśnie zastanawialiśmy się, czyj to kitel. – Broniś wytrzymał spojrzenie. – Znalazł się tu w nie wyjaśnionych okolicznościach...

– Pewnie spadł z nieba. – Panna Klara była dziś doprawdy rozbrajająca.

Sylwester cisnął fartuch za siebie.

– Potrzebna mi pomoc, panie Janku, mam tu pewne pozycje...

Magazynier podskoczył naprzód, gotów do usług.

Broniś skierował się na galeryjkę, zdecydowany śledzić, jakich książek zażąda. Przykucnął przed półką, zajęty wypisywaniem danych bibliograficznych z karty tytułowej wielotomowej publikacji, wytężając jednocześnie słuch, by nie uronić ani jednego słowa z prowadzonej na dole rozmowy.

– Chodzi mi specjalnie o te duże formaty – zazwyczaj ostry głos panny Klary brzmiał miękko jak aksamit. – Pewnie stoją na dole, prawda?

– Tak, tu pod tą ścianą. – Sylwester skierował się w najodleglejszy kąt

magazynu, skąd Broniś niedawno wyłowił „Księżnę de Langeais”.

– Zależy mi na Balzaku – panna Klara pochyliła się nad klęczącym magazynierem. Serce Bronisia przestało na chwilę bić.

– O, to chyba ten tom ze złoconymi literami. Tak, ten sam. Dziękuję, panie Janku. A teraz proszę wyszukać mi sygnatury z tej kartki. Obawiam się, że to gdzieś wysoko...

– Już idę – Sylwester zerwał się z kolan i pospieszył ku drabinie.

102

Broniś wstrzymał oddech.

Panna Klara z tomem Balzaka w ręku podeszła do stołu. Widział wyraźnie wielki foliał w skórzanej oprawie z pięknymi złoceniami, ten sam, który niedawno zdradził tajemnicę ukrytego skarbu. Nad księgą pochylił się czarny kok pięknej dziewczyny.

Sylwester, zawieszony na kilkumetrowej wysokości, wypatrywał na podniebnych półkach sygnatur z trzymanej w ręku kartki. Nagle, w panującej w magazynie ciszy,

ostro rozległ się zniecierpliwiony głos panny Klary.

– Panie Janku, pan się chyba pomylił. Proszę jeszcze raz poszukać.

Sylwester skwapliwie zeskoczył z drabiny i pomknął w kąt, gdzie rozpląszczył się na podłodze przed regałem. Bronisiowi chciało się śmiać.

– Był tylko jeden tom pod tą sygnaturą – głos z kąta usprawiedliwiał się pokornie. – Więcej nic tu nie ma...

Wysokie obcasy zastukały szybkim rytmem.

– Czy pan dobrze szukał?

– Innego tomu nie ma.

– A ten na prawo?

– To już inna sygnatura.

– Proszę pokazać.

Sylwester bez protestu podał żadaną książkę. Panna Michałowska nerwowym ruchem poszukała karty tytułowej, potem gestem zniechęcenia oddała gruby tom.

– Nie to – powiedziała zawiedziona. Magazynier, wyprostowany, czekał na dalsze rozkazy.

Panna Klara znowu pochyliła się nad stołem.

– Musiałam się pomylić – szepnęła, niepomna obecności Bronisia. Wyglądała na zmęczoną. Sylwester nie spuszczał z niej zachwyconych oczu.

– Pójdę już, jutro poszuka pan resztę, dobrze, panie Janku?

103

– Dobrze, kiedy pani zechce.

– I pomyśleć – opowiadał ciotce – gdyby nie szczęśliwy traf, panna Klara wpadłaby na trop skarbu, a my nic nie wiedzielibyśmy o całej sprawie. Tak mało brakowało... A jednak wywęszyła Balzaka!

– Ma spis – zauważyła ciotka Zuzanna.

– Nie wiem tylko, czy o istnieniu „Księżny de Lan-geais” dowiedziała się ze spisu, czy z nie znanej nam notatki dziada, a może jak my widziała „Żywot admirała Nelsona”?

– Wszystko możliwe. Najważniejsze, że my byliśmy pierwsi i rękopis dziada Aleksandra spoczywa bezpiecznie w mojej komodzie.

– Dobry los nam sprzyja, oby tak było dalej. Ale babka wodzi Sylwestra na pasku!

„Panie Janku tu, panie Janku tam”, a pan Janek pnie się na drabinę, by za chwilę rozciągnąć się na podłodze zależnie od jej zachcianki.

– Bardzo w niej zakochany.

– Do szaleństwa. To się rzuca w oczy. Robi z nim, co chce. Przy niej pokorny baranek, a na mnie warczy jak zły kundel.

– Może w dalszym ciągu uważa cię za rywala?

– Chyba nie. Najwyżej jestem w jego mniemaniu odpalonym konkurentem. Życzę mu zdrowia, ale szkoda, że tak krótko chorował. Znowu mam związane ręce, a panna Klara jak szara gęś panoszy się w magazynie.

– Bądź cierpliwy i nie zwracaj na nich uwagi. Rób swoje, miej przy tym otwarte oczy i obserwuj dyskretnie jej posunięcia. Ona na tym nie poprzestanie.

Sylwester stawał się z dniem każdym bardziej ponury, ożywiał się jedynie podczas wizyt panny Michałowskiej. Oczy mu wówczas błyszczały, a na blade policzki wypływał rumieniec. Broniś w głębi duszy litował się nad biedakiem.

– Cóż on sobie wyobraża – mówił ciotce – czy nie rozumie, że ona na niego

gwizdże?

104

- Chwilowo jest miła – oponowała ciotka.
- Bo go potrzebuje. Co za głupiec!
- Wygląda, jakbyś go żałował.
- Złości mnie. Czy wszyscy mężczyźni są tak zarozumiali?
- Przeważnie – uśmiechnęła się ciotka Zuzanna. – Obawiam się, że i ty nie wyłamiesz się z ogólnej reguły.
- Mam być takim kretynem? O nie!
- Przyznaj, że nie jesteś obojętny na wdzięki panny Klary?
- Jeszcze nie zwiariowałem.
- Kiedyś przyjdzie to i na ciebie – westchnęła ciotka.
- Nie jestem Sylwestrem. Wolę szukać skarbu. Pewnego dnia wszystko się zmieniło.

Panna Klara jak

gdyby przypomniała sobie nagle o jego istnieniu. Siedział na galeryjce, gdy na schodkach zastukały wysokie obcasy i zielona suknia stanęła przy regale. Broniś nie podniósł głowy.

- Dzień dobry – powitanie zaskakiwało życzliwością tonu.
- Dzień dobry pani.
- Pan ciągle tkwi w batignolach?
- Ciągle. Mam przecież opracować ten księgozbiór.
- Wiem, wiem... Cóż za pasjonująca epoka!
- Rzeczywiście.
- Tyle sławnych nazwisk...
- Hm...
- Tyle narodowych pamiątek...
- Można się wiele dowiedzieć, nauczyć...
- Ma pani rację.
- Śledzi pan rękopiśmienne notatki na kartach tytułowych?
- Nie mam czasu. Opracowuję druki bez rękopiśmiennych notatek.

105

- I nie jest pan ciekaw?
- Nie. Czas nie pozwala.
- Szkoda. Spotyka się naprawdę interesujące szczegóły.
- Doprawdy?
- Jeśli o mnie chodzi, nie wyobrażam sobie pracy w innym dziale... Nie starał się pan dostać do Rękopisów?
- Nie interesują mnie rękopisy, wolę książki.
- Pan zdaje się nie posiada naukowego zacięcia?
- Chyba nie.

Panna Klara pokiwała z politowaniem głową. Sylwestrowi nie podobało się nagłe zainteresowanie panny

Michałowskiej Bronisem. Kręcił się w pobliżu galeryjki podnosząc głowę, lecz piękna panna nic sobie z tego nie robiła. Następnego dnia, gdy Sylwestra wezwano do głównego magazynu, znowu zbliżyła się do Bronisia.

- Okropny ten magazynier – powiedziała za skargą w głosie.
- Czyżby?
- Po prostu beznadziejny.
- Wydawało mi się, że zawsze chętnie pani pomaga...
- Irytuje mnie na każdym kroku.
- Ale dlaczego? Posłuszny, gotów na każde pani skinienie.
- Prześladowuje mnie.
- Aż tak?
- Nic pan nie zauważył?
- Sądziłem, że darzy go pani sympatią.
- Gdzież tam.
- Bardzo pani dla niego miła...
- A to się panu nie podoba?
- Mnie? Cóż ja mam tu do gadania?
- Nie wiedziałam, że pan taki skromny.
- Skromny i nieśmiały.
- A więc przeciwieństwo Sylwestra.

106

- Czyżby Sylwester się ośmielił... Panna Klara zmiażdżyła go wzrokiem.
- Pan chyba oszalał! O czym pan mówi?
- To nie ja – sama pani mówi...
- Ma pan zbyt bujną wyobraźnię – zniecierpliwiła się.
- A za mało życiowego doświadczenia, zapewne chciała pani dodać.
- Mam nadzieję, że batignole na tym nie ucierpią.
- Batignole nie mają z tym nic wspólnego.
- Kto wie? – rzuciła zagadkowo.

11

Na biurku panny Zosi bez przerwy dzwonił telefon. Co chwila też padały polecenia,

przekazywane gromkim głosem panny Marty:

- Doktor Rayski prosi panią Wiktorię do magazynu – albo: – Pani Basiu, czekają na panią w Dubletach.

Pani Tymoniecka wydawała rozkazy ze spokojem prawdziwie wielkiego stratega. Biblioteka Narodowa czyniła ostatnie przygotowania do Międzynarodowego Kongresu Bibliotekarzy, którego uroczyste otwarcie naznaczono na dzień 14 lutego. Przy tej okazji urządzano wystawę, by gościom zagranicznym zaprezentować co rzadsze skarby narodowej kultury.

- Panie Bronisiu – panna Regina z trudem łąpała oddech – pani Tymoniecka prosi pana do Katalogu na naradę.

W przylegającym do Katalogu narożnym pokoju z pomocami naukowymi zebrali się biblioteczni notable. Pan Błażewicz błysnął znad okularów życzliwym spojrzeniem w stronę Bronisia, onieśmiałego tak świetnym zgromadzeniem.

107

- O, jest pan Mączyński. Dyrektor pragnie pokazać parę batignoli – przywitała wchodzącego pani Tymoniecka.
- Może pan wybierze co ciekawsze okazy, biorąc pod uwagę oryginalne oprawy, pieczętki, autografy i inne interesujące szczegóły.
- Wystarczy kilkanaście pozycji – wtrącił pan Błażewicz.
- Powinniśmy do tej pracy włączyć pannę Michałowską
- zaopiniował kategorycznie kierownik Dziewiętnastowiecznych Rękopisów. – Ona by to zrobiła najlepiej. Specjalizuje się w tej epoce, a jej naukowe odkrycie...
- Mamy pokazać druki batignolskie – przerwała pani Tymoniecka – tymi zaś zajmuje się pan Mączyński.
- Może jednak poprosimy pannę Michałowską? – zaproponowała pani Irena z Dubletów. – Przypuszczalnie podda nam koncepcję przedstawienia batignoli w najlepszym świetle... To taka zdolna osoba.
- Niechże pan siada – pan Błażewicz wskazał Broni-siowi krzesło obok siebie i poszedł do Katalogu zatelefonować po pannę Klarę.
- W takim razie proponuję, by nasi młodzi koledzy wspólnie wytypowali najciekawsze pozycje – zawyrokowała pani Tymoniecka, niezadowolona z interwencji kierownika Rękopisów.
- Tak chyba będzie najlepiej – pospieszył z pomocą pan Błażewicz, który stanął właśnie w drzwiach Katalogu i uśmiechnął się zachęcająco do milczącego Bronisia. Panna Klara wniosła do narożnej sali nikły zapach lawendy, snujący się zazwyczaj dokoła jej eleganckiej sylwetki. Obcisła jerseyowa suknia uwydatniała doskonałość jej figury. Pod czarnym kokiem błyszcząły urzekające oczy. Twarze zebranych rozpromieniły się na jej widok.
- Pani pozwoli – kierownik Rękopisów pospiesznie podsuwał krzesło.

108

Panna Klara bez cienia uśmiechu uważnym spojrzeniem objęła całe zgromadzenie.

- Pani jako znawca epoki __ zaczęła przymilnie pani Irena.
- Chcemy panią prosić o pomoc przy wyborze eksponatów – przecięła energicznie pani Tymoniecka.
- Chodzi o batignole __ dodał kierownik Rękopisów.
- Może by pani wybrała co oryginalniej sze egzemplarze na wystawę, z autografami autorów lub byłych właścicieli.
- Batignolami zajmuje się pan Mączyński – pani Tymoniecka ruchem głowy wskazała Bronisia – ale pani może doda kilka rękopisów z epoki będących naturalnie w jakimś związku z wystawionymi drukami.
- Zgadzam się. – Panna Michałowska nie spojrzała na nikogo z obecnych. – Możemy jeszcze dziś wybrać odpowiednie pozycje.

– Czasu niewiele, czternastego otwarcie Kongresu. Wystawa powinna być gotowa dzień wcześniej.

Panna Klara podniosła się z wdziękiem-

– Zaraz tym się zajmę__powiedziała wyniośle i skinąwszy zebranych skierowała się ku drzwiom.

Broniś złapał w przejściu pełne dezaprobaty spojrzenie pani Tymonieckiej i pospieszył za przeciwniczką.

Panna Michałowska nie obejrzała się ani razu. Minęła Katalog, przeszła do bocznego skrzydła i piętro niżej zagłębiła się w korytarz prowadzący do starego magazynu.

Sylwester spotkał ich w połowie drogi.

– Idę do głównego magazynu – zawrócił, by otworzyć drzwi. – Pani pozostanie tu do mego powrotu?

– Tak. – Nie odwróciła głowy i przestąpiła próg, zapalając wszystkie lampy. – Potrafi pan wejść na drabinę?

– nie patrzyła na Bronisia.

– Mam pod ręką kilka bardzo ciekawych egzemplarzy z autografami Lelewela i Mickiewicza. Może pani obejrzy?

109

Panna Klara obojętnie spojrzała na rozkładane książki. Przeszła szybko między regałami i przysiadła przed dolną półką w kącie. Po chwili stała z Balzakiem w ręku.

– Należy to wziąć.

– Co to jest?

– Powieści Balzaka.

– Balzaka?

– Tak, interesujący egzemplarz.

– Są jakieś autografy?

– Były.

– Nie rozumiem...

– Zaraz pan zrozumie.

– ...?

– Widział pan tę książkę?

– Jaka sygnatura? Siedemdziesiąt pięć tysięcy? Jeszcze nie doszedłem do trzeciego formatu.

– Ale tę książkę pan oglądał?

– Nie przypominam sobie.

– Za to ja jestem tego pewna.

– Nie rozumiem pani.

– Brakuje tu rękopiśmiennej notatki.

– Raz już pani mówiłem, że interesuję się książką, a nie rękopisami.

– Nie wierzę.

– Trudno, nic na to nie poradzę.

– Wyjęto stąd kartkę...

– Niestety, nie odpowiadam za to, proszę spytać pana Sylwestra.

Broniś otworzył dobrze znany tom.

– Nie brak niczego – powiedział przerzucając stronicę – karta tytułowa w porządku, jest początek z ryciną i „Ojciec Goriot”...

Panna Klara wyrwała mu książkę.

110

– Albo rzeczywiście pan ograniczony, albo bardzo sprytny – powiedziała ostro.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z wystawą.

– Nic mnie nie obchodzi jakaś idiotyczna wystawa.

– Jak to? Tak wybitny pracownik naukowy, badaczka rękopisów z czasów Wielkiej Emigracji...

Panna Klara (najniespodziewanie) rozplakała się. Słabość jednak trwała tylko chwilę.

– Wiem, że w tym tomie była rękopiśmienna notatka

– powiedziała nagle spokojnym tonem, prawie prosząco

– może luźna kartka, bardzo mi na niej zależy...

– Czy potrzebna do... naukowego odkrycia?

– Tak.

– W takim razie rzeczywiście wielka szkoda, ale tu nic nie ma. – Broniś gorliwie przerzucał gruby tom. – Może przejrzymy książki na wystawę? Są na

galeryjce, już skatalogowane.

Potrząsnęła głową.

– Niech pan daje, co pan chce. – Więcej się nie odezwała i wkrótce wyszła z magazynu.

– Powariowali z tą wystawą – skarżył się w domu.

– Nie można spokojnie pracować, wszyscy miotają się jak oparzeni, bałagan, okropny, a baby potraciły głowy.

– Co wygadujesz! Piękna impreza – zaprotestowała ciotka. – Należy pokazać cudzoziemcom, że i my, choć zniszczeni tyloma wojnami, mamy jeszcze czym zaimponować na polu kultury.

– Ale dlaczego ja mam na tym cierpieć. Czułem się jak głupiec na tej durnej naradzie. Nie mogę darować pani Ty-monieckiej, że mnie wezwała, zanim uzgodnili między sobą, kto ma właściwie typować batignole na wystawę.

– Bardzo dobrze zrobiła, musisz się więcej udzielać. A ty tylko w kącie za szafami...

111

– Szkoda, że ciocia nie była w mojej skórze, gdy kierownik rękopisów stwierdził,

że panna Michałowska lepiej się zna na batignolach niż ja. Stary hipokryta.

– Sam jesteś sobie winien. Wiecznie w cieniu... Twoja przesadna skromność...

– Już minęła, teraz jestem zarozumiała. Ta cała ich okrzyczana „naukowość” bokiem mi wyłazi. Panią Irenę z Dubletów chętnie udusiłbym własnymi rękami, choć właściwie winienem jej wdzięczność, gdyż ofiarowała mi nadpalony dublet teraz ukryty w tapczanie.

– Więc czego się złościsz?

– Pycha tej całej Klary przechodzi wszelkie granice. Ma zupełnie przewrócone w głowie.

– Jeśli taka piękna, jak mówiłeś?

– Wszyscy jej kadzą tym „naukowym odkryciem”. Pani Irena... „To taka zdolna osoba”... Stara kocica!

– Czy nie mówi przez ciebie zawiść? To paskudna rzecz, pamiętaj.

– Niczego jej nie zazdroścę. Przywykłem w Bibliotece do roli osła.

– Nie pleć głupstw. Nie jesteś żadnym osłem, nie życzę sobie podobnego pokrewieństwa.

– A swoją drogą żal mi jej.

– Kogo?

– Klary...

– ...?

– Rozpłakała się. Czułem się głupio. Jest przekonana, że to ja wydarłem z Balzaka kartkę z notatką dziada.

– Czy coś wspominała, po co jej to?

– Owszem, do „odkryć naukowych”. Bzdura, wiemy przecież, czego szuka. Ale żal mi jej.

– No cóż, sama sobie winna. Gdyby nie jej wroga postawa, moglibyście szukać razem. Nie przyznała się nawet, że jest prawnuczką Barnaby.

112

– Ma w tym widocznie jakiś cel.

– Łatwo odgadnąć jaki. Pragnie zachować dla siebie całą zasługę, odnalezienia skarbu. Jest ogromnie zarozumiała i ambitna.

– Och, cioteczko, cioteczko, obawiam się, że chodzi jej o coś zupełnie innego?

– Przypuszczasz... strach pomyśleć. Nie posądzajmy jej o najgorsze... Może to tylko nieszczęśliwa dziewczyna.

– Może...

)

?k

Otwarcie wystawy stało się ewenementem w życiu Biblioteki. We wspaniałych stylowych gablotach, na ciemnoczerwonym suknie połyskiwały złotem bogato iluminowane rękopisy, pyszniły się rzadkie inkunabuły, cenne dokumenty przeszłości, od początku dziejów ilustrujące rozwój piśmienniczej kultury. Biblioteka Narodowa opróżniła skarbce, by pokazać, co ma najpiękniejszego. Kosztowne oprawy przepłatały się z misternie zadrukowanymi kartami krakowskich mistrzów sztuki drukarskiej, inaugurując przegląd polskiej książki w ciągu wieków.

Pan Błażewicz oprowadzał Bronisia po największej sali, pochylając krótkowzroczne

oczy nad lśniąca szybą gablot.

– Tak, tak – przystanęli właśnie koło ekspozycji kilku wspaniałych egzemplarzy z Biblioteki Załuskich. – Oto co zostało z ogromnego zbioru. Niedobitki. Czego nie zniszczyły carskie pachołki, tego dokonali hitlerowcy. Czy pan wie, że biskup Załuski udostępnił swoją kolekcję, otwierając w Warszawie już w roku 1747 pierwszą narodową bibliotekę publiczną?

– Słyszałem...

– Wielki to był bibliofil, znawca i miłośnik książek. Ale cóż, trud jego poszedł na marne. Czytał pan to?

8–Cień dłuższego

113

Pan Błażewicz potrząsnął małym tomikiem.

– Jest tu artykuł Mickiewicza zatytułowany „Rabunek bibliotek i muzeów w Polsce”. Warto zapoznać się z tragicznym przeznaczeniem tego księgozbioru, który podzielił zresztą los swego założyciela. Pozakreślałem co ciekawsze fragmenty... Broniś otworzył tomik na wskazanej stronie.

„Katarzyna II rozkazała zabrać i przenieść do Petersburga wielką bibliotekę narodową, którą utworzyli Załuscy i darowali Rzeczypospolitej. Kozacy, którym polecono jej zapakowanie, rąbali lub piłowali tomy, których format zdawał się im za wielki, aby mógł zmieścić się w skrzyniach. Około tysiąca kibitek w asystencji pułku kawalerii stanowiło pochód żałobny całej literatury narodu, skazanej na pogrzebanie żywcem w kraju odległym i nieprzyjacielskim. Po drodze sprzedawano pełne wozy książek Żydom i rosyjskim chłopom... Z tego ogromnego zbioru pozostało jeszcze 160000 zwalonych stosami i w nieładzie w obszernych salach biblioteki cesarskiej w Petersburgu... Książki uległy tej samej proskrypcji, co patrioci nieszczęśliwego tego kraju. Literatura i sztuka narodowa udały się na wychodźstwo wraz z armią i mogą wrócić na ziemię rodzinną tylko wspólnie ze zwycięskim wojskiem”.

Pan Błażewicz przysuwał szkła okularów do Kopernikowskiego traktatu.

– Przeczytał pan? A teraz chodźmy do drugiej sali – powiedział prostując się. Wystawa zajmowała trzy frontowe salony pierwszego piętra, wypełnione od rana tłumem zagranicznych gości oraz w pewnych godzinach dostępne dla szerszej publiczności.

Magazynierzy pełnili dyżury, obserwując dyskretnie zwiedzających. Pracownicy poszczególnych działów służyli fachowymi objaśnieniami. Bronisia na szczęście ominął ten obowiązek, co przy jego nieśmiałości stałoby się nieznośną udręką. Pani Basia jako najlepiej mówiąca specjalistka, podję-

114

ła się wyjaśnień dotyczących dziewiętnastowiecznych druków, wśród których część jednej gabloty zajmowały batignole.

Normalny tok pracy zakłócało przybycie tylu wybitnych osobistości ze świata bibliotekarskiego, codzienne spotkania, narady, licznie wygłaszane referaty, na które wszyscy pracownicy mieli prawo wstępu.

Podniecona panna Zosia objawiała na przykład całej sali:

– Przyjechał pan Gros!

I wszyscy zrywali się i biegli obejrzeć dyrektora Paryskiej Biblioteki Narodowej.

Broniś, pozbawiony zainteresowań tego typu, nie pragnął pogłębić swych wiadomości z dziedziny bibliotekarstwa i korzystał z ogólnego rozgardiaszu, by zniknąć na całe dni w starym magazynie, dziwiąc się w duchu, że tych bibliotekarzy bardziej interesowały mgliste problemy teoretyczne niż tak pasjonująca rzecz jak książka.

– Te stare ramole przestały widzieć istotny przedmiot bibliotekarskich badań – zżymał się w domu. – Głowę dam, że od lat noga żadnego z nich nie postąpiła w magazynie. Napęcznieli sztucznie wydmuchaną scjencją tak zwanej „bibliotekonomii” i właściwa biblioteka, czyli jak się u nas mówi „księżnica”, mało ich obchodzi.

– Nie bądź niesprawiedliwy – strofowała ciotka. – Wielu z nich to rzadcy już dziś erudyci, bibliofile i znawcy książki. Młodzi nie mają teraz czasu, by nabywać tyle wiadomości z różnych dziedzin, szczególnie humanistycznych. W porównaniu ze starszą generacją wydają się często ignorantami.

Sylwester pełnił właśnie dyżur na wystawie i Broniś został sam w niczym nie zakłóconej ciszy starego magazynu, o sto mil, zdawałoby się, od gwaru i podniecenia, jakie zazwyczaj panują podczas podobnych kongresów w wielkiej,

naukowej instytucji. Panna Michałowska, która ostatnio nie pokazywała się, zbyt zajęta rozlicznymi obowiązkami reprezentacji, zjawi-

115

ła się zaraz po jedenastej. Weszła zdecydowanym krokiem, z kartką w rękę, w pięknym zielonym kostiumiku, ozdobionym sznurem weneckich kryształów i od razu udała się na galeryjkę. Broniś siedział na najniższym szczeblu drabiny, przy wielkim regale pod ścianą. Nad głową słyszał skrzyp drewnianej podłogi i spoglądając w górę mógł w przybliżeniu określić, przy jakich sygnaturach znajduje się prawnuczka starego Barnaby.

– Byłem niespokojny, czego tam szuka – opowiadał potem ciotce Zuzannie. – Obawiałem się, że znalazła znak czy wskazówkę... Przygotowywałem książki do katalogowania. Otwierałem machinalnie każdy tom, sprawdzałem sygnaturę, pieczętkę batignolską, lecz cała moja uwaga koncentrowała się na górze. Na górze tymczasem zapanowała irytująca cisza; żadnego ruchu, najmniejszego szmeru, nic... I właśnie wtedy Broniś otworzył gruby „Słownik geograficzno-historyczny”. Bouille-ta. Na karcie tytułowej był podpis dziada, dziwnie jednak nikły, a pod spodem, ledwie widoczne litery, skreślone tą samą ręką, tworzyły imię Aleksandra Macedońskiego.

Broniś zapomniał o dziewczynie nad głową, zafascynowany postacią starożytnego bohatera. Przerzucał pożółkłe, jak gdyby wysuszone stronicie, szukając greckiego władcy. Wiedział, że znowu trafił na ślad, który doprowadzi do informacji, jaką dziad przekazał niegdyś synowi.

Jakże złośliwe były te cienkie, żółtawe karty! Otwierały się nie tam, gdzie potrzeba. Migaly drobno zadrukowane kolumny, po dwie na każdej stronicy. Wreszcie czterdziesta trzecia strona i u dołu „Aleksander”, a pod spodem, na marginesie, wyraźne pismo dziada, tylko ten atrament dziwnie wyblakły.

Zygmusiu, poznaj dobrze życiorys mego starożytnego imiennika. Wraz z tą encyklopedią przekazuję Bibliotece Szkoły Narodowej małą francuską książeczkę pod tytułem „Aleksander

116

trzeci, król Macedonii”. Chcę, żebyś ją przeczytał. Jest cienka, w niepozornej oprawie. Łatwo może się zagubić wśród innych książek. W razie czego upomnij się u Izydorczyka. Obiecał, że odda ci wszystko. To bardzo sumienny człowiek, porządek u niego wzorowy. Twój ojciec.

Na górze panowała ciągle niczym nie zmacona cisza. Zdawało się, że tam nikogo nie ma. Broniś zamarł w bezruchu nasłuchując, lecz słyszał tylko bicie własnego serca.

„Aleksander trzeci, król Macedonii” – huczało w głowie. – „Aleksander”. Ocknął się na odgłos kroków. Panna Michałowska schodziła z galeryjki. Bledsza niż zwykle przyciskała do piersi cienką książeczkę w niepozornej oprawie... „Aleksander trzeci, król Macedonii”...

Szła ku drzwiom, wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, a długie wąskie paznokcie czerwieniały na szarym tle okładki.

Broniś nie mógł oderwać wzroku od rąk trzymających „Aleksandra trzeciego”. Cienkie palce zaciśnięte na szarej książeczce. Więc nie dowie się, nie będzie widział, co dziad pisał do syna... Spóźnił się... Dlaczego wcześniej nie skatalogował wszystkich książek z galeryjki? Dlaczego...

Panna Klara bez słowa, jak lunatyczka, opuściła magazyn. Pomknął co tchu na górę,

zaciskając pięści z bezsilnej złości.

– Zabrała „Aleksandra”. – Nie zdawał sobie sprawy, że mówi do siebie. – Zabrała list dziada do Zygmuśia...

Na galeryjce unosiła się jeszcze nikła woń lawendy. Poszperał wśród książek, które przed chwilą musiała przeglądać. Nie było tam nic ciekawego, żadna z nich nie należała do dziada.

– To był Aleksander – mruzczał schodząc. – Czyta teraz, co dziad przekazał synowi o skarbie... Pewnie już wie wszystko...

Usiadł ciężko na ostatnim stopniu.

117

Skrzypnęły drzwi i znowu weszła panna Klara. Wyglądała inaczej, jak gdyby odprężona. Jedną ręką w dalszym ciągu przyciskała szarą książeczkę.

Znikła między regałami, a Broniś zastanawiał się, czego jeszcze szuka, gdy wyłoniła się po drugiej stronie książkowego korytarza.

– Mam lęk przestrzeni – powiedziała, nie zwracając się specjalnie do Bronisia.

– Sylwester zajęty na wystawie i tylko pan może mi pomóc.

Broniś podniósł się powoli.

– Gdzieś tu, najmniejszy format, może na szczycie środkowego regału – wskazywała wypielęgnowaną rączką. – Tak wysoko, niestety, nie wejść.

– Jaka sygnatura?

– 38603.

Ten format także nie był jeszcze opracowany.

Broniś wjechał wielką, podwójną drabiną w wąski korytarz między regałami.

Pachniało kurzem i wysuszonym papierem. Panna Klara tak wysoko zadzierała głowę, że jej piękna szyja wydawała się dziwnie wydłużona.

Jak na portretach Modiglianiego – pomyślał mimo woli, pnać się po trzeszczących szczeblach na szczyt drabiny.

– Obawiam się, że to będzie na ostatniej półce – panna Klara dziwnie zmaląła, widziana z takiej wysokości.

Książki opatrzone sygnaturą 38 tysięcy zajmowały rzeczywiście najwyższe półki środkowego regału.

– Jaka pani chce sygnaturę?

– 38603.

Broniś przesuwał niewielkie tomiki, przeważnie oprawne w skórę, a gruba warstwa kurzu tłumiła blask złoconych grzbietów. Tak wysoko nie sięgało uzbrojone w odkurzacz ramię najodważniejszej nawet sprzątaczkii.

– Sylwester mógłby tu czasem pomachać gałgankiem – mruknął ze złością, krztusząc się od wiekowego pyłu,

118

który za każdym jego poruszeniem wzbijał się szarym tumanem.

– Znalazł pan?

– Jeszcze nie.

Podobne do siebie jak dwie krople wody tomiki, wszystkie obciągnięto tą samą gładką, ciemnozieloną skórą, której kolor ginął teraz pod pokładem kurzu. Broniś marszczył nos, prychnął, mrugał, broniąc się przed wciskającym się pod powieki i do gardła pyłem. I choć zamykał szczelnie usta, czuł zdawało się smak kurzu.

– Już pan znalazł?

– Nie.

Tomiki, dla zaoszczędzenia miejsca ustawione w kilka rzędów – środkowy regał był wyjątkowo szeroki – jak gdyby dwoiły się i troiły. Gdzież ta sygnatura 603?

Okazało się, że zapadła w następny rząd książek trochę większego formatu, skąd wydobył ją dopiero po dłuższych poszukiwaniach. Był to równie pięknie oprawny tomik, zakurzony jak i jego bracia, ale szerokie marginesy pokrywało wyraźne pismo dziada Aleksandra.

– Ma pan książkę?

W odpowiedzi Broniś zaniósł się kaszlem. Panna Michałowska stała het, w dole, pewny więc, że nie dojrzy jego manipulacji, wpakował zielono oprawny tomik do wewnętrznej kieszeni marynarki. Czuł nieznośne drapanie w gardle, kurz kręcił w nosie, a oczy łzawiły. Uznał, że dość już przebywał w podniebnych rejonach magazynu i rozpoczął powrotną wędrówkę na ziemię.

Gdy stawiał stopę na przedostatnim szczeblu, napotkał uważne, badawcze oczy Klary.

– Znalazł pan książkę?

Ledwie zdążył wydobyć chustkę do nosa, a już musiał kichać, dłużej niepodobna było tłumić tak naturalnego odruchu.

119

– Proszę dać mi tę książkę!

Na chusteczce pozostały brudne smugi, a oczy nadal piekły niemiłosiernie i nie przeszła ochota do kichania.

– Niechże mi pan wreszcie ją poda!

W ustach pełno kurzu. Biała przed chwilą chusteczka wyraźnie zmieniła kolor. Ręce wyglądają, jak gdyby grzebały w ziemi. Broniś czuje, że za chwilę znowu zacznie kichać.

– Nie słyszy pan? Gdzie moja książka? Szczelnie zapięty zielony kitel nie zdradza tajemnicy.

– Kurz – wykaszluje Broniś w chusteczkę.

– Ale książka?

– Tony kurzu!

– Pan wyraźnie nie chce mi oddać tej książki!

– Przepraszam, trudno mi mówić. Tam od lat nikt nie odkurzał... – Znowu drapanie w gardle i kaszel. – Nałykałem się pyłu... Muszę się otrzepać i umyć ręce.

– Komediant! Myśli pan, że nie rozumiem tych wybiegów! Dlaczego nie chce mi pan doręczyć tego, o co proszę?!

– Przecież widzi pani, w jakim jestem stanie...

– Widzę. Ale to nie zmienia faktu, że już pan stamtąd zszedł, znalazł pan książkę i nie oddaje mi jej, prawda? Żeby mi zrobić na złość?

– Za dużo kurzu, by cokolwiek znaleźć... Nie sposób odczytać sygnatur... wszystko szare, jednakowe... Zanim Sylwester nie zrobi porządku, półki są niedostępne...

Panna Klara zacisnęła piękne rączki.

– Niedostępna dla pana, ale nie dla prawdziwego mężczyzny. Znowu nie można powstrzymać kichania. Chusteczka przypomina ścierkę, którą okurżono co najmniej pół kilometra półek.

– Tylko w Bibliotece hodują podobne niedołęgi! Broniś wie, że jego wygląd jest bardziej niż żaloszny, że w niczym nie przypomina bohaterskiego młodziana, wycho-

120

dzącego z nieposzlakowanie zawiązanym krawatem z najgorszych opresji. Twarz pewnie brudna...

– Ukrył pan książkę, by później po nią wrócić. Rozumiem pańską taktykę. Ale to się nie uda. Sylwester nie zostawi pana samego. Nie będzie można plądrować po magazynie. Pytam po raz ostatni...

Skrzypnęły drzwi, widocznie wracał magazynier. Panna Klara zareagowała zaskakująco, gdyż usłyszawszy oddalone jeszcze kroki, uwiesiła się kurczowo ramienia zdumionego Bronisia.

– Panie Janku!

Mimo szarpaniny nie udało się uwolnić ramienia, delikatne rączki trzymały z siłą stalowych kleszczy. Co za sytuacja!

Sylwester nie czeka na powtórne wezwanie i Broniś tuż przy twarzy widzi nabiegłe krwią oczy magazyniera.

– Och, jak dobrze, że pan wrócił! – panna Klara nareszcie otwiera zaciśnięte palce i odsuwa się przezornie. – Skorzystał, że jestem sama i... obraził mnie. Uwolniony puszcza w ruch pięści, ale czuje już słony smak krwi spływającej z przeciętej wargi. Sylwester zaatakował o sekundę wcześniej.

Wielka drabina skrzypi niebezpiecznie, potrącana przez walczących.

– Nauczę cię rozumu, ty paniczyku – charczy Sylwester.

Przeciwnicy kotłują się w wąskim przejściu między regałami. Broniś wali na oślep w coś miękkiego, garścią chwyta włosy magazyniera i uderza jego głową o zwarte szeregi książek. Napastnik słabnie, potyka się, Broniś prawie wynosi go na otwartą przestrzeń i sadza przy stole. Obaj wyglądają przerażająco.

Panny Michałowskiej nie ma już w magazynie.

Sylwester oparł głowę na rękach, ciężko dyszy. Broniś przekonawszy się, że przeciwnikowi nie stało się nic powa-

121

żnego, zdejmuje zakrwawiony kitel i przemyka się do pobliskiej umywalni, w korytarzu. Najgorzej wygląda rozcięta warga, gdyż nie przestaje krwawić. Chusteczka nie nadaje się do użytku.

Doprowadziwszy się jako tako do porządku, ze zwiniętym kitlem pod pachą, postanawia dotrzeć do kąta za szafami. Ma nadzieję, że w sali nie zastanie nikogo, przecież delegat wiedeńskiej Biblioteki Narodowej miał wygłosić niezwykle ciekawy referat. Niestety, na progu natyka się na panią Aurelię.

– W imię Ojca i Syna, panie Bronisiu, co się stało?

– Skaleczyłem się trochę...

– A gdzie pan był?

– W magazynie...

– Czy ktoś pana pobił?

– Mnie? Nie... Po prostu tam tak ciasno, wie pani, potknąłem się o drabinę.

– Ma pan rozciętą wargę.

– Być może...

– Ależ tak, zaraz zrobię opatrunek. Mamy przecież apteczkę.

– Dziękuję pani.

– Chyba spadł pan z tej drabiny?

- A tak... Istotnie... Ale doprawdy, to głupstwo...
- Twarz ma pan posiniaczoną.
- Nie zauważyłem, to ta drabina...
- Panie Bronisiu, pan coś przede mną ukrywa.
- Zaręczam pani, że... Byłem na szczycie drabiny... i schodziłem... i tak jakoś niezręcznie... zsunąłem się z kilku szczebli. Chyba najlepiej będzie, jak pójdę do domu... Inaczej wszystkich wystraszę...
- I ja tak myślę. Tylko zalepię tę wargę. Jakże się pan pokaże na ulicy? Zupełnie jak z karczemnej bójki. I to w Bibliotece Narodowej!

122

12

- Nad lewym okiem pewnie wyskoczy guz - martwił się Broniś, gdy wykąpany i otulony grubym płaszczem kąpielowym oglądał w lustrze nad toaletką ciotki Zuzanny zniszczenia, spowodowane w jego fizjonomii pięścią magazyniera.
 - Nie wyglądasz zbyt interesująco - przyznała ciotka, patrząc krytycznie na zalepioną plastrem wargę oraz na siniec, ciemniejący na lewej szczęce bratanka.
 - Już się zresztą zdażyłam przyzwyczaić do twej nowej twarzy. Przyznaję, że z początku...
 - O tak - westchnął - ja też się chyba przyzwyczaję. Nie wiem tylko, jak w Bibliotece...
 - Siniec przejdzie przez wszystkie fazy kolorów: od błękitu poprzez granat, zielonkawy, żółty...
 - Ciocia zamiast mnie pocieszać... Koszula też pewnie na nic...
 - Upierze się. Gorzej z krawatem.
- Broniś pogłaskał pieszczotliwie mały tomik, który po oczyszczeniu okazał się arcydziełem francuskiej sztuki introligatorskiej z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku.
- Nie mamy „Aleksandra trzeciego, króla Macedonii”
 - zauważył.
 - To tylko ogniwo. Panna Klara doprowadziła cię do właściwego celu. A tu pewnie kryje się nowa rewelacja.
 - Czytajmy. Czy ciocia gotowa?
 - Gotowa.

Książeczka wyszła anonimowo w Poitiers, we Francji, w 1824 roku, a tytuł, w tłumaczeniu polskim, brzmiał mniej więcej tak: „Zwycięskie wyprawy Aleksandra Wielkiego”.

Dziad Mączyński wykorzystał szeroki margines wewnątrz-

123

ny, by opatrzyć go zapiskami, przeznaczonymi jak zwykle dla syna. Drogi Zygmysiu - pisał - nie ma gorszej niedoli, jak wśród kochających i oddanych nam serc nieść samotnie ciężar niepewności i podejrzenia. Jesteś już dorosłym mężczyzną i mógłbyś mnie zrozumieć, a ja doznałbym ulgi, odkrywając przed tobą serce. Niestety, nie wolno mi zaznać tej pociechy. Nie mam bowiem pewności.

Dziś dokonano zamachu na moje życie. Nie pierwszy to raz; otwarły mi się jednak oczy na pewne fakty, które dotąd przypisywałem przypadkowi. Wszystko opisałem, byś w razie mojej śmierci miał się na baczności. Opis tych wypadków znajdziesz w moich papierach, w dużej, żółtej kopercie, zalakowanej i przypieczętowanej moim herbem, a zaadresowanej do ciebie. Kopię tego dokumentu przekazuję książkom. Będziesz wiedział, gdzie jej szukać, jeśli trafisz do niniejszego dziełka. Przywieźcie cię Aleksander Wielki, mój imiennik. Ukryłem ją tu na wypadek, gdyby pismo moje z jakiegokolwiek powodu nie dotarło do twoich rąk.

Bądź ostrożny, Zygmysiu, komuś zależy tak bardzo na odnalezieniu pewnego papieru,

że nie zawaha się przed niczym. Powtarzam jednak, są to moje przypuszczenia. Dlatego nie śmiem wtajemniczać cię we wszystkie myśli. Czasem wydaje mi się, że niepotrzebnie wyjawiałem ci istnienie skarbu, może to skomplikuje twoje życie, obudzi chciwość... Co prawda znając cię dobrze, tak jak ja cię znam, mogę być spokojny, tym niemniej nigdy nie wiadomo, co uczyni z człowieka perspektywa wielkiego bogactwa. Chodzi bowiem o wielkie bogactwo, mój synu, a dla zdobycia o wiele mniejszej fortuny popełniano zbrodnie. Dlatego znikł mój spokój i dręczą obawy. Wierzę jednak w ciebie. Może ty, a nie ja, miałeś rację? Bóg to jeden wie i nie nam teraz o tym sądzić. W każdym razie przedsięwziąłem odpowiednie środki ostrożności, gdyż nie chciałem zginąć jak szczur w pułapce, z nieznannej ręki,

przypuszczając najgorsze...

124

Izydorczyk naturalnie nie wie, jaką wagę posiadają dla mnie te zapiski, nie wiem nawet, czy zdaje sobie sprawę, że coś tam w ogóle nagryzmoliłem... Ale tak lepiej. Odda ci wszystko, na to dał mi słowo honoru, a to człowiek prawy. Czytaj więc i rób, co ci nakaze sumienie. 10 marca 1904 roku, w Paryżu.

– Wyraźnie podejrzewał przyjaciela, prawda, ciociu?

– Broniś odłożył lupę i wyprostował zgięte plecy.

– Na to wygląda, ale być może, że chodziło o kogoś innego. Dziad, jak widzimy, nie wywnętrzał się przed nikim.

– Ktoś mu jednak groził.

– Może. Żonę oszczędzał, to zrozumiałe, ale dorosły syn...

– Sterroryzowano go.

– O nie, nie znasz dziada Aleksandra. To nie był człowiek, który ugiąłby się przed terrorem.

– W takim razie co?

– Pisze o żółtej kopercie, zaadresowanej do Zygmunta. O ile wiem, ojciec mój nic takiego nie otrzymał.

– Ale dodaje: „Kopię tego dokumentu przekazuję książkom”. Żółtej koperty nigdy nie odzyskamy, nawet jeśli była, bo i tak spłonęła w pałacej się Warszawie.

Kopia jednak musi znajdować się w którejś z książek. Będę szukał.

Ciotka nie odrywała wzroku od kartki papieru z przepisanyim tekstem pośmiertnego zlecenia.

– Zastanawia mnie jedno zdanie – powiedziała powoli.

– „Będziesz wiedział, gdzie jej szukać, jeśli trafisz do niniejszego dziełka. Przywiedzie cię Aleksander Wielki, mój imiennik. Ukryłem ją tu na wypadek, gdyby pismo moje z jakiegokolwiek powodu nie dotarło do twoich rąk”.

– Czy to oznacza, że są jeszcze inne książki o Aleksandrze Macedońskim z notatkami dziada?

– „Będziesz wiedział, gdzie jej szukać, jeśli trafisz do niniejszego dziełka” – powtórzyła ciotka z namysłem. – Potrzebne nam jedno brakujące ogniwo.

125

– Książka, którą znalazła Klara?

– Przypuszczalnie. Z niej chyba dowiedziała się o istnieniu trzeciej książki o Aleksandrze Wielkim.

– W takim razie, co oznaczają słowa: „Ukryłem ją tu...” Gdzie jest to „tu”? Czy w książce?

– Może w tej, którą ma panna Michałowska.

– Ale przez tamtą trafiła do obecnej, ta więc kryje najważniejszą tajemnicę.

– Oprócz notatki, którą odczytaliśmy, nie ma w niej nic innego, żadnych dodatkowych zapisków. Zresztą poszukaj jeszcze raz.

Broniś posłusznie przeczucił stronicę, sprawdzając kartka po kartce, podnosząc pod światło niektóre karty, jak gdyby spodziewał się odnaleźć wpuszczony między nie obcy kawałek papieru.

– Nic tu nie ma – w głosie jego brzmiało zniechęcenie.

– A może już wyjęła?

– Kiedy? Przecież książki tej nie miała w ogóle w ręku.

– Nic nie wiadomo. Mogła oglądać ją dawniej. Sylwester wyszukiwał jej potrzebne pozycje, nie zapominaj ponadto o spisie, być może zrobionym ręką dziada Aleksandra, który znajduje się w jej posiadaniu.

– W posiadaniu Biblioteki.

– Wszystko jedno, chwilowo ona ma go w swej dyspozycji, a ty nie możesz zapoznać się z jego treścią bez wzbudzenia podejrzeń.

– Do licha z tym wszystkim.

– Sprawa gmatwa się coraz bardziej.

– I mam coraz większą chęć rozplatać ten supeł, choć do przecięcia węzła gordyjskiego Aleksander Wielki użył miecza. Widać, biedaczek, nic innego nie wymyślił.

Ciotka milczała, obracając w rękach wypieszczoną okładkę książki.

– Muszę w jakiś sposób dostać ten brakujący tomik.

126

Stoi na galeryjce, ale głowę dam, że teraz go tam nie ma. Włamanie do biurka panny Klary też nie przyniesie rezultatu. Pewnie ukryła książkę w domu. Tam, niestety, zamknięta dla mnie droga.

- Ciekawe, przed kim dziad przestrzega Zygmunta, zalecając ostrożność i o jaki papier chodzi? Czy o kartkę przeora?
- Ten papier to klucz do skarbu, a dziad wyraźnie mówi o „wielkim bogactwie”. Może to być kartka przeora plus wskazówki dziada Aleksandra.
- Bronisiu, a jeżeli ta... przestroga jest nadal aktualna?
- Nie rozumiem.
- Jeżeli w dalszym ciągu grozi niebezpieczeństwo każdemu, kto ośmieli się poszukiwać ukrytego skarbu?
- Przecież minęło sto lat...
- Dlaczego nienawidzi cię panna Michałowska? Czego szuka w starym magazynie, jeśli pracuje w Dziale Rękopisów?
- Wiemy przecież, że szuka skarbu.
- Ale skąd o nim wie? My dowiedzieliśmy się przypadkowo i gdybyś nie pracował w Bibliotece Narodowej, nigdy może nie ujrzelibyśmy żadnej książki z kolekcji dziada.
- Cóż więc ciocia przypuszcza?
- Wszystko najgorsze. Panna Klara jest zapewne narzędziem w czyimś ręku. Tak młodą dziewczynę trudno posądzić o tyle przebiegłości. Działa pod wpływem otrzymanych instrukcji, spełnia rozkazy. Bronisiu, lękam się o ciebie.
- Ciocia żartuje.
- Nigdy nie mówiłam poważnie.
- Któż by więc knuł tak perfidne zamiary? Pan Michałowski nie żyje, ciocia sama była na jego pogrzebie.
- Podobnie jak dziad Aleksander i stary pan Michałowski mógł przekazać wiadomość o skarbie synowi.
- Ale syn też nie żyje.

127

- A więc wnuk, prawnuk lub prawnuczka, ta właśnie Klara. Wiadomość taka mogła zachować się w tej rodzinie. Nic o nich nie wiemy. Panna Klara jest tajemnicza i jak mówiłeś, koleżanki z Biblioteki łamią sobie głowę nad jej prywatnym życiem.
- Już raz mnie ciocia ostrzegała...
- Teraz wszystko jaśniej się rysuje... Nie zapominaj, że dziad Aleksander zginął śmiercią nagłą i tajemniczą.
- Został zamordowany, wiem, choć nie odnaleziono sprawcy.
- Otóż to. Policja francuska zalicza się jednak do najzdolniejszych w Europie. Zrobiono wszystko, mój ojciec był osobiście zaangażowany w śledztwo... I nic nie wykryto.
- Widocznie morderca był niezwykle sprytny, poza tym sprzyjały mu okoliczności.
- Dziad jednak obawiał się o Zygmunta...
- Ale nie sprecyzował swych podejrzeń. Możemy się jedynie domyślać. Poza tym w Bibliotece uważają mnie za fajt-łapę i panna Klara wie, jaką cieszę się famą, zresztą podtrzymuję ją w tym mniemaniu.
- Dobrze robisz, nie powinna przejrzeć naszych zamiarów. Swoją drogą wiele dałabym za tę książeczkę z galerijki...
- Postaram się...
- Lepiej nie. Sylwester gotów na wszystko, jeśli tego od niego zażąda. Przekabaciła go zupełnie. To może być niebezpieczny przeciwnik.
- Dałem mu z łatwością radę, mógłbym go nawet lepiej jeszcze urządzić... Żal mi było durnia...
- Może napaść na ciebie znieściana... Łatwo upozorować wypadek... Przewróci się drabina, spadną ciężkie foliały z regału, regał wreszcie może przygnieść nieostrożnego bibliotekarza... Miej się na baczności. Gra jest naprawdę niebezpieczna, jeśli chodzi o tak wielką fortunę, jak pisze dziad.

128

- Niechże ciocia nie wyobraża sobie okropności... Biblioteka to najprozaiczniejsze miejsce na świecie.
 - Ale guza już oberwał.
 - Sylwester pewnie gorzej wygląda ode mnie.
 - Czy miał pan wypadek, panie Bronisiu? - Głos panny Reginy drgał współczuciem.
 - Byłem na meczu hokejowym Polska - Niemcy. Pewnie słyszała pani przez radio, co się tam działo? Publiczność trochę się rozbrzykała, doszło nawet do rękoczynów.
- A przy okazji i ja coś niecoś oberwałem...
- Biedny pan. - Mimo żalostnej miny oczy panny Reginy błyszczały ciekawością.

Cóż to za pasjonujące wydarzenie! Nigdy nie była na żadnym meczu i wiele dałaby za to, by przeżyć podobną emocję.

Zaciszny kąć za szafami nie był, jak się okazało, bezpiecznym azylem. Nie pozostawiono Bronisia długo w spokoju.

– Podobno był pan na wczorajszym meczu? – Panna Marta dostała wypieków z podniecenia.

– Nie sądziłam, że taki z pana zapalony sportowiec – zauważyła pani Wiktoria z przekąsem.

– Cóż ma wspólnego hokej z naukową pracą? – prychnęła pogardliwie pani Basia. Broniś wdzięczny był pani Aurelii za taktowne milczenie. Jak to ładnie, że go nie wydała!

Do śniadania nie ruszał się zza biurka. Wiele książek przygotowanych do katalogowania piętrzyło się na półce. Mechanicznie przepisywał dane z karty tytułowej, podczas gdy myśl krążyła dokoła niewielkiej książeczki, traktującej o staro-

9–Cień dłuższego.

129

żytnym władcy, która jeszcze wczoraj znajdowała się w pewnym dobrze znanym punkcie galeryjki.

Pękata paczuska z drugim śniadaniem nie poprawiła ponurego nastroju dnia. Po dwunastej zdecydował się wreszcie zejść do magazynu.

Sylwester, jak zwykle pochylony nad stołem, na skrzyp drzwi obrócił się błyskawicznie, ukazując obrzękłą twarz z wielkim sińcem pod prawym okiem.

– Dzień dobry. – Broniś postarał się o jak najweselszą intonację powitania. – Mam sporo gotowych książek. Może byśmy odwieźli je do magazynu?

Sylwester nie wiedział, jak zareagować na przyjazny uśmiech okaleczonej wargi wczorajszego przeciwnika.

– Sam przywiozę – mruknął spuszczać wzrok. – Gdzie one leżą?

– Zawalone całe biurko.

– Nie zamykam magazynu. Zostanie pan do mego powrotu?

– Naturalnie. Przygotuję nową porcję książek.

Jak przypuszczał, na galeryjce wśród szaro oprawnych tomików ziało pustką miejsce po zabranej przez pannę Klarę książeczce. Przeszukał starannie okoliczne półki i dopiero turkot wózka przerwał daremny trud.

– Brak tu jednej sygnatury. Czy posyłał pan ostatnio książki z galeryjki do czytelników?

– Nie.

– W takim razie jest pewnie u panny Michałowskiej. Milczenie.

– Ale rewers pan ma, prawda? Niezrozumiałe mruknięcie zamiast odpowiedzi.

– Jak to? Panna Michałowska bierze, co chce, z magazynu bez rewersu? Bez żadnej kontroli wypuszcza pan książki z tak cennego zbioru? To chyba nie jest w porządku.

– Ja odpowiadam za stary magazyn, nie pan. Dotąd nie

130

zginęła żadna książka. Zresztą czy ja wiem, co pan stąd wynosi? Na patrzę panu na ręce.

– Zostawiam rewers na ogólną ilość tomów, które zabieram na górę.

– Ja ich nie liczę i nie wiem, czy wszystkie wracają.

– Proszę nie odwracać kota ogonem. Mówimy o książkach, które panna Michałowska zabiera bez rewersu. Nie wiem, czy ten proceder zgodny jest z przepisami i czy pochwali go doktor Rayski.

– To sprawy wewnętrzne. Nie polecą pan chyba z językiem.

– Nie mam zamiaru, ale potrzebna mi koniecznie ta brakująca sygnatura. Wie pan przecież, jak dyrektorowi zależy na batignolach. Proszę spytać panny Michałowskiej...

– Nie była dziś...

– Więc gdy przyjdzie...

Niestety przez cały tydzień zielona suknia nie pokazała się w starym magazynie. Bronisia pożerała niecierpliwość, a Sylwester w poczuciu winy pokornie znosił zły humor stałego klienta.

– Szczęściara z tej Klary Michałowskiej – oznajmiła któregoś dnia przy śniadaniu panna Zosia. – Pojechała z zagranicznymi gośćmi do Krakowa. Dyrektor ją wyznaczył...

– Słusznie, taka reprezentacyjna panna – przytaknęła z uznaniem pani Aurelia.

- Objadą wszystkie znaczniejsze biblioteki: Jagiellońska, Ossolineum, Kórnik...
 - To dziewczyna użyje – westchnęła panna Marta.
 - Psiakrew – mrucał Broniś. – Ale mam pecha! Niech ich diabli!
- Do domu wrócił z grobową miną.
- Nic z tego – oznajmił od progu. – Pojechała w objazd bibliotek z cudzoziemcami.

131

Ciotka Zuzanna nie przejęła się przykrą wiadomością, odwrotnie, ukazała bratankowi rozradowane oblicze.

- Ciocia się cieszy, a mnie cholera bierze!
- Nie bądź ordynarny, wiesz, że tego nie lubię. Siadaj do obiadu i nie mędrkuj. Broniś milczał uparcie podczas jedzenia, ale gdy po zebraniu naczyń ciotka przyniosła oprawny w skórę tomik opisujący wyprawę Aleksandra Wielkiego i położyła triumfalnie na lnianej serwecie w żółte słoneczniki, nie potrafił wytrwać dłużej w swej „splendid isolation” i podniósł znad filiżanki pytające spojrzenie.
- Czy pamiętasz, jak Aleksander Macedoński rozwiązał węzeł gordyjski?
- Pewnie, że pamiętam. Wyciągnął po prostu miecz i ciął. Ale co z tego?
- Co? Ja też wzięłam miecz, no, nie miecz, tylko nóż kuchenny i...
- I znalazła coś ciocia?
- Znalazłam.
- Gdzie?!
- W okładce. W specjalnie na ten cel przygotowanej skrytce. Wystarczyło rozciąć papier wyklejający wewnętrzne strony skórzanej oprawy. Spójrz. Z wąskiego przecięcia wysunęły się cienkie arkusiki, drobno zapisane dobrze znanym charakterem pisma. Broniś pochwycił delikatny papier.
- Jak się ciocia domyśliła?
- Zwyczajnie. Naprowadził mnie Aleksander Wielki.
- Ciocia jest genialna!
- Nie przesadzaj.
- Po prostu Szekspir.
- Dlaczego Szekspir?
- Bo to także geniusz.
- Przynieś lepiej lupę zamiast pleść głupstwa.

132

Arkusiki zawierały zapowiedziane wewnątrz książki rewelacje, dotyczące zamachów na życie dziada.

Drogi synu – pisał Aleksander Mączyński atramentem, który po tylu latach zachował zadziwiająca świeżość barwy. – Jest to kopia listu, oryginał znajdziesz po mej śmierci wśród innych papierów (żółta koperta do Ciebie zaadresowana). Mam jednak obawy, czy pismo to nie ulegnie zniszczeniu, powtarzam więc raz jeszcze, co już powiedziałem. Ukryję te moje wspomnienia w okładce niniejszej książki. Trafisz do nich, jeśli uważnie przeczytasz wskazówki, które doprowadzą Cię do tego tomu.

A więc, jak wiesz, dokonano dziś zamachu na moje życie. Starano się wmówić mi, że to przypadek. Ty sam mnie uspokajałeś, ale wiem, Zygmusiu, że nie wierzysz w to pobożne kłamstwo. Jakiś nieznany człowiek kręcił się koło stajni, koniowi zadano podniecający środek. Mój Amor to zrównoważony i wierny towarzysz, rozumiejący każde słowo. I raptem ponosi, bez powodu. .. Nie pojedę więcej na spacer, wyrzeknę się tej przyjemności. Trzeci to bowiem raz skrytobójcza ręka wyciąga się, aby odebrać mi życie, największy dar Boga, najwspanialszy skarb, jaki posiada człowiek. Jakże wszystko przy nim błędnie! Wszelkie bogactwa niczym są wobec tego dobrodziejstwa. Wiele przeżyłem godzin pięknych, zarówno jak i straszliwych, ale za żadną cenę nie oddałbym najcięższych nawet przeżyć, gdyż one uczyniły mnie naprawdę człowiekiem. Jesteś dziś młody i zdaje ci się, że na tej ziemi będziesz żył wiecznie, lecz gdy staniesz u schyłku, każdy dzień będzie dla Ciebie cudownym odradzeniem się.

Cieszyłem się życiem, ale po trzeciej próbie pozbawienia mnie tego szczęścia, wiem już, jak skończę: nagle, w wypadku, w katastrofie, pod nożem mordercy... Trzy razy udało mi się wyjść cało, czwarty będzie ostatni.

Pierwszy raz było to we Włoszech, podczas cudownej podróży, którą odbyliśmy we troje. Nigdy dotąd nie myślałem o tym zdarzeniu jako o celowo wymierzonym przeciwko mnie ciosie.

133

Ty byłeś wówczas wyrostkiem, matce zaś twojej nic nie mówiłem. Kochała mnie bardzo i wiem, że drżałaby o moje życie. Nie chciałem narażać jej na stały niepokój.

Znajdowaliśmy się wówczas w Portoferraio na Elbie, pamiętasz może to stare miasto schodzące do morza, nad którym piętrzą się mury medyceuszowskiej jeszcze fortecy. Byliście zmęczeni i, wylądowawszy wcześniej, udaliście się na spoczynek w skromnym hoteliku, ty i twoja matka. Ja po kolacji wyszedłem na miasto, zapuściłem się w wąskie, nieznane uliczki, im bliżej morza, tym silniej pachnące smołą. Spoglądając w górę myślałem o więźniu, który spędził tu dziewięć miesięcy, wpatrzony w to samo morze.

Nagle w ciemnym zaułku przyskoczył do mnie człowiek. Ujrzałem błysk noża nad głową, w porę jednak unieszkodliwiłem uzbrojone ramię. Gdy wykręciłem mu rękę, aż zajęczał, spytałem po francusku:

- Czego chcesz? Dlaczego na mnie napadasz?
- Proszę mnie puścić – odparł najczystsza francuską wymową.
- Potrzebujesz pieniędzy? Jesteś w biedzie? Dlaczego nie pracujesz uczciwie?
- Jestem biedny – poskarżył się jękliwie.
- Co tu robisz? Ty przecież Francuz...
- Francuz, ale nędza wyгнаła mnie z domu... Chora żona... dzieci...

Dałem mu garść monet, nie licząc, i puściłem wolno. Żał mi się zrobiło łajdaka, skomlącego o litość. Gdybym oddał go policji, dostałby dożywotnie galery.

W nocy opadły mnie refleksje.

- A jeśli źle uczyniłem, puszczając go wolno? Jeśli znajdzie inną ofiarę? Może trafić na kogoś mniej wyćwiczonego w walce.

Przez moją słabość charakteru jakiś człowiek może stracić życie. Zbrodniarz i tak nie uniknie kary.

134

Ponadto zastanowiło mnie to, że bandyta mówiący czystym nadsekwanskim akcentem, tak daleko od ojczyzny, zaatakował przybywającego z Francji wędrowca.

A może to płatny zbir? – przemknęło mi przez myśl.

- Może carscy ajenci tropią mnie aż tu, nie mając sposobności bezkarnie zabić mnie w Paryżu?

Tyle lat minęło jednak od mojej ucieczki z kraju, poza tym nie byłem żadną osobistością, nie odegrałem w powstaniu wielkiej roli, ot, zwykły żołnierz, cóż więc za interes miałoby potężne mocarstwo, nastając na moje życie? W Paryżu mało zajmowałem się polityką, raczej wewnętrznymi sprawami emigracji, więc odrzuciłem tę myśl czym prędzej, skłaniając się raczej do teorii, iż był to zwykły rzeźmieszek, czyhający na nieostrożnego podróżnika z pełną kieszką.

Nazajutrz znowu wybrałem się na samotny spacer w portowej dzielnicy, na próżno wypatrując wczorajszego napastnika. Kilka dni pozostawałem pod wrażeniem ataku, potem wspomnienie zbladło. Odżyło dopiero dziś z niezwykłą siłą, poparte przekonaniem, iż nie był to zwykły przypadek...

W jakiś czas potem – pamiętam dobrze to lato, gdyż przyjaciel mój, Barno, w owym czasie wybrał się potajemnie do kraju

- znowu zaszedł wypadek, który dziś dopiero staje mi przed oczami z całą wyrazistością i nabiera właściwej wymowy.

Barno oznajmił, że jedzie na kurację w Pireneje – dokuczały mu już wówczas bóle reumatyczne w nogach. Pozostałem sam w Paryżu, gdyż i ty wraz z matką spędzaliście lato w wynajętym na ten cel letnim domku w Montmorency. Dojeżdżałem tam co kilka dni na odpoczynek, nie mogłem jednak zupełnie opuścić Paryża dla pewnych interesów majątkowych (grywałem trochę na giełdzie, by powiększyć skromne dochody).

Wychodziłem pewnego ranka na ważne spotkanie z moim agentem giełdowym, gdy tuż za bramą domu zaczepiła mnie uboga odziana kobieta, ku memu zdumieniu zagadnąwszy po polsku:

135

- Przepraszam wielmożnego pana...

Przyjrzałem się jej uważnie. Była jeszcze młoda, ładna i choć skromnie ubrana, coś wskazywało, że z niejednego pieca chleb jadła i że już dawno zatraciła poczucie kobiecej godności.

- Słucham – odparłem pochylając się ku jej drobnej postaci.
- Chciałabym prosić pana o pomoc. – Szczupłe palce zaciskały na piersi czarny szal, ale w oczach nie było ani prośby, ani pokory, patrzyła, powiedziałabym,

raczej wyzywajaco.

– Chętnie – odparłem sięgając do kieszeni.

– Nie, nie – powstrzymała mój gest – chciałabym, żeby pan nas poratował. Mego męża i mnie. My Polacy, ale biedni i nieszczęśliwi.

– Czy mąż pani zapisany w Komitecie? Udzielamy pomocy wszystkim potrzebującym rodakom.

– Mój mąż dotąd nie chciał – przerwała – on taki ambitny, pan rozumie... nieźle mu się wiodło. Teraz chory, od miesiąca leży. Skończyły się oszczędności.

– Dam pani zaraz zaliczkę – powiedziałem wyjmując portfel -- proszę jutro zgłosić się do Komitetu, oto moja karta, dostanie pani, co potrzeba. Przyślą doktora i lekarstwa. Niech się pani nie martwi...

Nie odchodziła jednak, mnąc w rękach wizytówkę. Zdawała się wahać.

– Mam wielką prośbę, ale nie śmiem...

– Śmiało, niechże pani powie...

– Mąż prosił...

– No, o cóż prosił?

– Kiedy nie mam odwagi...

– Jestem członkiem Komitetu i obowiązkiem moim nieść pomoc...

– Mąż prosił, żeby pan raczył przyjść – wyrzuciła jednym tchem.

– Przyjść? Dokąd?

136

– Do nas... do naszego mieszkania... on taki nieszczęśliwy. Groził, że jeśli pokażę się bez pana...

W pozbawionych wstydu żrenicach nie było cienia lęku czy choćby niepokoju.

– Przyjdę – odparłem zdziwiony podobnym żądaniem. – Jutro rano. Teraz mam ważne zajęcia...

– Teraz – przerwała natrętnie – ja zaprowadzę, to niedaleko... Niech pan raczy...

Obawiając się, by nieszczęśliwej kobiecie nie spotkała krzywda od srogiego, widać,

męża, uległem, acz niechętnie. Napisałem szybko bilecik do ajenta, odwołując spotkanie i wysłałem przez pierwszego napotkanego posłańca.

Rzeczywiście nie było daleko, choć musieliśmy zapuścić się w pokręcony labirynt uliczek, które mało znałem, gdyż nieczęsto tamtędy wypadała mi droga.

Po kwadransie marszu – przewodniczka ani razu nie otworzyła ust – stanęliśmy przed odrapaną kamienicą. Wąskie przejście ziało wilgocią, prowadząc na brudne, wydeptane schody, gdzie zamiast poręczy przeciągnięto wytłuszczony dotykaniem setek rąk gruby sznur.

Dopiero na piątym piętrze kobieta zatrzymała się przed źle spojonymi deskami nędznych drzwi.

– Wielmożny pan raczy wejść – usunęła się z fałszywą pokorą, pchnawszy te mało zachęcające podwoje.

Z każdego kąta nagiej izby wyzierała nędza. Nędza i brud. Na barłogu pod ścianą leżał mężczyzna o zarośniętej twarzy i ponurym wzroku.

– Wielmożny pan pozwoli – kobieta podsunęła mi jedyne, kulawe krzesło.

– Dlaczego nie zgłosiliście się dotąd do Komitetu? – spytałem wstrząśnięty obrazem tej niedoli. – Ratujemy w biedzie wszystkich rodaków, pomagamy znaleźć pracę. Jesteście rzemieślnikiem?

– Choruję – zaskomlał ochryple, a wraz z oddechem dole-

137

ciał mnie odór absyntu. – Od miesiąca bez pracy, wyrzucili jak sobakę...

– Trzeba było do Komitetu. Zapisano was?

– Kiedyś zapisywali i co z tego? – odparł unikając mego wzroku.

– Dawno z kraju?

– A dawno. Zdażyłem już najeść się nędzy.

– Nazwisko?

Burknął coś niezrozumiale pod nosem i siadł na posłaniu. Zauważyłem wtedy, jak był rosły i barczysty, z wielkimi, mocnymi rękami, którymi wspierał się o dziurawy siennik.

– Nazwisko i adres – powtórzyłem głośniejszym głosem sięgając po notes.

W tej krótkiej jak mgnienie chwili, gdy byłem zajęty, dziad skoczył mi do gardła.

Padłem na wznak wypuszczając notes, przywalony zwałistym cielskiem zdradliwego napastnika.

Tarzaliśmy się po lepkiej od brudu podłodze, co nigdy zapewne nie widziała wody, a żyłaste ręce czepiały się uporczywie mojej szyi. Zaczynało mi już braknąć tchu,

ciemniało w oczach, a bandyta ział mi w twarz wstrętnym oddechem.

Nie wiem, jakim cudem udało mi się uwolnić kolano i, wpierając je w pierś przeciwnika, odrzucić go od siebie na tyle, by rozluźnić chwyt zaciśniętych na gardle palców. Wraz z powietrzem ożywiającym płuca, w zwiotczałe od wysiłku mięśnie wstąpiła nowa energia.

Po chwili ja byłem na wierzchu, gniotać kolanami obezwładnionego bandytę.

– Mów kto jesteś? – wysapałem z trudem.

– Swołocz – warknął i szarpnął się z taką siłą, że odrzucił mnie pod przeciwległą ścianę.

Łoskot zatraskiwanych drzwi i tupot podkutych buciorów zbiegających po nierównych stopniach oznajmił mi, że jestem sam. Kobieta ulotniła się na samym początku walki.

Doprowadziwszy jako tako do porządku garderobę, zszed-

138

łem powoli, potykając się na wydeptanych i gdzieniegdzie częściowo wykruszonych stopniach. Z czarnej sieni wionęło zjełczałym tłuszczem i wilgocią. Odetchnąłem z ulgą znalazłszy się na ulicy, a zabłąkany w tych parażach fiakier odstawił mnie szybko do domu.

Postanowiłem zbadać sprawę. Doskonale orientowałem się, że zwabiono mnie w pułapkę. Nie byłem jedynie pewny, w jakim celu: mordu czy rabunku. Komu zależało na mojej śmierci? Nędznicy byli Polakami, a więc jakiś rodak nastawał na moje życie. Z drugiej strony mógł to być i cudzoziemiec, który dla uspienia podejrzeń posłużył się takim narzędziem.

Znano mnie w Komitecie udzielającym pomocy potrzebującym rodakom; łatwo było, używszy kobiety na przynętę, zwabić mnie w zasadzkę, nie podejrzewałem bowiem niczego. Komu jednak na tym zależało, komu?

Dreńcząc się tymi i tym podobnymi dociekaniem, udałem się po południu na miejsce zasadzki. Uliczka robiła wrażenie wymarłej, czasem tylko mignął ubogo odziany przechodzeń lub z otwieranych drzwi sąsiedniego szynku buchnął gwar pijackich głosów. Bez trudu rozpoznałem fatalną kamienicę, opatrzoną numerem 28. Jak przed kilku godzinami zapuściłem się w czarną otchłań sieni, wiodącą do zabrukowanej studni zwanej dziedzińcem. Z parterowych okien dolatywały łajdania:

– Znowu piłeś, łajdaku? Cały dzień siedziałbyś tylko w knajpie, ty leniu.

– Milcz, stara jędzo, bo ci żebra porachuję.

– Tylko to i potrafisz, durniu, a gliny znowu tu się kręca.

– Czego chcą, sukinsyny, a? – Głos przeszedł w ochryplę mruczenie.

Zastukałem z odrazą do drzwi, za którymi, jak przypuszczałem, mieszkał dozorca podejrzanego domu. Otworzyła tłusta megiera w brudnym kaftanie. Siwe kosmyki sterczały spod białego niegdyś czepka.

139

– Czego? – burknęła, patrząc spode łba.

– Potrzebuję informacji – zacząłem wsuwając w pomarszczoną dłoń dziesięciofrankówkę. – Ja nie z policji.

– Widzę przecież, że gadam z prawdziwym panem – starucha uśmiechnęła się bezzębnymi ustami i zapraszającym gestem otwierała szerzej drzwi. – Bardzo proszę, pan pozwoli do środka. U nas bieda – zachlipała nagle.

Przy stole siedział równie stary mężczyzna w łatanej koszuli, podparty na łokciach i co chwila ziewał. Baba obtarła fartuchem krzesło, ale nie usiadłem.

– Chodzi mi o lokatorów z piątego piętra, mężczyznę i kobietę. .. dość jeszcze młodzi.

Wiedźma wymieniła z mężem znaczące spojrzenie.

– Czy u państwa Daguet? To bardzo porządni ludzie. Płacą punktualnie. On ślusarz...

– Nie wiem, jak się nazywają – przerwałem – to cudzoziemcy.

– Cudzoziemcy? – zdziwiła się nieszczercze. – Nie ma w naszym domu cudzoziemców.

– Na piątym piętrze...

– Tam mieszkają tylko państwo Daguet.

– Może pójdziemy na górę? – zaproponowałem. – Pokażę, gdzie to jest.

– Pan wie? – spojrzała na mnie z obudzoną podejrzliwością.

– Wiem, zaprowadzę.

Wspięliśmy się po tych samych ohydnych schodach. Na podeście piątego piętra było

dwoje drzwi. Starucha wskazała na lewe:

- Tu mieszkają ludzie, o których panu mówiłam. Spokojni, pracowici...
- Nie tu - przerwałem niecierpliwie i nacisnąłem klamkę prawych drzwi.
- Tu nikt nie mieszka - pospieszyła z wyjaśnieniem.

140

- Od miesiąca stoi puste, jak powiesił się ten student... Był winien za kwartał...

- Dziś było tu dwoje ludzi i pani o tym wie, któż inny wpuściłby ich do domu?

- Nie było nikogo - zakrzyczała piskliwie - nie widział pan, że na bramie wisi kartka: „Pokój do wynajęcia”?

- Przyjdę z inspektorem policji, jeśli pani woli. Zakryła twarz fartuchem, a obfitym biustem wstrząsnął, płacz, nie wiem, szczerzy czy udany.

- Chce pan naszej zguby - zajęczała. - Co ja panu złego zrobiłam?

- Proszę powiedzieć, komu wynajęła pani ten pokój?

- Cudzoziemcom - zachlipała. - Kobieta przyszła parę dni temu i obejrzała mieszkanie.

- Kiedy się wprowadzili?

- Przyszli dziś rano, przynieśli parę łachów, ale zapłacili za miesiąc z góry...

Mnie nic innego nie obchodzi... Pobieram komorne... tak kazał właściciel domu.

- Jakie podali nazwisko? Wzruszyła ramionami.

- Trudno wymówić. To Węgrzy. Powiedzieli, że emigrują do Ameryki... muszą zatrzymać się na kilka tygodni w Paryżu... Płacili nowiutkim złotem... Nawet się zdziwiłam...

Zrozumiałem, że nic więcej nie potrafi powiedzieć. Pytanie nadal pozostawało więc bez odpowiedzi. Może powinienem był zawiadomić o napadzie najbliższy komisariat policji, ale sama myśl, by oskarżyć rodaków, napawała mnie wstrętem. Wśród naszych znajdowały się także różne męty, łase na każdy zarobek. Musieli mnie znać, wciągnęli w pułapkę, by obrabować z pieniędzy, zegarka, może ubrania... Przypuszczalnie nędza popchnęła ich do tego kroku - tak sobie tłumaczyłem. Nędza i złe skłonności. Ponieważ wyszedłem cało z tej opresji, nie skierowałem sprawy na drogę prawną, nie zająłem się odszukaniem przestępców. Jednym słowem zbagatelizowałem fakt, który do-

141

piero w powiązaniu z poprzednim i dzisiejszym wypadkiem stanowi jawny obraz nastawiania na moje życie. Trzy razy unikałem ciosu, ale jak będzie dalej? Nie jestem już młody, nie mam tej siły co dawniej, mogę ulec w walce z silniejszym ode mnie... Czym skończy się następna próba? Przypuszczalnie katastrofą. Boję się dociekać, doszukiwać przyczyn, rozgrzebywać przeszłość... Nic dobrego z tego nie wyniknie, a mnie i tak nie uratuje.

Chcę jednak, Zygmsiu, żebyś wiedział... Do dziś czułem się doskonale, serce mam jeszcze mocne i w razie nagłej i gwałtownej śmierci - badaj! Będiesz zresztą wiedział, co czynić, tyś prawnik... Nie pojedę więcej konno, posiedzę w domu, nie dam mordercy okazji. Kto jednak wie, na jaki piekielny pomysł wpadnie człowiek, opętany żądzą zabijania... Pamiętaj, że trzy razy wyszedłem cało. Wróg nie spocznie nie dopiąwszy cełu. Tak bardzo chciałbym prosić cię o pomoc, o radę,

o opiekę... Ałe mi nie wolno. Poczuję się nagłe stary i bezbronny, to dziwne uczucie po życiu tak czynnym jak moje. Na tobie spoczywać będzie obowiązek odnalezienia skarbu. Zrobisz to, prawda? Ale sam i w największej tajemnicy. Nikomu o tym nie mów, NIKOMU. Dzisiaj zupełnie sam, inaczej narazisz się na wielkie niebezpieczeństwo.

Umieszczę te zapiski w okładce „Aleksandra Wielkiego” - udało mi się nabyć taki egzemplarz ze specjalną skrytką. Książkę przekażę Izydor czy kowi, niech poleży w Bibliotece Ba-tignolskiej. On te moje kHażki składa osobno dla ciebie. Pisać będę dalej. Tymczasem żegnaj, drogi synu. Twój ojciec.

Przyjemnie wyskoczyć na balkon i po kilkunastogodzinnym przebywaniu w magazynie odetchnąć świeżością. Powietrze mimo wiosennych podmuchów jeszcze ostre, niemniej stary

142

magazyn utracił tak cenioną w zimie przytulność. Przedtem mówiło się: „jak tu zacisznie” - teraz coraz częściej „jak duszno”. Z każdym dniem wyraźniej pachniało kurzem, tą jakąś nieuchwytną wonią starych papierów. Zapach ten owijał

szczelnie niby wata, przenikał ubranie. Biblioteczny kitel, choć często prany, przesiąkł wyziewami kilkunastu tysięcy tomów.

– Nic dziwnego – stwierdzał Broniś czyszcząc kurtkę. – Nie można bezkarnie przebywać wśród takiego ładunku wiedzy, uczuć, pasji ludzkich, nagromadzonych na tak małej przestrzeni. To zupełnie jak promieniowanie radioaktywne i może okazać się równie niebezpieczne.

– Pleciesz, biedaku – pokiwała głową ciotka Zuzanna, spoglądając niespokojnie w mizerną po zimie twarz bratanka.

– Huczy od tego w głowie. Czy ciocia myśli, że oni siedzą cicho, ci wszyscy autorzy? Przekrzykują jeden drugiego. Dlatego Sylwester ma bzika, a i ja powoli staję się niespełna rozumu.

Wiosna działała na wszystkich pobudzająco, rozruszała nawet biblioteczne ramole. Panienki z westchnieniem ulgi zrzucały zielone fartuchy, ukazując barwne sweterki, i z gołą głową wybiegały na ulicę. Nawet szkła okularów pana

Błażewicza błyszczały inaczej, a pani Aurelia przymykała oczy, nadstawiając słońcu blade policzki, gdyż biurko jej kapało się wprost w powodzi światła.

Na półce Bronisia piął się w górę stos pudeł z kartkami batignoli, wycofanymi z katalogu. Broniś zachował wszystkie te fiszki, na nich robił uwagi o książce, notując napotkane na karcie tytułowej ciekawostki. Jednocześnie nie zaniedbywał własnych poszukiwań, pracując coraz bardziej gorączkowo.

Ile przewertował tomów, ile zbadał okładek, nauczony doświadczeniem, że gładki safian może kryć ćwiartki papieru cieńsze niż skrzydło motyla! Wszystko na próżno i choć na-

143

potkał arcyciekawe autografy Juliusza Fontany czy Maurycego Mochnackiego, z rzadka tylko ucieszyło oko nazwisko dziada Aleksandra, wypisane wyraźnym, energicznym pismem, niestety bez komentarzy. Coraz bardziej utwierdzał się jednak w przekonaniu, że tajemnicza „kartka przeora” musi znajdować się wśród batignolskiego księgozbioru. Kto pierwszy ją odnajdzie, on czy panna Michałowska – oto najważniejsze pytanie.

– Nie wezmę urlopu, póki nie znajdę skarbu – oznajmił któregoś dnia ciotce. – Klara dopiero miałaby używanie. Ale nie zrobię jej tej przyjemności i nie ustąpię. Mając wolną rękę, uwinęłaby się szybko. A tak ja jestem przeszkodą i to poważną. Nawet Sylwester się ze mną liczy.

– Od kiedyż to?

– Odkąd dostał lanie.

Ciotka pokiwała głową z powątpiewaniem.

– Na twoim miejscu nie budowałabym wiele na przychylności Sylwestra – zaopiniowała.

Tego wtorku termometr wskazywał w południe 18 stopni, a słońce grzajp jak w maju.

Idąc długim korytarzem do starego magazynu, Broniś miał ochotę śpiewać. Światło lamp elektrycznych, dziwnie mdłe po słonecznym blasku, przykro poraziło oczy, spragnione wiosennego kolorytu. Nikt nie odpowiedział na powitanie. Sylwester, odwrócony plecami, coś szperał przy bocznym regale, a panna Klara poprawiała włosy.

Przyszedłem nie w porę – pomyślał wesoło, kierując się ku schodom galeryjki.

– Niech pan nie będzie taki uparty, panie Janku – mówiła za jego plecami panna Michałowska. – Radzę dziś jeszcze pójść do dyrektora.

– Nie mogę – mruknął Sylwester.

– Dlaczego?

– Jak to będzie wyglądało? Co sobie dyrektor pomyśli?

144

– Co? Ze jest pan uczciwym człowiekiem i doskonałym magazynierem, dbałym o... Reszta wsiąkła w książki, głosy roztopiły się w szeregach regałów – akustyka starego magazynu była doprawdy pod psem – i Broniś nie dowiedział się, o co dba Sylwester.

Wyglądało, jak gdyby dziewczyna gniewała się na magazyniera, który tym razem nie okazywał zwykłej uległości.

– Jest pan niemądry, panie Janku – znowu doszedł go ostry sopranik – dobrze panu radzę, a pan...

Sylwester chrząknął w odpowiedzi, widać dla dodania sobie animuszu.

Zastukały obcasy i trzasnęły zamykane drzwi.

Broniś wychylił głowę nad poręczą galeryjki. Sylwester nie opuszczał gościnnego

regału, zajęty niby poszukiwaniem trudnej do znalezienia pozycji. Minęły dwie godziny w absolutnym milczeniu. Broniś zajął się pracą i zapomniał o magazynierze. Żaden dźwięk nie mącił ciszy sprzyjającej skupieniu. Przewertował dokładnie trzy półki książek dużego formatu, tak zwanej czwórki – nie znalazł przy tym ani jednego wyrazu, który by wyszedł spod pióra dziada – Broniś rozprostował zgięte plecy. Miał nową porcję dzieł do opracowania. Schodząc z galeryjki poszukał wzrokiem magazyniera. Sylwester siedział beczynnie na pomocniczych schodkach.

– Naszykowałem sporo książek dużego formatu, przewieziemy je na moje biurko. Magazynier widać nie dosłyszał, gdyż nawet się nie poruszył.

– Przygotowałem książki do przewiezienia – powtórzył Broniś, kładąc na stole rewers z sygnaturami, które zamierzał wywieźć z magazynu.

– Książki? – Sylwester zamrugał powiekami, jak gdyby po raz pierwszy słyszał to słowo.

– Niech się pan nie martwi, będzie dobrze – pocieszył

10–Cień dłuższego.

145

Broniś, widząc strapioną i jakby postarzałą twarz magazyniera.

– Cholera.

– Wszystko przez pana.

– Przeze mnie?

– Licho pana nadało do magazynu. Chodzi o sygnatury, które wyniósł pan i nie zwrócił.

– Ja wyniosłem jakieś sygnatury? Co pan bredzi?

– Udaje niewiniątko. A kto plądruje po starym magazynie? Kto przewraca wszystko do góry nogami, że nic potem znaleźć nie można? Ktowynosi książki bez rewersu?

– Obaj dobrze wiemy, że to panna Michałowska.

– Łatwo zrzucić winę na pannę Michałowską. Ale mnie pan oczu nie zamydli.

– A jednak to prawda. Przecież sygnatura, której potrzebowałem, dotąd nie wróciła na miejsce. A rewersu pan nie ma.

– Na wiele książek, co pan stąd wynosi, nie ma rewersu.

– To źle. Nie wypełnia pan należycie swych obowiązków.

– Wiem, ale to koniec. Nie dam dłużej strugać z siebie wariata. Dziś jeszcze idę do dyrektora. Niech wie, co się tu święci.

– Słusznie. Ja też miałbym wiele do powiedzenia dyrektorowi. Dzieją się tu różne rzeczy i czas najwyższy...

– O co panu chodzi?

– Jak to o co? O pańskie zachowanie. Jest więcej niż podejrzane. Słucha pan tylko panny Michałowskiej i...

– Nikogo nie słucham, mam swój rozum...

– Wątpię. A teraz proszę przygotować wózek, bo przewieziemy książki.

Broniś obawiał się odmowy i prawie zdziwił się, gdy Sylwester podjechał z metalowym pojazdem.

146

Na górze, w sali Dziewiętnastowiecznych Druków, wrzało.

– Nie chcę co roku brać urlopu w maju – skarżyła się podejrzanie czerwona, chyba zapłakana, panna Marta.

– Dla mnie wrzesień za późno – wtórowała panna Zosia.

– Panienki – łagodziła pani Aurelia – nie możemy wszystkie wyjechać w lipcu i sierpniu, nie zamkniemy przecież Biblioteki.

– To niesprawiedliwe – upierała się łagodna zazwyczaj panna Marta, widać dotknięta do żywego niesłuszną w jej mniemaniu dystrybucją urlopów.

– O, pan Broniek – zawołała pani Wiktoria. – Kiedy pan bierze urlop? Może jeszcze zmieściłby się pan we wrześniu.

– Nie wiem, dotąd nie myślałem.

– Pani Tymoniecka układa listę, dziś musimy zadecydować.

– Doprawdy nie wiem, kiedy będę mógł wyjechać.

– Nie oznaczy pan miesiąca?

– Niestety, proszę pani, to ode mnie niezależne. Chodzi o ważne sprawy...

Pani Wiktoria obrzuciła Bronisia baczny spojrzeniem.

– Sprawy osobiste muszą ustąpić wobec dobra Biblioteki – wygłosiła z namaszczeniem.

– Rozumiem, ale...

– Cóż więc pan postanawia?

– Wydaje mi się, że lepiej planować mój urlop na późniejsze miesiące, tak chyba będzie najbezpieczniej.

– Najbezpieczniej? Dla kogo? – Oczy pani Wkteriori przewiercały Bronisia na wylot.

– Naturalnie dla Biblioteki – odpalił zniecierpliwiony.

– Ryzykuje pan wakacje – skarciła surowo pani Wiktoria. – Doigra się pan urlopu w październiku.

147

– Żałuję bardzo, ale może i to okazać się dla mnie za wcześnie.

Zirytywany apodyktycznym tonem pani Wkteriori skrył się w zacisze szaf.

– Wstrętne babsko – podsumował wrażenie z nieoczekiwanej scysji.

Wśród dobrze znanych książek i szpargałów zalegających biurko, powoli wracał spokój. Wyłączył się z burzliwej dyskusji, której echa dochodziły do jego ustronia.

Pobijają się czy co? – pomyślał w pewnej chwili rozbawiony większym niż dotąd hałasem.

Nie słyszał pukania i dopiero postać Sylwestra wynurzająca się z za drewnianego przepierzenia szaf przywołała go do rzeczywistości. Magazynier trzymał w ręku książkę.

– W głównym magazynie zabłąkał się druk batignolski – powiedział z zakłopotaniem. – Akurat tam byłem, doktor Rayski uważa, że się panu przyda... Trzeba przenieść na inną sygnaturę...

– Dziękuję. – Bronisia zdumiał taki zbytek uprzejmości. Sylwester postął chwilę,

przysłuchując się podniesionym

głosem z sali. Wydawało się, że nie powiedział jeszcze wszystkiego, jak gdyby się zastanawiał. Rozmyślił się jednak i wyszedł bez słowa.

Broniś przyjrzał się przyniesionej książce. Pięknie oprawna w czerwoną skórę z wytłoczonymi złotymi literami napisem, wszystko w otoku wieńca z liści laurowych.

Była to nagroda za postępy w nauce, przyznana Wandzie Kozierow-skiej, uczennicy pensji dla panien, prowadzonej przez made-moiselle Didier na Batignolles, 24 sierpnia 1857 roku. Na karcie tytułowej w okrągłej pieczęści rozpościerał skrzydła Orzeł Biały, a Rycerz z Pogoni podnosił miecz jak do zadania ciosu. Napis głosił: „Towarzystwo Wychowania Narodowego”. Była to jakaś głupiotka, umoralniająca francuska powiastka dla młodzieży, w płaczkliwym stylu pani de Genlis.

148

Broniś, nie znalazłszy podpisu dziada, z przyzwyczajenia przerzucił kilka kartek,

gdy książka otwarła się sama mniej więcej w połowie, ukazując czerniejące na marginesie litery. Bez trudu rozpoznał dobrze znane pismo. Dlaczego jednak książka otworzyła się na tej karcie?

Mam nadzieję, Zygmusiu – drobne literki układały się w list dziada – że jesteś już w posiadaniu tego, co dla ciebie zostawiłem. Gdybyś z jakiegokolwiek powodu nie odkrył jeszcze moich zamiarów, znajdziesz tu ostatnią wskazówkę. Poszukaj w „Rocznikach polskich z lat 1857–1861”, a dowiesz się, o czym myślisz. Zachowaj wszystko w największej tajemnicy, tak dla twego dobra, jak i dla pomyślności sprawy. Liczę na ciebie i wierzę, że to, co tak dobrze ukryłem, dostanie się w odpowiednie ręce. W tym moja nadzieja. Bogu cię polecam, chłopcze. Ojciec. Ciemno w oczach. A więc to już? Już cel osiągnięty? Tak szybko? Jakie to proste. „Poszukaj w Rocznikach polskich”. „Roczniki polskie z lat 1857–1861”. Ostatnia wskazówka, od dawna poszukiwane brakujące ogniwo... „Kartka przeora” tuż, tuż... Cóż tam znajdzie? Gdzie będzie ukryty skarb? Czy przeleżał bezpiecznie przez wiek cały? Nie sposób odpowiedzieć na lawinę pytań.

Trzeba działać. Prędeż! Raz jeszcze przewertował książkę. Skąd wzięła się w bibliotece dziada Aleksandra? Czy znał pannę Wandę Kozierowską, wówczas już leciwą damę? Nie wiadomo. W każdym razie nie opatrzył książki swym podpisem. W sali jeszcze huczała dyskusja.

– Są tacy, co pod płaszczykiem choroby spędzają co roku miesiąc w sanatorium. – Panna Zosia posłała strzałę w stronę pani Aurelii.

Broniś, ślepy i głuchy na otoczenie, przebiegł między biurkami nie słysząc sprzeczki.

„Roczniki polskie”, tak, owszem, są, nawet dwa egzemp-

larze, niedaleko siebie stojące na półce. Pierwszy format, szesnastka, sygnatura 35055 i 35 172. Oba egzemplarze batig-nolskie. Cztery tomy... Gorączkowo notował sygnatury, zatrząskiwiał szufladkę i spieszył ku schodom do bocznego skrzydła. Sylwester stał na szczycie najwyższej drabiny. Broniś nie zwrócił uwagi na magazyniera i jednym susem znalazł się na galeryjce. \ - 35055 - mruzczał mijając półki.

Cztery upragnione tomy stały równiutko obok siebie, jak gdyby czekając na właściwego czytelnika.

Więc jest! Nareszcie! Śliczna, stylowa oprawa. Tom pierwszy „Roczniki polskie z lat 1857–1861” Paryż 1865, w drukarni E. Martinet. I jeszcze uwaga: „Przedruk głównych artykułów pisma „Wiadomości Polskie”. U góry, w lewym rogu karty tytułowej, podpis właściciela. Ale to nie wyraźne pismo dziada Aleksandra, o nie,

to coś innego. Trudno odczytać ten dziwaczny zakręt. Nazwisko naturalnie nieznanie. Nie wiadomo, kim był ów pan Antoni Kunicki, z mahoniu czy z orzecha zrobiono półkę, na której może niegdyś dumnie połyskiwały złocenia „Roczników polskich”. Nic nie wiadomo. Ale chyba dziad ukrył w ten sposób cenną wskazówkę, zakamuflował ślad. Tak widocznie trzeba. Nikomu nie przyjdzie na myśl, że posłużył się książką pana Kunickiego. Może to po prostu postać fikcyjna? Może dziad kazał komuś tak podpisać swój własny egzemplarz „Roczników”? I to możliwe. Tom drugi – to samo nazwisko, tylko z jeszcze bardziej zamaszystym zawijaszem. Tom trzeci. Tom czwarty. Nie ma nic, od pierwszej do ostatniej strony. Może w okładce? Czyż już raz nie kryła cennego depozytu? Ale nie. Żadnej wskazówki, znaku, jednego słówka objaśnienia. Nic.

Minęło chyba wiele godzin. Sylwester, bez fartucha, szykuje się do wyjścia. Pobrzękuje kluczami. Broniś ciężko podnosi się ze stopnia. Nic z tego. Cel równie daleki jak przed

150

tygodniem. Nie ma nawet co marzyć o zwycięstwie. „Roczniki Polskie”! Też pomysł! Sylwester wyraźnie zniecierpliwiony. Śpieszy mu się. Zrozumiałe, to przecież trzecia. Broniś wolno przemierza stary magazyn w stronę drzwi i spojrzeniem pełnym nienawiści obrzuca ciasno zastawione półki i regały.

– Zbieracze kurzu – rzuca w przestrzeń ze złością.

15

– Brak akcesji – stwierdziła pani Basia odsuwając energicznie kupkę książek. – Dział Nabytków pracuje bezmyślnie, już ósma pozycja nie oznaczona.

Panna Regina przytaknęła z naganą.

– Czy pan dziś chory, panie Bronisławie? A może ma pan jakie zmartwienie? – Pani Basia popatrzyła porozumiewawczo na pomocnicę.

– To chyba te urlopy... – szepnęła panna Regina. – Pan Broniś nie mógł się zdecydować...

– Jest wiosna – huknął pan doktor – co tu się dziwić...

– Proszę się nie martwić urlopem – powiedziała współczująco panna Marta. – Pani Tymoniecka zgodzi się na wcześniejszy termin...

Biblioteka stała się znowu nudna jak na początku. Jeszcze bardziej nieznośna. Wówczas wszystko było nowe, a każdy dzień bogaty w odkrycia: magazyn, katalog, ludzie, książki... Teraz nic, tylko psia nuda. Jak tu wytrzymać?

Obrzydl kąt za szafami, ciasnota upodobniła go do klatki. Kto kiedy był szczęśliwy w klatce? Trudno znieść taką niewolę. A na domiar złego te irytujące baby! Cierpliwości!

Tydzień temu była jeszcze nadzieja, przecież dwa egzemplarze „Roczników polskich” stały na półkach starego magazynu-

151

nu! Nadzieja jednak krótko zwodziła serce. Już nazajutrz Broniś przekonał się, że drugi egzemplarz istniał wyłącznie na katalogowej kartce, w magazynie nie pozostało po nim nawet śladu. Kurz nie potrzebował pokrywać pustego miejsca – książki stały tak ciasno, że sąsiednie sygnatury stykały się okładkami.

Stracił cały dzień na daremne poszukiwania. Dziwnie rozbiegane oczy Sylwestra śledziły każdy jego ruch. Magazynier kręcił się niespokojnie, to wchodząc, to schodząc z galeryjki.

– Szuka pan czego? – zagadnął w pewnej chwili.

– Tak, sygnatury 35 172. O, tu powinna stać.

– Ale tam nie ma wolnego miejsca. Czy to broszura?

- Nie, cztery tomy.
- Pewnie pomyłona sygnatura, często się zdarza.
- Może. W takim razie jak mógłbym odszukać? Sylwester wzruszył ramionami.
- Nie ma sposobu. Chyba przypadek...

Przez cały następny tydzień Broniś liczył więc na szczęśliwy przypadek. Pracował gorączkowo, by nadrobić stracony dzień. Sylwester każdego ranka witał go coraz bardziej ponurą twarzą, uciekając spojrzeniem od wzroku Bronisia. Panna Michałowska ani razu nie pokazała się w starym magazynie. Może przychodziła o innej porze?

Mimo coraz piękniejszej pogody drugi tydzień był jeszcze smutniejszy, jeszcze cięższy do zniesienia.

- Niech to wszyscy diabli! - oznajmił w domu - przez własną głupotę pozbawiłem się wakacji.

- Pojedziesz jak zwykle w góry z kolegami - zauważyła spokojnie ciotka.

- Chyba w październiku. Te wściekłe baby uwzięły się na mnie. Prosić ich nie będę. A wiem, że Andrzej bierze urlop na wrzesień i planowaliśmy...

152

»

- Miałaś odnaleźć skarb dziada Aleksandra - przerwała surowo ciotka Zuzanna.

- Miałem, miałem... ale głową muru nie przebiję.

- Głową nie, tylko rozumem.

- Rozum pomaga nawet osłom. - Ciotka głośno zamknęła drzwi kuchni.

Tak więc Broniś stracił głównego sprzymierzeńca. Teraz nie mógł nawet wyżalić się w domu. Ustały długie rozmowy przy stole. Ciotka miała minę, jak gdyby zawiódł jej oczekiwania. Psiakrew!

Pozostała tylko praca, nużąca monotonią, bez nadziei. Katalogowanie... Czynność pogardzana przez całą naukową, biblioteczną „góre”.

Broniś nieraz przypominał sobie pierwszą rozmowę z dyrektorem. Na jego nieśmiałe pytanie: Co będę robił? - dyrektor odpowiedział wesoło: Będzie pan katalogować.

Broniś dobrze pamięta rozczarowanie, wywołane perspektywą przyszłych obowiązków. Katalogować... Cóż to za praca? Spisywać tytuły książek i nazwisko autora...

Byle kretyn to potrafi. Dyrektor, widać, odgadł myśli młodego rozmówcy, gdyż dodał z uśmiechem:

- To nie takie proste, jak się wydaje. Przekona się pan, że katalogowanie to wielka sztuka.

I rzeczywiście, -przekonał się. Była to naprawdę sztuka. Ileż wymagała erudycji, ilu wiadomości z najróżniejszych dziedzin, rozumienia języków obcych, czytania. Nie tylko byle kretyn, jak sądził z początku, ale nie każdy przeciętnie wykształcony człowiek potrafiłby skatalogować - nie mówiąc już o starych drukach - ale choćby książkę wydaną w ubiegłym wieku. A jeszcze przepisy katalogowe! Prawidła, rządzące zapisem bibliograficznym - prawdziwa dżungla dla niewtajemniczonego.

Cokolwiek drukowało się w Polsce, na prawach „egzemp-

153

larza obowiązkowego" - zwanego potocznie E. O. - wzbogacało zbiory Biblioteki Narodowej. Katalogowanie takiej współcześnie wydanej pozycji nie przedstawiało najmniejszej trudności. Autor nie krył się pod pseudonimem, lecz z dumą objawiał światu swe imię i nazwisko, świadom widać kłopotów, jakie mógłby w przeciwnym razie przyczynić biednym bibliotekarzom. Miejsce wydania, rok i nakładca widniały na karcie tytułowej bez osłonek. Bibliotekarz nie potrzebował zadawać sobie nawet tak minimalnego trudu jak przepisanie bijących w oczy danych z książki na kartkę katalogową. Wyręczał go w tym Instytut Bibliograficzny - rodzaj urzędu stanu cywilnego książki, rejestrujący każdego papierowego noworodka jeszcze przed jego ukazaniem się w księgarskich witrynach. Książka wkraczała do Biblioteki zaopatrzona w metrykę - drukowaną kartkę katalogową; bibliotekarz najwyżej robił potrzebne odsyłacze.

Jakże inaczej przedstawiała się sytuacja dziewiętnastowiecznego druku! Ówczesni autorzy lubowali się w tajemniczości. Co drugi używał pseudonimu, inny dawał do odgadnięcia rebus nazywając się „Przyjacielem ludu" lub „Naocznym świadkiem".

Często nie było daty wydania, a i miejsce zakamuflowane wymagało wielu poszukiwań. Dobrze jeszcze, gdy zagadkę ułożono w polskim języku, niestety cudzoziemcy celowali w tego rodzaju łamigłówkach. Wówczas bibliotekarz przeistaczał się w detektywa-historyka, historyka literatury czy sztuki, jednym słowem we wszechstronnie wykształconego erudyte, który za pomocą jemu tylko

wiadomych źródeł zdzierał przyłbicę osłaniającą prawdziwe oblicze książki. Nikt nie podzielał cichego tryumfu detektywa-erudyty, nikt, gdyż każdy trawił dzień na podobnych odkryciach, które z czasem spowszedniały jak chleb. Broniś często zastanawiał się, dlaczego tak odpowiedziałna

154

funkcja, jak opracowywanie katalogu Biblioteki Narodowej nie cieszy się uznaniem pewnych kół bibliotecznych, aspirujących do naukowości.

– To mrówcza praca – odpowiedział kiedyś pan Błażewicz na jego uwagę – dłubanina, benedyktyński trud. Efektów nie widać, katalog rośnie bardzo powoli, wielu pracowników Biblioteki w ogóle nie orientuje się, co tu robimy. Wszyscy jednak korzystają z naszej pracy, wszyscy przychodzą na gotowe i ani im w głowie,

jak na przykład ustalamy hasła. Nie zastanawiają się nad tym, przyjmują, że tak być powinno.

Każdy z nas specjalizuje się w pewnej „branży”, inaczej katalog nie byłby nawet wart papieru, który zużywamy na jego opracowanie. Pamiętam na początku mojej bibliotekarskiej kariery spotykałem takie kwiatki, jak na przykład anonimowo wydane w pierwszych latach ubiegłego wieku wertherowskie „Ostanie listy Jacopo Ortis” skatalogowane pod Ortis Jacopo. I żaden z naszych bibliotekarskich luminarzy nie skorygował błędu, żaden nie wiedział, że Jacopo Ortis to nie autor,

lecz bohater powieści słynnego włoskiego poety i pisarza Ugo Foscolo. Żaden... Tego niestety bibliotekoznawstwo nie nauczy...

W maju odbyły się w Bibliotece przepisowe szczepienia przeciw tyfusowi. Zastosowano nowe szczepionki i połowa personelu położyła się z wysoką gorączką. Zafrasowany pan Błażewicz szukał pomocy u pani Tymonieckiej.

– Moje panienki chore – skarżył się. – Może wypożyczy mi pani pana Bronisia choć na jedno popołudnie? Nie ma kto dyżurować w Katalogu, mnie co dzień trudno...

– Naturalnie! – Pani Tymoniecka, obdarzona żelaznym

155

zdrowiem, pełna była wyrozumienia dla ludzkiej słabości. – Zaraz to załatwię... Broniś skwapliwie wyraził zgodę, rad za każdej choćby najmniejszej odmiany codziennego porządku. I nazajutrz o trzeciej, gdy niedobitki bibliotecznego personelu kończyły pracę, zainstalował się w Katalogu, na miejscu panny Agnieszki, pod wielkim napisem „Informacja”.

Musiał naturalnie wykonywać swe zwykłe czynności, związane z katalogowaniem batignoli, ponadto do jego nowych obowiązków należało czuwanie nad katalogiem oraz udzielanie porad czytelnikom.

To pierwsze popołudnie w Katalogu wlokło się trochę sennie i choć tłoczno było przy szufladkach, niewiele osób prosiło o pomoc w poszukiwaniach.

Jakiś reżyser teatralny potrzebował prawideł gry w taroka i Broniś odesłał go do piętnastotomowego „Larousse'a dziewiętnastego wieku”, gdzie znalazły się najszczegółowiej wyłożone arkana tej starej gry w karty. Ktoś inny poszukiwał publikacji o Irlandii i Broniś wskazał odsyłacze do kilkunastu pozycji, traktujących o tym kraju. Ostatnia godzina między dziewiątą a dziesiątą minęła w całkowitej ciszy i samotności. Magazyn był już nieczynny i tylko najwytrwalsi czytelnicy pochylali się jeszcze nad książkami.

Po dwóch dniach Broniś znowu dyżurował w Katalogu. Była sobota, frekwencja minimalna, kto mógł, w tak piękną pogodę opuszczał miasto. Tego popołudnia przez Katalog przewinęło się kilku ospałych czytelników – ofiar obowiązku, i już o ósmej jedynym odgłosem dochodzącym do stołu Bronisia było burczenie lamp jarzeniowych.

Wtedy właśnie wpadła w rozwianym kitlu panna Celina z czytelnici.

– Panie Bronisławie, jednemu z czytelników potrzebny katalog rękopisów... tam nikogo nie ma...

– Cóż ja poradzę? Niech przyjdzie jutro rano.

156

– Nie można, to profesor Dudziński. Trzeba go obsłużyć. Mówi, że koniecznie dziś... Ja nie mogę zostawić czytelnici... Proszę pójść do Rękopisów... przyślę tu magazyniera... posiedzi...

– Bardzo chętnie... Do Rękopisów? Już idę.

– Dziękuję panu.

Zafurkotały poły zielonego fartucha i panna Celina odleciała.

Pozostawiwszy na swoim miejscu magazyniera, Broniś zszedł do dyżurnego, po czym otrzymawszy odpowiednie klucze wstąpił po profesora Dudzińskiego do czytelni. – Bardzo panu dziękuję za uprzejmość – mówił w pół godziny potem profesor, chowając do teczki zapisany arkusik. – Musiałem upewnić się, że ta część korespondencji Czartoryskich ocalała... Do widzenia i raz jeszcze dziękuję.

– Do widzenia, panie profesorze, rad jestem...

Po raz pierwszy Broniś był sam w Dziale Dziewiętnastowiecznych Rękopisów. Ciekawe, który z pozostałych kluczy, na kółku oznaczonym numerem dwanaście, otwierał pokój Klary?

Nie trzeba zapalać świateł sufitowych, wystarczy lampa na biurku...

Na stole i półkach panny Michałowskiej idealny porządek: książki ustawione według formatu, szuflady pozamykane, na biurku antyczny kryształowy kałamarz pełen zielonego atramentu i takiż przycisk.

Broniś pospiesznie przerzuca szesnastki – najmniejszy format – na najwyższej półce. Naturalnie są i „Roczniki polskie”, sygnatura 35 172, której brak w starym magazynie. Ale co to? Tylko trzy tomy? Przecież... Gdzie tom czwarty? Prędko przeszukać inne półki, ale ostrożnie, nie robiąc nieporządku, należy zostawić wszystko, jak było, nikt nie może wiedzieć...

Broniś gasi lampę i starannie zamyka drzwi.

157

– Dziękuję panu – mówi magazynierowi w Katalogu. – Profesor już poszedł. Czytelników nie widać, a jeszcze prawie godzina dyżuru. W sam raz starczy, by spokojnie obejrzeć odnaleziony egzemplarz. Tak, to własność dziada Aleksandra, na kartce tytułowej każdego tomu dobrze znany autograf... Ale tom czwarty?... Okładka twarda, ciemnobrązowa, grzbiety skórzane. Na okładce w laurowym wieńcu złożony napis: „Szkoła Narodowa Polska”. U góry nadruk: „Wydanie Biblioteki Polskiej w Paryżu”. Pełny tytuł dzieła brzmi: „Roczniki polskie z lat 1857–1861”.

Wydane w Paryżu w roku 1865 w drukarni E. Martinet, ulica Mignon 2.

Warto nareszcie zapoznać się z tą interesującą publikacją. Treścią „Roczników” wydawanych na obczyźnie są wydarzenia i wypadki polityczne w Polsce. Grube tomiki opisują życie poszczególnych ziem pod trzema zaborami, a więc Królestwo, Galicja, Litwa, Ruś i Wielkopolska przesuwają się jak w wielkim, tragicznym fresku, odmalowującym prześladowanie polskości, ciężką sytuację włościan, młodzieży uniwersyteckiej, szkolnictwa. Liczne recenzje ukazują podnoszący na duchu obraz życia literackiego, ożywiony ruch w teatrach, posiedzenia towarzyskie. Zapoznają czytelników również z walką o wolność w innych krajach, na przykład donosząc o oswobodzeniu Włoch... Ale co z tomem czwartym? Gdzie go szukać? Czyżby panna Michałowska dotarła już co celu?

Broniś czuje, jak budzi się dawny zapał przygaszony niepowodzeniem.

Dopiero ciocia będzie miała używanie – myśli z lekkim wstydem. – Ale się nasłucham, nie ma co, zasłużyłem...

Z nabożeństwem otwiera wstępną notatkę objaśniającą cele wydawnictwa: „Rozpoczęte przed powstaniem, w ciągu powstania ukończone, teraz dopiero wydanie niniejsze na widok publiczny wychodzi. Są to zebrane razem i na żądanie niektórych obywateli krajowych po raz wtóry ogłoszone,

158

główniejsze artykuły pisma »Wiadomości Polskie«, które od roku 1857 aż do miesiąca lutego w 1861 roku wydawane było w Paryżu.

Byłoby to zbytnim uproszczeniem takiemu przedrukowi dawać nazwę »Roczników«... Zbiór ten w każdym razie przedstawia, wprawdzie nie wykończony, ale dość wierny, obraz kilkuletnich cierpień, prac i nadziei narodu; obraz codziennej epoki nieco odległej, tak rozważnie zaczętej a tak srodze przerwanej i który, u późniejszego widza, może na tym większą zasłużyć ufność, im wcześniej dawał przeczuwać grożące niebezpieczeństwa i do ich powstrzymania upominał.

Wszakże, nie samo tylko dostarczenie historycznego materiału ma na celu przedruk niniejszy.

Mimo zmienione tak znacznie położenie, nie zmieniły się przecież ani zadania, ani obowiązki nasze, a w niejednym razie nawet i środki służenia. Co było prawdą kilka lat temu, to i dziś jeszcze może być prawdą, choć niezawodnie trudniejszą do urzeczywistnienia. Niejedna myśl lub spostrzeżenia, które nasuwały się w ciągu prac minionych, mogą i teraz znaleźć swe zastosowanie, jeśli nie wszędzie, to w tych prowincjach, na które ciężar mozolnego dźwigania sprawy głównie zdaje się spadać w chwili obecnej.

Lecz gdy tyle, w ostatniej burzy, rozwiało się marzeń i rwących nadziei, miałyby tylko ta czteroletnia praca tułacza od złudzeń być wolna? Nie, zaprawdę!

A ostrzegać zbyt mocno, w czym zająć musiała zmiana widzenia. Doświadczenie przekonało raz jeszcze, że wiara w potęgę świata może być omylna; że mimo najpomyślniej szych pozornie okoliczności na zewnątrz, naród uciemiężony do wewnętrznych jedynie sił i zasobów winien stosować swoje zamysły i objawy; że w końcu z dzieł ludzkich te tylko mają warunki trwałości, te oprzeć się mogą gwałtownym podmuchom, którym do wzrostu i dojrzewania wewnętrzne, rodzime ciepło wystarcza...

W marcu 1865 roku."

159

16

– Kolacja w kuchni – zawołała ze swego pokoju ciotka Zuzanna. – Położyłam się, bo jestem trochę przeziębiona. Przygrzej herbatę.

Broniś krążył niespokojnie między swoim kącikiem a kuchnią. Drzwi pokoju ciotki były otwarte.

– Może cioci co podać?

– Nie. Kładź się, jutro wcześniej wstajesz.

– Czy ciocia już będzie spać?

– Jeszcze chwilę poczytam. No wejdz, czego tak sterczysz przed drzwiami?

– Znalazła się.

– Co się znalazło?

– Sygnatura 35 172.

– Drugi egzemplarz „Roczników”? – W głosie ciotki nie ma cienia zainteresowania.

– Tak, ale brak czwartego tomu.

– Gdzie była?

– U panny Michałowskiej. Zabrałem. To egzemplarz dziada... Tylko nie ma czwartego tomu.

– To już chyba bez znaczenia... I tak ci na tym nie zależy.

– Ależ ciociu...

– Po co trwonić czas na próżno? Wakacje ważniejsze... Porozumiałeś się z Andrzejem?

– Do diabła, co mnie obchodzi Andrzej?

– Ach tak? Niedawno bardzo cię obchodził. Sam mówiłeś....

– Mówiłem różne głupstwa; byłem idiotą.

– Idiotą?

– Zniechęciłem się...

– Do czego?

160

– Straciłem nadzieję odnalezienia skarbu...

– Wielka nowina!

– Ciocia miała mi za złe...

– Ja? Wcale nie.

– Jeszcze się ciocia gniewa...

– Dziad Aleksander był stuprocentowym mężczyzną.

– Tak, wiem, a ja...

– Zewnętrznie jesteś do niego uderzająco podobny.

– Tylko zewnętrznie...

– Dziad był bohaterem.

– Jestem tchórzem, babą i wszystkim co najgorsze...

– Czy baba to coś aż tak złego?

– Durniem, osłem, kretyńcem, mazgajem.

– Przyszedłeś więc do Canossy?

– W worku pokutnym, z głową posypaną popiołem i z pustą pochwą od miecza u szyi.

Ale na próżno wołam „Miserere”.

– Nie na próżno. Pokaż ten egzemplarz. Broniś siadł na brzegu tapczana.

– Brak czwartego tomu. W trzech pierwszych nie ma nic oprócz notatki, o tu, w drugim tomie, na stronie 167, widzi ciocia? Tom czwarty: „Życie publiczne w Wielkopolsce”. I to wszystko. Przekartkowałem każdy wolumen i nic innego nie znalazłem. Ale to ostateczna wskazówka. Tom czwarty...

- Trzeba go odnaleźć.
- A jeśli już Klara?...
- Chyba nie. Zresztą zorientujesz się...
- Teraz choruje, nie przychodzi do Biblioteki.
- Szukaj.
- Ale gdzie?
- Wszędzie. Wśród innych batignoli. Widocznie stoi osobno, może skatalogowany inaczej.
- Niemożliwe.
- Przeszukaj półka po półce, regał po regale. Nie ma in-

161

nego wyjścia. Ona robi to samo, zobaczysz... Sęk w tym, abys ją wyprzedził.

- Ale ja muszę pracować, nie mogę cały dzień przeszukiwać półek.
- To teraz ważniejsze. Cały dzień i tak nie mógłbyś szukać bez zwrócenia uwagi, a tego należy unikać. W każdym razie to musi być celem twego przebywania w Bibliotece. Nie mniej skrupułów, nie szukasz skarbu dla siebie.

•

Półka po półce, regał po regale.

Łatwo to powiedzieć, ale gdy się stanie w starym magazynie i obejmie spojrzeniem piętrzące się dokoła książki, można dostać zawrotu głowy, tak ich wiele. Od podłogi po sufit, bardzo wysoki sufit. I jak tu nie wzbudzić podejrzeń magazyniera?

Najłatwiej na galeryjce, tam zresztą niewiele już pozostało do przejrzania. Kilka dni wystarczy.

Galeryjka jednak zabrała tydzień. Musiał przecież coś robić, przewieźć partię książek do katalogowania, posiedzieć w kącie za szafami, przynajmniej dla zachowania pozorów.

No i wróciła panna Michałowska. Pierwszego dnia, gdy zjawiła się w magazynie, zdecydowanym krokiem weszła na schody galeryjki.

Broniś siedział na podłodze przed najniższymi półkami. Stały tam co prawda czwórki i dwójki, a więc książki największego formatu, ale mały tomik „Roczników” mógł się i tam zawieruszyć. Należało przeszukać wszystkie kąty.

- Zabrał pan z mojej półki cztery książki – powiedziała bez wstępu.
- Trzy. Zabrałem, bo to batignole, których szukałem dość długo i bezskutecznie. Sylwester nie ma na nie rewersu.

- Cztery. – Panna Klara ruszyła w stronę półki, gdzie

162

winne były znajdować się odnalezione trzy tomy „Roczników”.

- Tam ich nie ma. Książki tak ciasno ustawione, że ani szpilki nie dałoby się zmieścić.

Panna Michałowska zatrzymała się w połowie drogi i wolno obróciła zagniewaną twarz.

- Czy to pani poleciła tak zsunąć książki na tej półce?
 - Gdzie „Roczniki polskie”?
 - U mnie. – Broniś wstał. – To książki mego dziada. Gdzie czwarty tom?
 - To książki Biblioteki Narodowej i tu ich miejsce.
 - Gdzie czwarty tom?
 - Skąd mogę wiedzieć? Pan zabrał książki z mego pokoju. Ponadto pan zajmuje się batignolami.
 - Na pani półce były tylko te trzy tomy.
 - Powinny być cztery.
 - Jeśli zabrała pani tom czwarty...
 - Niczego nie zabierałam. Gdy coś jest mi potrzebne, wypożyczam na rewers.
 - Ale na sygnaturę 35172, choć stała na pani półce, nie było rewersu w magazynie.
- Wzruszyła pogardliwie ramionami.
- Musiał być. Widocznie źle pan szukał.
 - Szukał Sylwester. On zaświadczy. Ironiczny uśmiech.
 - Zaświadczy?...
 - Więc może da mi pani tom czwarty?
 - Nic panu nie dam. Jest drugi egzemplarz, proszę go sobie obejrzeć.
 - Drugi egzemplarz nie jest sygnaturą 35 172.
 - Identyczny. Do skatalogowania wystarczy.

- Nie chodzi tylko o skatalogowanie.
- Aha, więc nie chodzi o skatalogowanie. A o cóż chodzi?

163

Broniś zaczynał już tracić cierpliwość.

- Pani szuka zaczepki.

Nie odpowiedziała i zwróciła się ku półce, gdzie stał drugi egzemplarz.

- O, nie ma i drugiego egzemplarza – zawołała po chwili.
- Jest w opracowaniu.
- W takim razie to panu najzupełniej wystarczy. Proszę zwrócić moje cztery tomy „Roczników”.
- Nie odpowiedziała pani, gdzie jest tom czwarty?
- Tom czwarty? U pana. Chciałabym też wiedzieć, skąd to nagle zainteresowanie „Rocznikami”?
- Interesują mnie wszystkie batignole.
- Wobec tego ma pan ich tu pod dostatkiem. – Uczyniła okrągły ruch ręką. – Moje nie są panu potrzebne.
- Na kartce katalogowej są zaznaczone cztery tomy. – Broniś udał, że nie dostrzega drwiny. – A więc czwarty tom musi gdzieś być.
- Na pewno. Razem z trzema pierwszymi u pana. Panie Janku – przechyliła się przez poręcz do wchodzącego Sylwestra – czy przygotował pan sygnatury, o które prosiłam?

Zbiegła na dół, nie spojrzawszy na Bronisia.

- Żmija – mruknął wściekły. – Podła żmija. Rozmowa z Klarą nic nie dała. Nadal nie wiedział, czy

warto prowadzić dalej poszukiwania, czy też tom czwarty znajduje się w jej posiadaniu i wszelkie wysiłki odzyskania go są bezcelowe.

Gdy ukończył przeglądanie książek na galeryjce, przeniósł się na dół, do regałów ustawionych pod ścianami starego magazynu. Należało działać ostrożnie, tym bardziej że i Sylwester najwyraźniej szukał, a i panna Michałowska spędzała najmniej godzinę dziennie przy półkach. To dodawało mu otuchy. Dzielił dzień na poszukiwania, wybieranie batignoli

164

do opracowania oraz skatalogowanie w kącie za szafami. A wszystko tak, by nie budzić podejrzeń.

Raz, gdy pracowali w milczeniu, każdy zajęty tym samym celem, Sylwester na podniebnych szlakach magazynu, na szczycie najwyższej drabiny, a Broniś przy dolnych regałach, na podłodze, z rąk magazyniera, przeglądającego kilka niewielkich tomików, wypadła książka i odbiwszy się o środkowy regał, fiknęła kilka razy kozła, zanim z rozpostartą jak skrzydła okładką dotknęła podłogi, rozsypując dokoła ciemny, szary kurz.

- Zaraz podniosę – zawołał Broniś i pospieszył na ratunek rozbitkowi. Książka leżała, jak spadła, otwarta mnie więcej w połowie, bardzo zakurzona, jak wszystkie tomy na najwyższych półkach – sprzątaczkę, niestety, nie miały łatwego dostępu w tak górne rejony! Broniś schylił się, mimo woli zaciekawiony, i pomyślał, jak to byłoby wspaniale, gdyby tym spadłym z nieba woluminem okazały się poszukiwane „Roczniki polskie”. Niestety – książka, pisana po francusku, była zbiorem poezji Lamartine'a, a otworzyła się na pięknym wierszu „Jezioro”, którego kiedyś ciotka Zuzanna, doksztalająca go od dziecka we francuskim, kazała mu nauczyć się na pamięć.

Magazynier wyciągał dalsze książki, opędzając się od tumanu pyłu, który wdzierał mu się do oczu, ust i nosa, a w następnej chwili rozległo się na górze potężne kichnięcie i w tym momencie Sylwester, ukazawszy umączoną kurzem twarz, upuścił trzy słabo oprawne tomiki, które rozsypały się zlatując z takiej wysokości. Broniś znowu pośpieszył na ratunek z tomem Lamartine'a w rękę. Zbierając luźne kartki, na jednej dostrzegł pismo dziada Aleksandra. Sylwester kręcił się na skrzypiącej drabinie.

- Niech pan nie schodzi, pozbieram – krzyknął Broniś, składając porozrywane stronicę.

165

Nie można było się pomylić. Jedna z książek to jakiś ekonomiczny traktat po angielsku z 1818 roku. Za to druga

- bezcenna, bo opatrzona notatkami dziada. Broniś nie miał czasu porządkować kartek, złożył je tylko, nie dbając o numerację, i wszystko wpakował do przepastnej kieszeni kitla. Pozostałe tomy podniósł wysoko.

– Już pozbierałem – zadarł głowę – kartki poukładane, może pan wstawić na miejsce.

Wspiął się na kilka szczebli podwójnej drabiny. Sylwester opuścił się i wyciągnął rękę.

– Dziękuję – burknął mrugając zapyłonymi oczami.

– Niech to wszyscy diabli...

Broniś otrzepał ręce poznaczone ciemnymi smugami kurzu. Prędko za szafy, zapoznać się z treścią dziadowego pisma!

Niestety! Tego dnia nie było spokoju pod popiersiem założyciela Biblioteki.

Zakurzony i roztrzęsiony tomik powędrował do teczki.

Dopiero po obiedzie, jak dawniej, przyszła pora na zapoznanie się z listem z za grobu. Zniszczona książka okazała się zbiorem kazań księdza Skargi, widać często czytanych, o pożółkłych i wystrzępionych brzegach. Dziad Aleksander zapisał jak zwykle gęsto marginesy około dziesięciu kart. Broniś, z lupą w rękę; zabrał się do odczytywania tragicznej relacji, jak wynikało z daty, pisanej w przeddzień tajemniczej śmierci autora.

Już wiem, Zygmsiu, z czyjej zginę ręki. Widziałem go, to on, Barno. Nic nie zostało mi oszczędzone, nawet śmierć zdradziecka zadana przez przyjaciela-skrytobójcę. Ale i ten kielich należy wychylić do dna... Tak mi widocznie sądzono.

Głupi byłem, głupi i zaślepiony. Przez tyle lat. Te poprzednie wypadki powinny być już dawno otworzyć mi oczy...

Jak zřęcznie udawał, jak znakomitym jest aktorem! Od kie-

166

dy to się zaczęło? Czy już w dzieciństwie? Niemożliwe. Dzieci nie potrafią kłamać tak wytrwale i konsekwentnie.

Czyż wszystko zaczęło się od owej nocy w klasztorze? Wielki Boże! Czyha na moje życie! Czy już wówczas obudziła się w nim chciwość? Nie miał więc dla mnie nic prócz nienawiści? Któż odpowie na te pytania?

Byłem przeszkodą, stałem między nim a bogactwem. Tyle lat grał komedię, cóż za hipokryzja. A ja wierzyłem.

Czy jednak naprawdę byłem tak łatwowierny? Chyba ostatnio nie. Nie byliśmy już tak jak dawniej. Teraz wszystko rozumiem, jego zachowanie, spojrzenia, słowa; zdaje mi się nawet, że czytam w jego myślach. Mroczne to musiały być myśli, mroczne jak jego oczy. Jak on na mnie patrzył! Dreszcz mnie przenika, gdy wspomnę...

Straszne to jednak. Pozostaliśmy my dwaj, dwaj z naszych stron rodzinnych, wygnańcy, niedobitki wielkiej armii, szczątki rozbitego okrętu, rzucone burzą na obcy ład. I cóż? Jakże utrzymaliśmy łączące nas więzy? Kain, odwieczne dzieje Kaina i Abła. Czy to po raz pierwszy? Jak świat światem, iluż Kainów czaiło się, mierzając bratobójczą ręką w plecy niewinnego? Ale on, Barno...

Nie wstydzę się płakać. Tak, Zygmsiu, gdy piszę, łzy kapia na papier. Ale nie wstydzę mi tych łez. Odkąd wiem, nie chcę już żyć. Jak uściskałbym jego dłoń, jak spojrzał w oczy? On przywykł do udawania, aleja? Tego przeżyć nie mogę, to ostatnie doświadczenie, ostatnie i najbardziej bolesne, ma gorzyc piołunu. Boję się tylko o ciebie. On zdolny do wszystkiego, teraz już wiem. Dziś jeszcze odeślę tę książkę Izydorczykowi. Mógłbym co prawda zaraz wyjawić ci wszystko, wskazać zabójcę. Ale tego nie zrobię, zostawię mu szansę ocalenia. A nuż, po czasie, zbudzi się w nim sumienie? Syn takich rodziców, z domu wziął co najlepsze. Może pożałuje i poprawi się, odpokutuje zły czyn.

167

Jestem to winien jeśli nie jemu, to jego rodzicom, co traktowali mnie jak syna, nazwisku, które nosi, zmarłym na dalekim cmentarzu. Niech widzi go tylko Bóg i Bóg niech go sędzi, nie ludzie.

Ty, synu, myśl o skarbie, odszukaj go i oddaj we właściwe ręce. Niech służy sprawie, gdyż dla sprawy ofiarowano te cenne rodzinne pamiątki, przechowywane nieraz od pokoleń.

Jest tam pierścionek mego ojca, klejnot pozostający od dawna w naszym rodzie. Poznasz go z łatwością: wielki brylant, niezwykle czystej wody, w masywnym złocie, oprawa jak w sygnetach. Ojciec nosił go zawsze na małym palcu lewej ręki.

Wewnątrz obrączki wyryty łaciński napis, słabo już czytelny, bo zatarty czasem i zużyciem: „Amor et Virtus” – Miłość i Męstwo. Widzę jak dziś ojca, gdy zdjął z palca ten pierścień i rzucił do zgrzebnej torby powstańczego skarbnika. Pamiętam

wyraz jego twarzy i słyszę słowa, jakie wówczas wypowiedział: „Przyczyn się do zwycięstwa lub zgiń, ale nie ozdabiaj wrogiej ręki.”
Musi spełnić się to życzenie, dlatego, Zygmusiu, weź go i noś, a kiedyś przekaż synowi. Przedtem jednak trzeba wykupić ten klejnot. Oszacuj więc kamień i zwróć należną zań sumę. W ten sposób spełni swój obowiązek i będzie służył zwycięstwu. Dziś rano pojednałem się z Bogiem i choć jestem zupełnie zdrow, czekam spokojnie śmierci.

A teraz, synu, gdy książka ta wróci do Twych rąk, chcę, byś się dowiedział, jak poznałem prawdę. Śmierć przyjdzie z okien z naprzeciwka, z nie zajętego mieszkania, które stoi puste od czasu krwawej tragedii, jaka tam się rozegrała, będzie jakiś rok temu. Zdradzony mąż zabił żonę, przyjaciela i siebie. Odtąd nikt nie chce wynająć tych pokoi. Mówił mi stróż, że konsierż z naprzeciwka skarżył się nieraz na brak lokatora. Podobno właściciel obniżył nawet komorne. Od tygodnia jednak widuję tam kogoś, cień jakiś przesuwają się za zamkniętymi żaluzjami. Z początku nie zwróciłem żadnej

168

uwagi na tajemniczą obecność w nie zajęтым mieszkaniu. Wiedziałem, że ktoś przebywa w pokoju, położonym przed oknami mego gabinetu. Raz odchyłono okiennicy,

ujrzałem w szparze rękę... Nie były to jednak fakty niepokojące, ot, dozorca przewietrzył mieszkanie, obejrzał, czy w porządku... Nie miałem więc po co zaprzętać sobie głowy. Dopiero wczoraj.

Znasz oczy Borna, wiesz, jak rzadkiej są piękności: u mężczyzny raczej zadziwiają... Z wiekiem nie utraciły ani wielkości, ani blasku.

Otóż wczoraj w szparze okiennicy, na wysokości głowy ludzkiej, zabłysło coś jakby oczy, ogromne i mroczne. Było południe, jasny dzień słoneczny i nagle ten błysk.

W tej samej chwili poczułem jego wzrok na sobie, a tak wyraźnie i namacalnie zaciążyło na mnie to wrogie spojrzenie, że podniosłem głowę – siedziałem wówczas przy biurku – i spojrzałem prosto w przeciwległe okno, skąd promieniował zły czar z duszy złego człowieka.

Zwarliśmy się oczami, zajrzeliśmy sobie głęboko w serca. Poznałem go i on zrozumiał, że wiem, że przeczuwam. Ileż w tych oczach było nienawiści, ile pychy,

ile szatańskiego tryumfu! Był zwycięzcą.

Długo tak patrzyliśmy sobie w oczy, nie mogąc przerwać magnetycznego prądu, jaki przebiegał, zdałoby się, między naszymi źrenicami. On pierwszy odsunął się od szpary w żaluzji, gasząc płomienne oczodoły. Słońce nadal świeciło, ale dla mnie świat wyglądał jak przysypany popiołem. To był koniec, wiedziałem. Tym razem Barno będzie działał sam, nie uzbroi przeciwko mnie cudzej, nieudolnej ręki. Należało więc przygotować się. Teraz cios nie chybi celu.

Ciężko mi bardzo, tak ciężko, że dalsze życie nie jest możliwe z tym ciężarem.

Nie żałuję niczego, Zygmusiu, żal mi tylko tak nagle rozstawać się z tobą.

Raz jeszcze zaklinam, bądź ostrożny, gdyż przeciwnik silny i zdecydowany walczyć do ostatka.

169

Więcej pisać nie będę.

Błogosławię Cię, mój synu, i Bożej polecam opiece, Ciebie i dzieło Twoje.

Ojciec

17

Na biurku Bronisia leży czwarty tom „Roczników polskich” ten nieważny, niepotrzebny, odnaleziony bez trudu, prawie wciśnięty do ręki z inicjatywy panny Klary, za pośrednictwem Sylwestra.

Broniś z uwagą obraca pogardzany egzemplarz na wszystkie strony. Karta tytułowa jak w pierwszym tomie, z zaznaczeniem, że tom czwarty obejmuje lata 1860–1861, ogółem stron 502.

W spisie treści, zgodnie ze wskazówkami dziada, rozdział zatytułowany „Życie publiczne w Wielkopolsce”. Tak, na stronie 337. Więc to tu, tu znajduje się kartka przeora... Broniś wie, że gdy właściwy egzemplarz wpadnie mu w ręce, trafi na to samo miejsce z zawiązanymi oczami.

Wpatruje się w literę tytułu. Strona 337. Trzyma rękę być może tam, gdzie w identycznym egzemplarzu zamknięty klucz do ukrytego skarbu. Jak to będzie, gdy znajdzie ten potrzebny, poszukiwany tom? Czy dziad wkleił kartkę, czy przepisał na szerokim górnym marginesie treść tajemniczej wskazówki przeora? Jak?

Broniś zamyka oczy i wodzi palcami po rozłożonej książce, wyczuwa fakturę żółkłego papieru, wdycha nikłą woń kurzu, którym nasiąkły przez tyle lat kruche kartki.

Tu, gdzieś tu musi być cel... Ale jak odnaleźć? A może w ogóle tego tomu nie ma w Bibliotece? Wiele przecież spotyka się dzieł zdekompletowanych... Była wojna, pożar Bi-

170

lioteki, ocalałe książki przerzucano z miejsca na miejsce... Kto zaręczy, że ten egzemplarz „Roczników” pozostał w całości?

Ale Klara ma nadzieję, nie opuszcza rąk, szuka... Posłuszny Sylwester szuka z jej rozkazu... Czy można jednak przetrząsnąć kilka kilometrów półek? Czy znalazł kto igłę w stogu siana? Przerzucić przeszło milion tomów to nadludzkie zadanie. Więc da się pokonać tej babie? Przerwie poszukiwania i niech licho weźmie te stare gryzmoły. Ale kartka przeora... Dziad Aleksander stracił przez nią życie. Zresztą co powie ciotka Zuzanna?

– Uważam, Bronisiu, że nie masz prawa cofać się, zbyt daleko zaszedłeś.

Przypadek skierował cię do Biblioteki Narodowej, rzucił pod nogi książkę z autografem pradziadka, wskrzesił dawne dzieje. Po co? Widocznie był w tym jakiś cel wyższy, którego z początku ani ty, ani ja nie przeczuwaliśmy nawet. Teraz wiemy, że chodziło o powstańczy skarb narodowy, uratowany kosztem życia.

Powierzono ci wielkie zadanie, tobie, potomkowi tamtego bohatera. Czyż nie rozumiesz wymowy tego faktu? Dziwnego zbiegu okoliczności? Klara to oszustka, niedobre ma zamiary, a ponieważ słuszność po twojej stronie, ty zwyciężysz! Oto słowa, jakie usłyszał w odpowiedzi na wysuwane przez siebie obiekcje. Ciotka święcie wierzy w możliwość odnalezienia skarbu i uważa, że należy włożyć maksimum wysiłku w to przedsięwzięcie. Bronisiowi chwilami opadają ręce, przytłacza go ogrom zadania. Ciotka nie była w bibliotecznym magazynie, nie widziała, ile tam nagromadzono książek. Od podłogi po sufit!

Czwarty tom... Już wie, jak wygląda ta niewielka, pękata książeczka. Pozna ją wśród tysiąca, rozróżni czcionkę, jaką użyto do jej drukowania. Zaraz, tu na końcu, w środku strony, krótki tekst: „Zamknięcie pisma”.

Oto bolesna rzeczywistość ówczesnej epoki. Podzwonne

171

„Wiadomościom Polskim”, które dostarczały materiału „Rocznikom”.

„2 lutego 1861

Zakaz rządu pruskiego, ogłoszony w urzędowej gazecie z dnia 5 stycznia, zamyka pismu naszemu wszelki przystęp do polskiej ziemi. Z «ministrem pruskiego państwa walczyć nam niepodobna: rozporządzenia jego ani zmienić, ani obejść nie możemy. I dlatego z dniem dzisiejszym «Wiadomości Polskie» przestają wychodzić.” Taki więc był koniec „Roczników”, dlatego tylko cztery tomy ukazały się w Paryżu.

Potem przyszło powstanie i dziad Mączyński wraz z wielu sobie podobnymi znalazł się na wygnaniu...

A skarb czeka...

*

– Nie zdążę, trzeba by lat, by przeszukać magazyny, a kto wie, może nawet księgozbiory podręczne innych działów. Beznadziejna sprawa. – Broniś odsunął talerz i oparł łokcie na stole.

– Sprawa nie beznadziejna, lecz trudna, bardzo trudna. – Ciotka Zuzanna wytarła usta papierową serwetką. – Co myślisz robić?

– Jest tylko jedno wyjście: gdybym mógł zostawać wieczorami w Bibliotece i swobodnie poruszać się po magazynie.

– To chyba niewykonalne.

– Dlaczego? Obawiam się, że Klara nie ogranicza się do codziennej godzinnej bytności w magazynie. Przecież wiemy, że ma podrobiony klucz.

– Tak przynajmniej przypuszczamy.

– To fakt. Każdej chwili może się jej poszczęścić, a my nawet nie będziemy wiedzieli...

– Bądź spokojny, dowiesz się od razu.

172

– W jaki sposób? Przecież nie przyjdzie pochwalić się zdobyczą.

– Nie, ale przestanie pracować. Jeśli to wszystko prawda, jeśli jest rzeczywiście prawnuczka starego Barnaby i jak ty szuka kartki przeora, to

znalazłszy czwarty tom „Roczników” zniknie z Biblioteki.

Broniś głośno odsunął krzesło i wstał.

– W takim razie nie mogę jej spuścić z oka – powiedział stanowczo. – Gdyby odeszła, szukaj wiatru w polu, wszystko stracone.

– Jakież więc masz plany?

– Sam nie wiem. Powinienem więcej czasu poświęcić poszukiwaniom, a na to jedna jest tylko rada.

– Mianowicie?

– Mieć noc do dyspozycji, jeśli naturalnie ta żmija pozwoli.

– Cóż ona ma do gadania?

– No, przecież sama szuka...

– Ale nie w nocy?

– A kiedy?

– Może po południu...

– Po południu, po pracy, wieczorem. Nie wiem, ale słyszałem raz, jak jedna z dziewcząt z Katalogu mówiła, że na dyżurze widziała ją w Bibliotece i panna Michałowska powiedziała jej, że przyszła popracować w spokoju, że dokonała nowego odkrycia wśród rękopisów... Wszystkie baby potem wariowały, jaki to z niej genialny „naukowiec” i wsadzały szpilki pod moim adresem. Żeby wiedziały...

– Chciałbyś więc spędzić noc w Bibliotece?

– To konieczne. Bez tego nic nie wskóramy. Czy ciocia chce, by ta żmija zdmuchnęła nam sprzed nosa kartkę przeora? Nigdy na to nie pozwolę!

– Ale jak to zrobisz? Czy nikt w nocy nie pilnuje Biblioteki?

173

– Pilnuje. O dziesiątej, gdy kończy się wieczorny dyżur, jeden z magazynierów zostaje na noc na dole, w portierni.

– Musi chyba obejść Bibliotekę, przecież w razie pożaru...

– W magazynach są zainstalowane ultranowoczesne urządzenia przeciwpożarowe. W razie czego ogień nie roz-przeździ się, a natychmiast zostanie stłumiony.

– I tak muszą niezmiernie uważać, jakiś zbrodniarz mógłby na przykład podpalić... każdy ma wstęp do Biblioteki... O nieszczęście nietrudno.

– Na ogół czytelników się pilnuje. Palić nie wolno ani w czytelni, ani w Katalogu...

– Czy Sylwester miewa nocne dyżury?

– Nie, on jest sam jeden w starym magazynie, potrzebny za dnia, magazyn co dzień musi być otwarty, a magazynier po nocnym dyżurze ma wolny dzień...

– To chyba upraszcza sprawę. Prawda? Jak byś to wykonał?

– Co? Jak spędziłbym noc w magazynie?

– No tak. Jak byś się tam dostał?

– Może nie od razu mi się powiedzie. Musiałbym zostać, ukryć się między regałami i o trzeciej dać się zamknąć. Potem, do następnego ranka hulaj dusza! Po trzeciej nie wydaje się książek ze starego magazynu, gdyż nie ma tam innego magazyniera oprócz Sylwestra. Miałbym więc siedemnaście godzin do całkowitej dyspozycji, a to już coś znaczy.

– Siedemnaście godzin!...

– No tak, od trzeciej po południu do ósmej rano następnego dnia.

– Musisz jednak wyspać się...

– E, co tam, raz mogę nie spać, czy to takie ważne? Wałówkę ciocia da odpowiednią... to wystarczy.

– Ukryłbyś się więc na galeryjce?

– Na galeryjce albo lepiej na dole, między regałami.

174

Sylwester wychodzi punktualnie o trzeciej i zawsze się spieszy.

– A jeśli cię zauważy?

– Postaram się, by mnie nie widział. A jeżeli zobaczy, no to powiem, że zapomniałem czegoś sprawdzić czy coś w tym rodzaju. Gdy mnie odkryje, naturalnie cały plan weźmie w łeb i trzeba będzie podobny manewr nazajutrz powtórzyć.

– Trochę mnie niepokoi...

– Co, ciociu?

– Sylwester. Jeśli i on zostaje z Klarą albo potem z nią przychodzi?...

– Niemożliwe. Nie wtajemniczyła go przecież tak dalece. Jeśli szuka poza godzinami pracy, to sama, bez jego wiedzy. Ja jeden wiem o podrobionym kluczu.

– No, a jak byś wyszedł?

– Z tym byłoby trochę gorzej. Musiałbym się znowu ukryć i czatować na okazję.

Szczęściem Sylwester nie zamyka drzwi magazynu na klucz, gdy wychodzi do toalety.

Spóźniłbym się najwyżej do pracy, ale to drobiazg, raz mogę sobie na to pozwolić.

Zafrasowana ciotka kręciła głową.

– Kiedy więc spróbujesz? – spytała po chwili.

– Choćby jutro, jeśli ciocia przygotowuje dobrą paczkę żywnościową.

– Paczka może być w każdej chwili, tylko czy ci się uda...

– Trzeba spróbować. A więc jutro. Nazajutrz wszystko poszło jak z płatka.

Broniś zjawił się w magazynie o wpół do trzeciej i ukrył na galeryjce drugą porcję śniadania. Sylwester niczego nie zauważył. Początek czerwca był tak piękny, że nikt nie nosił płaszcza, wobec tego odpadała troska, gdzie schować okrycie, którego obecność w Bibliotece po godzinach pracy mogłaby zdradzić plany Bronisia.

175

Za pięć trzecia Sylwester zrzucił kitel.

– Idę myć ręce – zawołał zadzierając głowę ku galeryjce – a potem zamykam. Czy ma pan tu jeszcze dużo roboty?

– Nie – odkrzyknął Broniś – już wychodzę. Gdy drzwi zamknęły się za magazynierem, zbiegł ze

schodów i wcisnął się między wysokie regały w najodleglejszym od drzwi kącie magazynu. Na wszelki wypadek zdjął z półki pierwszy lepszy tom udając, że jest bardzo zajęty lekturą. Sylwester wrócił pogwizdując. Poszedł do swego stołu, zamknął na klucz obie szuflady, poszperał w jednej z kartotek i wreszcie skierował się do wyjścia.

– Czy nie ma nikogo? – zawołał z ręką na klamce.

Ponieważ odpowiedziała cisza, zgasił światło.

Broniś został w zupełnych ciemnościach, odcięty od świata obitymi blachą drzwiami. Stał tak dłuższą chwilę. Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy, dokoła absolutna, dzwoniąca w uszach cisza. Cisza i ciemność.

Wreszcie powoli ruszył w stronę stołu magazyniera, gdzie był kontakt oraz stojąca lampa. Po chwili znowu było jasno i wszystko przybrało zwykły wygląd. W starym magazynie nic się bowiem nie zmieniało, świat zewnętrzny nie miał wpływu na obstawione półkami ściany, nic tu nie wskazywało pór roku i czy na dworze był czerwiec, czy listopad, jednakowo paliły się u sufitu silne żarówki i tak samo pachniało kurzem pokrywającym rzędy regałów.

Broniś rozejrzał się po wielkiej sali jak wódz po terenie mającej się odbyć walki.

– Zacznę od ścian – mruknął podchodząc do najbliższego regału.

Żmudna to była praca, żmudna i męcząca: wyjmował po kilka książek, sprawdzając każdą, której format zbliżony był do „Roczników”. Zaglądał do karty tytułowej, obmacywał półki, szukając ukrytego czy przewróconego tomu. Brodził palcami w miękkim kurzu. Wszystko nadaremnie. Godziny

176

plynęły tak szybko, że ani się spostrzegł, jak zegarek oznajmił szóstą. Zrobił bardzo mało, a czuł się już zmęczony.

Wytarł zakurzone ręce i wrócił na galeryjkę po jedzenie. Od kurzu zaschło w gardle i męczyło nieznośne pragnienie. Przezorna ciotka przewidziała jednak tę okoliczność, gdyż w torebce znalazł trzy pomidory.

W pewnej chwili wydało mu się, że coś chrobocze przy zamku. Błyskawicznie sięgnął do kontaktu nad głową. W głuchoj ciszy, owinięty w ciemność, nasłuchując połykał ostatnie kęsy. Szmer jednak nie powtórzył się.

Przywidziało mi się – pomyślał, nie zapalał jednak światła, gotów każdej chwili do ucieczki.

Prawdę mówiąc galeryjka nie dawała żadnego schronienia. Jeśli ktoś wejdzie i przekręci kontakt na prawo od drzwi, salę zaleje światło i galeryjka otoczona ażurową balustradą zdradzi obecność każdego. Omackiem dotarł do schodów i przycisnął się za najbliższym regałem.

Minęło tak może dziesięć minut, może więcej, trudno określić chwile upływające wśród kompletnej ciszy i ciemności. Obijając się o półki, wyładował szczęśliwie przy stole magazyniera, który był głównym punktem strategicznym pozycji. Tu nareszcie była lampa. A więc fałszywy alarm? Nikt z korytarza nie mógłby dostrzec światła w magazynie, otwór zamka kryła bowiem od wewnątrz metalowa płytką.

Uspokojony wrócił do przerwanej roboty.

I znowu płynęły godziny, a ciszę mącił tylko szelest kartek lub stukot spadającej książki.

– Warto by coś przekąsić, choć szkoda cennego czasu, którego i tak już niewiele.

Godziny jakieś krótsze niż za dnia. A tak mało przejrzał książek!

Broniś z rozpaczą obejmuje wzrokiem wysokie regały, pnące się ku wyniosłemu sufitowi.

– Co to? Już dziesiąta? Nareszcie. Teraz będzie można pracować w zupełnym spokoju, nie bojąc się niepożądanego wi-

12–Cień dłuższego.

177

zyty! Żaden intruz nie wtargnie do odciętej od świata sali. Co do tego nie ma obawy. O dziesiątej zamykają Bibliotekę, wychodzą czytelnicy i personel. Zostaje tylko dyżurny na dole w portierni, z telefonem pod ręką i z bronią. To jasne, że musi być uzbrojony, pilnuje przecież największej w Polsce Biblioteki, a czymże przy niej najbogatsze nawet banki!

Broniś oddycha głęboko, otrzepuje chusteczką kurz z twarzy i właśnie wtedy słyszy wyraźnie stukot klucza o metalową płytkę zamka. Na szczęście stół magazyniera z kontaktem niedaleko; wskakuje między najciaśniej ustawione regały i zamiera w bezruchu, wyęzając słuch.

Drzwi otwierają się z dobrze znanym szmerem obijającej je blachy. Ktoś wchodzi i zanim zapala światło, przekręca klucz w zamku. Dopiero potem sięga do kontaktu.

I znowu jasno, jarzą się wszystkie żarówki pod sufitem, magazyn oświetlony a giorno. Zdaje się, można dostrzec każdy atom kurzu, osiadły na skórzanych grzebiętach książek. Regały piętrzą się het, chyba aż pod niebo. Trzeba wysoko zadrzeć głowę, by dojrzeć szczyty najwyższych półek.

Na zawsze pięknie wyfroterowanej parkietowej posadzce zastukały wysokie obcasy. Broniś czeka.

Kroki zbliżają się do stołu magazyniera.

W wąskim wylocie książkowego wawozu zarysowuje się szczupła sylwetka w ciemnozielonym kostiumie. Czarny kok pochyla się nad stołem. Pięknie wymanikiurowane palce stawiają torebkę, obok kładą klucz.

Panna Klara czuje się tu jak u siebie w domu. Widać nie po raz pierwszy składa batignolom wizytę o tak późnej porze. Podchodzi do najbliższego od wejścia środkowego regału, zagląda do wyjętej z torebki kartki – widocznie notuje sprawdzone sygnatury – i zabiera się do równie systematycznego przeglądania książek.

Broniś nie może dłużej czekać, czas jest zbyt drogi, oba-

178

wia się jednak, że przestraszy ją nagłym zjawieniem się na scenie. Zrzuca umyślnie gruby tom, a gdy panna Michałowska zastyga w bezruchu, odzywa się cicho:

– Proszę się nie lękać, to ja, MaCZYński. –* P° czym rusza naprzód.

Nim jednak wy dostał się spomien^y regałów, światło nagle zgasło.

– Po co pani to robi? Przecież i tak ???? widziałem. Jesteśmy tu chyba w tym samym celu dlaczego tracić czas na zabawę w ciuciubabkę?

Gdy światło zabłysło, Klara stała przy stole z kluczem w ręku.

– To znowu pan – ostry głosik przygniatał pogardą. – Proszę iść w stronę drzwi, wypUszczę pana.

– O tej porze nie wyjdę przecież z Biblioteki, zresztą czeka mnie robota w magazynie.

– Ale nie w tym.

– Owszem, właśnie tu.

– Nie możemy zostać razem.

– Rzeczywiście. Młoda panna powinna być teraz u siebie w domu.

– Pan chyba również.

– Ale ja mam tu pilną robotę.

– Ja też.

– Będę nieuprzejmy, ale muszę być sam.

– Ja tym bardziej. Ponadto ja mam klucz-

– To drobiazg bez znaczenia. Ja dostałem się tu bez klu-

cza.

– Jak złodziej.

- O nie, raczej jak mściciel.
- Mściciel?
- Niech się pani nie śmieje, to poważne słowo.
- Nazbyt poważne jak na pana.
- A może choć raz porozmawiamy szczerze?

179

- Co ma mi pan do powiedzenia?
- O, wiele. Pani mnie również.
- Nie, nie, nie mam z panem nic wspólnego.
- Przepraszam, pani się myli.
- Szkoda czasu na takie plecenie. Niechże pan już wyjdzie.
- Dokąd?
- Wszystko jedno, byle zostawił mnie pan w spokoju.
- Miałem więc rację twierdząc, że podrobiła pani klucz.
- Och, po co ta gadanina, nie znoszę przelewania z pustego w próżne. No, wychodzi pan?
- Nie, zostaję. Przyszedłem zresztą pierwszy.
- Głupiec – wybuchnęła – głupiec i gbur. – Po czym odwróciła się plecami. Wkrótce jak gdyby zapomniała o jego obecności, zajęta przy regale. Bronisł wrócił do swoich książek.
- Możemy doskonale pracować razem – powiedział uprzejmie. – Nawet wcale nie wchodzimy sobie w drogę, pani przy środkowym regale, a ja pod ścianami. Mruknęła coś, czego nie dosłyszał.
- Pracowali w zupełnym milczeniu, ignorując zdawałoby się obecność rywala. Po pewnym czasie panna Klara podeszła do stołu i usiadła.
- Jest północ – powiedziała szyderczo. – Nie boi się pan godziny duchów?
- Żyjący chyba straszniejsi? – odparł wesoło.
- Więc boi się pan?
- O tak.
- Czy mnie.
- Pani też. Uśmiechnęła się z wyższością.
- Rozumiem. Mężczyźni często mi to mówią.
- Nic pani nie rozumie. Myślałem o zupełnie innym znaczeniu....

180

- Niech pan się nie tłumaczy.
- Dlaczego pani jest taka zła?
- Gardzę dobrymi, to głupcy.
- Podobna w tym pani do swego pradziadka.
- Cóż pan wie o moim pradziadku?
- Dużo. Wiem przede wszystkim, że był zdrajcą i mordercą, podłym zdrajcą przyjaciela i ojczyzny, i..- skrytobójcą.
- Milcz, głupcze – krzyknęła.
- Nie widzę powodu, aby milczeć. Po takim łajdaku jak Barnaba Michałowski... Panna Klara przyskoczyła z zaciśniętymi pięściami.
- Jak śmiesz? – wymanikiurowana rączka zostawiła czerwony ślad na policzku Bronisia. – I tak nigdy nie zrozumiesz, ty, ty...
- Czyni pani postępy – powiedział z nie ukrywaną pogardą. – Tym razem przynajmniej nie wynajęła pani Sylwestra. Gniew panny Klary opadł równie gwałtownie, jak wybuchnął. Po chwili znowu siedziała przy stole, bawiać się nerwowo kluczem.
- Czego pan chce?
- Tak jak i pani szukam czwartego tomu.
- Wiem. Po co to panu?
- A pani? Na co potrzebny pani ten zdekompletowany egzemplarz?
- Ja co innego. Pracuję naukowo.
- Oryginalne są metody i... maniere naukowców. Miałem przed chwilą okazję osobiście się o tym przekonać... Niepotrzebnie zgrywa się pani na naukowość. Mnie pani nie oszuka. I tak wiem wszystko.
- Tak się tylko panu zdaje.
- Wszystko, powtarzam. Czytałem notatki dziada Aleksandra.

181

- Był, zdaje się, równie niemądry jak pan.
- W pani ustach to nie obelga. Zarówno dla Barna, jak i dla pani każdy uczciwy człowiek to głupiec.

- Aleksander Mączyński był głupcem – powtórzyła z naciskiem. – Stanął na drodze przyjacielowi i musiał zginąć.
- A więc wie pani, że Barno, pani pradziad, któremu Aleksander ufał jak samemu sobie, zabił zdradziecko przyjaciela?
- Bardzo konsekwentnie dążył do celu – odpowiedziała spokojnie – był wspaniałym człowiekiem.
- Jest pani nieodrodną prawnuczką tego zdrajcy.
- Radzę panu zachować te opinie dla siebie. Gardzę panem i pańskim cnotliwym zgorzeniem. Człowiek o tak ciasnych horyzontach jak Aleksander Mączyński...
- To bohater, słyszy pani, bohater.
- Barno był większym bohaterem – krzyknęła. – Odznaczył się w powstaniu, pisza o nim pamiętnikarze...
- Cóż z tego, jeśli potem zdradził?
- Nikogo nie zdradził. Gdy powstanie upadło, uszedł wraz z innymi za granicę.
- Ale zamordował przyjaciela.
- Usunął z drogi szkodliwego człowieka.
- Przyjaciela z lat dziecińczych, który kochał go jak brata.
- Słyszałam, słyszałam – przerwała. – Ten przyjaciel z lat dziecińczych okazał się babą, rozczarował go. Niewart był przywiązania.
- Więc jednak coś pani wie...
- Wiem wszystko i podziwiam Barna. Wśród dzisiejszych niedorajdów to jedyny prawdziwy mężczyzna.
- Pociąga panią występki. Zaśmiała się urągliwie.
- A pan wielbi cnotę, co? – spytała zaczepnie.

182

- Nie sądziłem, że jest pani aż tak zła i zepsuta. Zawsze litowałem się nad panią.
- Wdał się pan w dziada – powiedziała z ironią.
- O, daleko mi do niego, choć zewnętrznie jestem do dziada podobny.
- Tak – przyznała – rzeczywiście.
- Skąd pani wie?
- Mam jego miniaturę.
- Ma pani miniaturę Aleksandra Mączyńskiego?
- Tak. – Wspaniałe oczy błyszcząły jak dwa drogie kamienie. – Niebrzydki był z niego chłopiec.
- Och, panno Klaro. – Broniś spojrział błagalnie.
- Chciałby go pan zobaczyć, prawda? Swego „bohatera”?
- Niech pani nie kpi. Dałbym za to wiele.
- Blondynek jak pan. – Prychnęła pogardliwie.
- Czy ma pani również wizerunek Barna?
- Mam doskonały portret – odpowiedziała z dumą. – Jestem równie piękna jak on.
- Tak, wiem, ma pani jego oczy.
- Nie tylko oczy. Mam także jego duszę.
- To źle – powiedział sucho.
- Pan tego nie rozumie, zbyt pan ograniczony.
- Wszystko straciliśmy podczas wojny, wszelkie rodzinne pamiątki. Jedyne, co ocalało z dawnych wspomnień, to książki dziada Aleksandra w batignolach. Tu je odnalazłem, przypadkowo, dzięki pani.
- Dzięki mnie?
- Tak, pani naprowadziła mnie na ślad. Już wtedy pani szukała... Przeglądała pani książki z jego autografem i mnie taka książka wpadła w ręce. Część swej biblioteki dziad ofiarował Szkole Polskiej...

Skinęła głową.

- Z jego notatek dowiedziałem się wszystkiego... rów-

183

- niez o jego śmierci... francuska policja na próżno szukała winowajcy...
- Niezdary – mruknęła.
- Nikomu nie przyszło na myśl, że morderca był tak blisko.
- Sam sobie winien – wybuchnęła. – Po co się upierał?
- Broniś udał, że nie słyszy. Była tak zaślepiona, że wszelka dyskusja wydawała się daremną.
- Dziad mój był tak szlachetny, że znając mordercę, nie wyjawiał go policji. Może żyłby...
- Wątpię.

- I zabronił synowi ścigać go zemstą.
- Tchórz. Broniś westchnął.
- A ja uszanuję jego wolę – powiedział poważnie.
- Pan?
- I pani o tym wie. Klara nie odpowiedziała.
- Pani szczęśliwsza – odezwał się wracając do półek
- zachowała pani dawne pamiątki...
- O tak, dom co prawda w Warszawie spalony, ale na wsi wszystko ocalało. Mam to teraz tutaj, w moim mieszkaniu. Zapiszę panu w testamencie – dodała złośliwie.
- Jakie to dziwne – powiedział smutnie. – Pozostaliśmy my dwoje po tamtych... I jak oni jesteśmy wrogami. Dlaczego? Przecież mogło być zupełnie inaczej. Tyle wspólnych tradycji...
- Słaby pan i sentymentalny jak pański przodek. A ja silna i zdecydowana na wszystko jak Barno. Na wszystko
- powtórzyła z naciskiem.
- I tu spotkaliśmy się, wśród tych książek, my dwoje... Czy ma pani brata?

184

- Nie.
- A więc jesteśmy ostatni.
- Tak, ostatni. – Po czym cisnęła na półkę gruby tom.
- Niech pan przestanie z tym mazgaj stwem. Doprawdy szkoda czasu. Już zaraz druga, wkrótce zrobi się dzień.
- Tu zawsze jak w grobie, czy w dzień, czy w nocy. Często pani przychodzi tu... po pracy?

Nie odpowiedziała.

- Dosyć męczące a la longue. Zmierzyła go spojrzeniem przez ramię.
- Może dla pana, dla mnie nie.
- Taka pani wytrzymała?
- Zrobię, co zamierzam.
- Doprawdy? A ja zamierzam pani przeszkodzić.
- Pan? Mnie?
- Pani bardzo pewna siebie.
- Powiedziałam, że gardzę panem. Jest pan dla mnie niczym, zerem, powietrzem...
- Ale musi się pani ze mną liczyć. Dążymy przecież do jednego celu i jako przeciwnik...
- Jako przeciwnik nie jest pan groźny – przerwała.
- Równie jak Aleksander Mączyński...
- Ale dziad Aleksander, mimo że zginął – zwyciężył. Postawił na swoim. Barno nie dostał tego, czego pragnął.
- Nie zdążył. Zaskoczyła go choroba, był sparaliżowany
- dodała ciszej. – Jego synowie nie nadawali się do poszukiwań, dopiero mój ojciec... ale i on nie miał szczęścia. Ja zrealizuję marzenia poprzedników.
- Jeśli na to pozwolę, ale powtarzam, zrobię wszystko, by do tego nie dopuścić.
- Ośmieli się pan? – Odłożyła trzymaną w ręku książkę i spojrzała na Bronisia z ciekawością.
- Nie znajdzie pani kartki przeora.

185

- Jeśli pan stanie mi na drodze – powiedziała łagodnie – nie zawaham się przed niczym, zgmiotę pana. Postąpię jak Barno, zginie pan z mojej ręki.
 - Pani Tymoniecka pana prosi. – Między szafami mignęła tleniona fryzurka panny Zosi i jej nowa, niebieska sukienka.
- Broniś dobrze wiedział, że czeka go reprimenda, od kilku dni spodziewał się wezwania. Toteż słowa, jakimi przywitała go kierowniczką, nie były niespodzianką.
- Panie Bronisławie – głos pani Tymonieckiej brzmiał jak zwykle uprzejmie – trzy razy przyszedł pan do Biblioteki ze spóźnieniem prawie piętnastominutowym. Co się stało?
 - Bardzo mi przykro. – Broniś czuł się jak sztubak przyłapany na niedozwolonym papierosie.
 - Wiem, mnie ta rozmowa także nie sprawia przyjemności. Jednakże naruszył pan przepisy. Każdemu zdarzy się spóźnić, to ludzka rzecz, ale panu ostatnio trochę za często.
 - Przepraszam panią...
 - Czy coś... nie w porządku? Mizernie pan wygląda.

– Bardzo pani dobra, dziękuję...
– Czasem... są takie sytuacje... Dotąd był pan jednym z najpilniejszych pracowników... Chciałabym, aby i nadal... Pan mnie rozumie? Proszę wziąć sobie do serca moje słowa. Takie lekceważenie dyscypliny robi jak najgorsze wrażenie; musiałam pana uprzedzić.
Broniś wychodził z gabinetu kierowniczkki klnąc Sylwestra, który jak na złość sterczał od rana w magazynie i ani razu nie dał mu okazji wyniknąć się o właściwej porze.

186

Dziś także, mimo uwagi pani Tymonieckiej, zamierzał zostać. Przez ostatnie dwie noce wyspał się za wszystkie czasy. Dnie lecą jak na skrzydłach, a noce... Dziwne noce w magazynie. Przy pracy... Razem z Klarą... We wrogim milczeniu... Każde z nich przy swoim regale... śledząc ukradkiem ruchy przeciwnika, czy nie zobaczy czwartego tomu ginącego w kieszeni lub torebce. Gdyby wspaniałe oczy Klary miały moc wzroku Bazyliszka, Broniś dawno nie żyłby lub stałby się kamieniem, a raczej – w dostosowaniu do warunków Biblioteki – jednym z tomów zapełniających półki.

Mimo wszystko podziwiał ją: jej zimną krew, odwagę, wytrzymałość. Cóż za wspaniała dziewczyna! I gdyby nie ten Barno i jego ponure dziedzictwo... Do licha, trzeba mieć doprawdy pecha!

Gdy wracał zmordowany bibliotecznym maratonem, ciotka obrzucała go podejrzliwym spojrzeniem, na próżno czekając upragnionej wiadomości.

– Bądź ostrożny – ostrzegała. – Bez trudu zawróci ci w głowie, a potem owinie dokoła palca. Zapomnisz o wszystkim.

– Ależ ciociu – denerwował się. – Klara walczy lojalnie.

– Już jej bronisz. W takiej walce wszystkie chwytów dozwolone.

– Oczywiście, ale jak dotąd nie próbowała kokieterii. Ostatnio prawie nie rozmawiamy.

– Strzeż się, ona i tak cię przechytry.

– Wcale nie – oburzył się. – Czy taki ze mnie dureń?

– Dureń nie dureń...

– No to kto?

– Nie zwracaj głowy. Po prostu ostrzegam cię, a ty zaraz o durniach.

Bardzo się ostatnio zaniedbał w pracy, jak najwięcej czasu przebywając w starym magazynie. Panny Klary za dnia pra-

187

wie nie spotykał, musiała jednak wpadać, by wydać instrukcje magazynierowi, Sylwester bowiem szukał równie uparcie jak on sam.

Zamierzając zostać na noc w Bibliotece, już o pół do trzeciej poszedł do magazynu. Szczęście mu sprzyjało, gdyż nie zastał Sylwestra, mimo że drzwi były otwarte. Wsunął się między regały i by upozorować swą obecność – w razie odkrycia – udał, że zajęty jest przeglądaniem wydanej z górą sto lat temu „Geografii świata”. Po powrocie magazynier zaczął porządkować leżące na stole stopy broszur, przyniesione przed paroma godzinami z intrologatorni. Przed samą trzecią, gdy Sylwester wybierał się do odejścia, przyszła Klara.

– Panie Janku – powiedziała przymilnie – proszę zostać pół godziny dłużej, dobrze?

– Chętnie – rozpromienił się Sylwester.

– Chciałabym jeszcze dziś przeszukać na górnych półkach sygnatury 36.000.

Sylwester już przesuwiał drabinę pod wskazany regał.

– A może się pan spieszy?

– Nie, nie, pani przecież potrzebuje książki...

– No tak, posiedziałabym do piątej... Sylwester był już w połowie drabiny.

– Czy zawsze to samo dzieło? – Głos z góry tłumiły książki.

– Tak, ten czwarty tom...

– Już szukam.

Broniś zaciskał pięści. Tyle straconego czasu!

Tymczasem Klara nie siedziała beczynn timer. Po dochodzących odgłosach poznał, że stoi przy zwykłym regale.

Ruchom Sylwestra towarzyszyło skrzywienie drabiny i stukot przestawianych książek.

Tak minęła może godzina, potem panna Michałowska zawołała nagle:

– Mam! Słyszysz pan, panie Janku? Znalazłam. Nareszcie.

188

Proszę się już nie trudzić. Zabieram książkę, jutro wypiszę rewers. Dziękuję panu, do widzenia.

Zastukały wysokie obcasy i trzasnęły drzwi.

Sylwester, uporawszy się z naręczem książek, które właśnie przeglądał, schodził powoli z drabiny.

Broniś ledwie mógł ustać. Sam nie wiedział, co robić. Biec za nią, choćby siłą odebrać książkę, obić Sylwestra, czy zdemolować magazyn. Po wyjściu magazyniera zapalił stojącą lampę i zaczął krążyć po niewielkiej przestrzeni koło stołu.

Czuł się zupełnie zdezorientowany.

Jeśli znalazła, wszystko na nic i nie ma po co tu sterczeć. Ale jak przeszkodzić?

Nie dopuścić? A może to tylko trik? Może skłamała. Zdolna jest do wszystkiego, sama mu to powiedziała. Tak, to zapewne jeszcze jedna z jej sztuczek... Musiała wiedzieć, że przeciwnik gdzieś ukryty i odegrała małą komedijkę... Wszystko to było naturalnie przeznaczone dla jego uszu... Jak mógł przejąć się głupim wybiegiem? Jasne jak dzień: chciała się go pozbyć, by w nocy nie mieć świadka... A więc nic straconego. A jednak? Boże, Boże, co robić? Jeśli znalazła, już tu więcej nie przyjdzie. Trzeba czekać do wieczora i dopóki jest nadzieja, nie załamywać rąk. Oto jak należy postąpić. Wieczór rozstrzygnie. A teraz do roboty. Ciotka widzi palec losu w całej tej historii i jeśli ma rację...

Tym razem czas stanął w miejscu. Żeby już ta dziesiąta – o tej porze przychodziła zwykle Klara – żeby już wiedział, czy warto szukać?...

Broniś miota się po magazynie. Wchodzi na galeryjkę, wspina się na szczyt wielkiej drabiny, krąży między regałami ścigany niepewnością. Jak wytrwać i nie zwariować z niecierpliwości?

Dlaczego tracę czas w tak idiotyczny sposób? – myśli, ale niezdolny jest do żadnej pracy. Po prostu nie może ustać w miejscu, niepokój gna go po całym magazynie.

A może rzeczywiście znalazła? On tu sterczy jak dureń,

189

a tymczasem ona z kartką przeora... Nie, nie, to było wyreżyserowane specjalnie dla niego... Chce się go pozbyć... Trudno, będzie czekał.

O dziesiątej zapala wszystkie lampy. Pewnie zaraz przyjdzie.

Ale panna Michałowska nie przychodzi. Mija godzina, dwie. Broniś robi już plany przyszłości: musi zmienić pracę, dość ma Biblioteki Narodowej. To rzeczywiście miejsce dobre dla starych ramoli... I właściwie jaka przyszłość? Co za kariera go tu czeka? Zawsze pozostanie popychadłem wśród nudnych bab chorujących na naukowość... Nie, nie, raz z tym trzeba zrobić porządek. A książki dziada Aleksandra wrzuci w piec, tam ich miejsce, niech mu więcej nie mać w głowie. Jest już zmęczony... Wykończy teraz część batignoli, potem weźmie urlop, wyjedzie gdzieś, byle gdzie, góry, morze, to obojętne... A potem... Potem trzeba rozejrzeć się... Może w Instytucie Historycznym albo w jakim muzeum... Jeszcze pomyśli. Co to? Już pierwsza? Należy jakoś spędzić resztę nocy, aby w dzień móc jako tako pracować. Przede wszystkim trzeba się posilić. Na galeryjce ukryta paczka. O, jest i termos z kawą. Co prawda już prawie zimna, ale dobra. Broniś rozściela kitel i kładzie się na skrzypiącej podłodze galeryjki. Łóżko trochę niewygodne, ale z braku laku... Wyciąga się w całej długości, czując przyjemne odprężenie. Koniec, więc już koniec całej udręki. Tyle miesięcy!... Trudno, chciał jak najlepiej, robił, co mógł, ze skóry wyłaził, by odnaleźć czwarty tom „Roczników”... Widocznie mu nie sążone. Nie wszystko w życiu można osiągnąć. Walczył przecież jak lew. No nic, postara się zapomnieć, wróci do równowagi. Zaraz jutro zadzwoni do Andrzeja, może jeszcze coś się uda ze wspólnym urlopem.

*

190

Z ciężkiego snu budzi go szarpnięcie. Siada półprzytomny. Nad nim pochyła się purpurowa ze złości twarz Sylwestra.

– Co pan tu robi?

Broniś z trudem może pokręcić głową, szyja zesztyniała od niewygodnej pozycji, kark boli. Czuje się, jakby obito go kijami. A Sylwester krzyczy:

– Gadaaj pan, do cholery. Co pan tu robi? Jak pan wszedł?

Broniś patrzy na zegarek. Jaka ulga. Za pięć ósma. Twarz magazyniera pochyła się coraz niżej:

– Oniemiał pan czy co? Jak pan wszedł?

– Zamknął mnie pan. Byłem tak zajęty, że nie słyszałem... Nie mam czasu, już ósma, nie mogę się spóźnić.

– Oferma – mruczy magazynier i pogardliwie wzrusza ramionami. Prędko do toalety, doprowadzić się do jakiego takiego wyglądu. Psiakrew, ogolić się już nie zdąży! Tak zasnąć! I ten głupi Sylwester... Bola wszystkie gnaty, trudno się poruszać. Całe szczęście, że udało się wśliznąć do kąta za szafami przed przyjściem pani Tymonieckiej. Tego tylko brakowało, by znów spóźnił się po wczorajszej reprimendzie... Niech to wszyscy diabli...

Dopiero po drugim śniadaniu wróciła odrobina dawnej energii. Pomyślał o panie Klarze.

W Dziale Dziewiętnastowiecznych Rękopisów odpowiedziano mu, że nie przyszła. Telefonowała, owszem, źle się czuje i ma trzydniowe zwolnienie lekarskie. Powlókł się do magazynu. Przecież trzeba było coś robić. Wybierze batignole do katalogowania...

Sylwester stał przy bocznym regale.

– Więc jak? – mruknął, gdy Broniś znalazł się koło stołu.

?

191

– Niech pan będzie spokojny, nikt się nie dowie. Każdemu może się zdarzyć...

– Przez pana stracę miejsce, odpowiadam za stary magazyn. A gdyby tak pożar?...

– Pan wie, że nie palę, nie mam nawet przy sobie zapalek.

– O wypadek nietrudno. A potem wszystko na mnie... Cholery można dostać.

– Ale z pana nudziarz! Doprawdy nie ma czego się obawiać...

– Nie ma czego... Dobry sobie. Roztrafi po całej Bibliotece, to jak się będę tłumaczył? Ja przecież zdaję klucze.

– Po co mam trąbić? Zależy mi na reklamie czy co, u licha?

– Ja tam nie wiem, tylko na drugi raz...

– Nie będzie drugiego razu. Zaczytałem się. Równie dobrze pilnowałem magazynu jak pan.

– A gdyby jaka komisja, kontrola czy inna cholera...

– Nie ma w nocy komisji. Wszystko pozamykane, a klucze u dyżurnego w portierni.

– Więc nie polecą pan z językiem?

– Do kogo mam lecieć? Taki sam mój interes, jak i pana, żeby nikt się nie dowiedział. Może przewieziemy na górę książki?

W domu powróciło okropne uczucie pustki i niezadowolenia z samego siebie.

– Coś taki skwaszony? – spytała ciotka przy obiedzie.

– Już po wszystkim.

– Jak to? Czwarty tom odnaleziony? Broniś kiwnął głową.

– I nic nie mówisz?

192

Wzruszył ramionami.

– Co cię ukąsiło? Mówże. Nie było kartki przeora?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– No, nie wiem. Nie widziałem.

– Cóż więc widziałeś?

– Nic.

– Bronisiu, albo powiesz mi, co to znaczy, albo...

– To znaczy, że Klara znalazła.

– Kiedy?

– Wczoraj po południu.

– A ty co robiłeś?

– Sterczałem między regałami i myślałem, że mnie diabli wezmą.

– I pozwoliłeś...

– Co miałem robić? Był jeszcze Sylwester.

– I ona tak przy nim...

– Weszła tuż przed trzecią, wysłała go na sam wierzchołek drabiny i zaczęła szperać na tym swoim regale. A potem nagle wrzeszczy, że już ma, znalazła; no i zabrała książkę, i poszła. Czy miałem ją gonić?

– Czekalem do wieczora, myślałem, że zagrała tylko taką komedyjkę, specjalnie dla mnie, że zjawi się, jak zwykle, o dziesiątej. Ale nie przyszła. O mało nie rozniosłem magazynu. Potem zasnąłem. Rano obudził mnie Sylwester... Dziś nie było jej w Bibliotece, chora... I tak wszystko się skończyło... Cała nadzieja na nic.

Ciotka siedziała ze spuszczoną głową.

– Nie wiadomo, czy się skończyło – powiedziała powoli. – Może to dopiero początek nowej taktyki? Wcale nie jestem taka pewna, że znalazła. A jeżeli chciała się ciebie pozbyć? Przeszkadzasz jej i boi się... A nuż książka znajdzie się na twoim regale? Nie może do tego dopuścić i dlatego prag-

13–Cień dłuższego

193

nie wyeliminować cię z gry. Na twoim miejscu szukałabym dalej. Sądzę, że chwilowo przyczaiła się. Przyczaj się i ty. Głowę dam, że za trzy dni ją zobaczysz. I to w magazynie. Wierzę, że właśnie ty odnajdziesz kartkę przeora, inaczej wszystko nie miałoby sensu. Wyśpij się i wypocznij, jutro spojrzysz na to innymi oczami. Panna Klara to sprytna sztuka, ale ty bądź sprytniejszy. Barno nie oszukał dziada Aleksandra. Radzę ci, teraz o tym nie myśl, połóż się i postaraj się zasnąć. Jesteś bardzo zmęczony.

Znowu więc trzeba szukać. Doprawdy wściec się od tego można. Ile czasu już czeka?

I w dodatku ta niepewność... Chciałby działać, robić coś, iść naprzód, a tu nic, tylko siedź z założonymi rękami jak głupiec, gdy wszystko się w tobie gotuje. Ale ciotka ma rację: Tak, z pewnością nie ma innego wyjścia jak czekać. Klara wreszcie musi się ujawnić. Jeżeli naturalnie nie znalazła czwartego tomu, gdyż inaczej... Inaczej wszystko diabli wzięli i nie ma czym zawracać sobie głowy. Te trzy dni nieobecności panny Michałowskiej, mimo zdenerwowania i niepokoju, minęły nadszpedzanie szybko. Broniś wiele godzin spędzał w magazynie, przy ściennych regałach, systematycznie prowadząc poszukiwania. Sylwester wyraźnie się nudził. Przekładał stopy broszur z jednego miejsca na drugie, jeździł wielką drabiną po całym magazynie, porządkował kartotekę wypożyczeń.

Czwartego dnia, w Katalogu, Broniś otarł się o zieloną bluzkę.

– Przepraszam...

Panna Klara zatrzasnęła szufladkę.

– Nic nie szkodzi.

– Jak się pani czuje?

– Dziękuję, doskonale. – Gwiazdziste oczy promieniały.

– Pani chorowała...

194

– O, tylko przemęczenie. Czas najwyższy na wakacje. Wkrótce biorę urlop... Muszę wyjechać. A pan?

– Ja? – Broniś westchnął obłudnie. – Dopiero jesienią będę mógł wyrwać się trochę... Tymczasem jestem uwiązany...

– Ciągłe batignole?

– Ciągłe. – Drugie westchnienie nie mniej obłudne.

– No cóż. – Uśmiech panny Klary jest pełen wyższości. – W takim razie powodzenia.

Między szafkami przeciągnęła lawendowa smuga. Broniś zostaje z pytaniem, na które czas tylko może dać odpowiedź. Czas jednak okazuje się litościwy. Jeszcze tej bowiem nocy tajemnica może być zgłębiona. Chociaż są pewne trudności... Przede wszystkim podejrzliwość Sylwestra. Jak tu przyczaić się między regałami, gdy od drugiej magazynier wodzi za nim świdrującym wzrokiem, po czym z kluczami w ręku literalnie wyrzuca go za drzwi? Co wymyślić, by uśpić nie-ledwie Argusowe oczy batignolskiego strażnika? Przecież musi być na to jakaś rada.

– Wyjdę dziś razem z panem. – Już o drugiej Broniś uprzedza codzienne manewry pilnującego go Sylwestra.

– Zamykam punkt trzecia, ani minuty później.

– Doskonale, przez godzinę skończę.

Magazynier jest niezadowolony, spieszy mu się. Patrzy często na zegarek. Klara nie przyszła i widocznie to powód zdenerwowania. Już za dziesięć trzecia wiesza kitel na gwoździu za najszerszym regałem i ostentacyjnie wyjmuje z szuflady klucze.

– No, idzie pan?

– Idę, idę, tylko wstawię na miejsce te grube tomiska. Sylwester nie przez uprzejmość przepuszcza go przodem

i wychodząc przekręca klucz w zamku. Broniś ma ochotę go uderzyć, zamiast tego jednak mówi spokojnie:

– Do widzenia, do jutra.

195

– Do widzenia – odkrzykuje Sylwester ginąc w drzwiach toalety. A więc nie udało się. Ale nic straconego. I tak musi dziś wiedzieć, czy znalazła, czy nie. Jeśli znalazła, nie przyjdzie więcej do magazynu, bo i po co, ale jeśli nie... jeśli ciotka Zuzanna się nie myli, w takim razie będzie jeszcze szukać... A ponieważ ma klucz, najwygodniej czynić to w nocy.

W Dziale Dziewiętnastowiecznych Druków królują sprzątaczkki. Broniś chyłkiem przemyka się do swego biurka i bierze kilka arkusików papieru. Trzeba jakoś upozorować tę niezwykłą pracowitość. Posiedzi trochę w Katalogu, trochę w czytelni przy encyklopediach, resztę czasu spędzi wśród pomocy naukowych. Przede wszystkim nie tracić z oczu korytarza wiodącego do starego magazynu. A nuż przyjdzie wcześniej niż zwykle?

W katalogu dyżuruje sam pan Błażewicz.

– Cóż pan o tej porze? – dziwi się błyskając okularami.

– Mam pilną robotę, własną... – Jak przykro znowu okłamywać tak miłego człowieka.

Broniś przerzuca kartki w kilku szufladkach, ot tak, dla zabicia czasu. Potem, zanim pójdzie do czytelni, zagląda do korytarza przy starym magazynie. Nic, cisza. O tej porze nie wydaje się stąd książek. W czytelni mało osób, doprawdy za piękna pogoda, aby gnić w Bibliotece. Broniś automatycznie wypisuje jakieś dane z Encyklopedii Orgelbranda, udaje przy tym, że jest pochłonięty pracą. Byłe czas mijał, byle doczekać dziesiątej, gdy zamkną Bibliotekę i w całym gmachu zapanuje wreszcie cisza i milczenie. No i ciemność, gdyż dyżurny pogasi wszystkie światła, z wyjątkiem lamp w hallu, który całą noc pozostaje oświetlony.

Broniś dotyka kieszeni i poprzez cienką tkaninę wyczuwa gładką powierzchnię elektrycznej latarki.

Gdy po raz drugi zjawia się w Katalogu, pan Błażewicz

196

zdejmuje właśnie okulary i dużą, białą chustką przeciera szkła.

– Długo pan siedzi bez obiadu. – Oczy ma bladoniebieskie, lekko zmrużone. – Czy to warto?

Broniś unika krótkowzrocznych źrenic kierownika Katalogu.

– Wziąłem podwójne śniadanie – mówi. – Czasem tak wypadnie... trzeba nad czymś posiedzieć.

– O tak – pan Błażewicz kiwa głową ze zrozumieniem

– szczególnie jeśli się chce zdziałać coś w Bibliotece, to tylko wieczorem.

Wtedy dopiero można pracować dla siebie. W dzień nie ma na to ani chwili. Tu wszyscy tak robią

– dodaje wyjaśniająco. – I dlatego tylu mamy wybitnych pracowników. Ot, na przykład panna Michałowska... Zadziwiające, że tak śliczna dziewczyna całe dnie spędza w Bibliotece. Sam nieraz widywałem ją tu wieczorami... Nic dziwnego, że tak zna się na rękopisach... Czy nie sądzi pan, że popołudnia i wieczory powinna raczej spędzać w towarzystwie młodego człowieka? Szczególnie teraz, gdy pogoda sprzyja spacerom...

– Widocznie woli stare szpargały. Może to i lepiej? Pan Błażewicz, nie przekonany, błysnął okularami.

– Przypuszcza pan, że w jej wypadku to wygórowana ambicja?

– Czy ja wiem... Nie znam jej na tyle...

– Dziewczyna o takiej urodzie może sobie pozwolić na zarozumiałość. Nie zdziwiłbym się, gdyby marzyła o wielkiej karierze... na przykład chciałyby zostać gwiazdą filmową... czy ja wiem zresztą, kim jeszcze, wspaniale wyjść za mąż... wszystko dla niej dostępne... Jednak wybrała bibliotekarstwo... taki skromny, zapoznany dzisiaj zawód... bo ani dochodów, ani innych splendorów... Chyba droga naukowa...

– Panna Klara wybrała, zdaje się, to ostatnie.

197

– Czy to pana nie dziwi? Ja, gdy na nią patrzę, nieraz zadaję sobie pytanie: czego ona tu szuka?

– Jak to: czego szuka?

– No tak, dlaczego pracuje w Bibliotece Narodowej, po co jej to?

– No... pewnie musi gdzieś pracować, tak jak my wszyscy.

– Hm... Czy zdaniem pana podobna jest do innych panienek z Biblioteki?

– No... nie bardzo...

– A widzi pan. Kobiety tu pracujące to skromne pszczołki, cierpliwe, ciche, z rzadka tylko klute żądźkami ambicji. Kochają książki i są szczęśliwe głaszcząc pięknie oprawne w jedwabisty safian tomy. Wraz z osiadłym na półkach pyłem przeszłości wdychają książkowego bakcyła, który nie opuści je aż do śmierci, jak i one do końca życia nie opuszczą Biblioteki. Znałem takich, co się buntowali za młodu, uskarżając się na zbyt niskie zarobki i brak szacunku u społeczeństwa dla stanowiska bibliotekarza, ale zostali, zabrakło im siły, aby rozstać się z tą cichą, zdawałoby się nikomu niepotrzebną pracą. Dlatego powtarzam, ciekawi mnie, co trzyma tu pannę Klarę? Jaki ma w tym cel?

– Przypuszczalnie w ten sposób zarabia na życie.

– Z taką aparycją zarobiłaby o wiele więcej w filmie czy telewizji... Mężczyźni nie są jeszcze ślepi i nie przechodzą obojętnie obok tak pięknej dziewczyny.

– Nie zależy jej, zdaje się, na męskim uwielbieniu.

– Myli się pan. Każda kobieta pragnie wzbudzić podziw nawet najmniej atrakcyjnego mężczyzny. Taka już jej natura. Panna Michałowska to zagadka, po prostu sfinks. Dużo bym dał, by ją rozgryźć... Niestety, za stary jestem na tego rodzaju badania... Pan, co innego...

– Dlaczego ja?

– Pan się nadaje do roli badacza. I na pana miejscu nie

198

przepuściłbym okazji do tak interesującego studium... Ale o wilku mowa...

Do Katalogu weszła Klara, tym razem w jasnozielonym kostiumie z bukietem fiołków przy dekolcie.

Ścienny zegar wskazywał za pięć ósmą.

Broniś wstał.

– Dobry wieczór panom. – W Katalogu powiało lawendą.

– Zamiast do Łazienek, to pani do Biblioteki? – zauważył z uśmiechem pan Błażewicz.

– O, tylko na chwilę. Wkrótce zaczynam urlop, a mam jeszcze kilka prac do wykończenia.

Skinęła głową, przesuwając się zwinnie między szafkami. Trzasnęły drzwi. Broniś biegł już korytarzem w stronę starego magazynu. Przed nim sunął jasny krąg światła z kieszonkowej latarki. Ale w korytarzu oprócz jego szybkich kroków nie było żadnego innego odgłosu. Wszędzie głucha cisza. Promyk lampki prześliznął się po gładkiej powierzchni obitych blachą drzwi. Ani śladu Klary. Broniś zgasił latarkę i przyciśnięty do ściany zastygł w bezruchu, wytężając słuch. W tej części Biblioteki nie było o tej porze żywej duszy i prawdopodobnie nawet strzał z rewolweru uszedłby uwagi osób przebywających w innej stronie wielkiego gmachu. Znużony bezowocnym czekaniem posunął się powoli korytarzem ku schodom. Gdy wchodził do katalogu, pan Błażewicz całował wypielęgowaną rączkę.

– Do jutra. – Piękna dziewczyna obrzuciła Bronisia zagadkowym spojrzeniem.

Wysokie obcasy stuknęły już w hallu. Broniś stał przechylony przez poręcz, dopóki drzwi wejściowe nie zamknęły się za zielonym kostiumikiem.

Psiakrew. Czy znalazła, czy tylko gra? Chce mnie wziąć na wytrzymałość. W takim razie zobaczymy, kto cierpliwszy. A jeżeli znalazła?...

Zegar w hallu wskazywał kwadrans po dziewiątej, gdy

199

Broniś znowu stanął przed panem Błażewiczem. Kierownik Katalogu segregował kartki. Lampy jarzeniowe huczały pod sufitem, przy szafkach nie było ani jednego czytelnika.

– Pustka dziś' w Bibliotece.

– Nic dziwnego, zbyt piękny wieczór, aby siedzieć w czterech ścianach.

– Rzeczywiście. Pójdę już. Do widzenia panu. Zamiast skierować się do wyjścia, poszedł korytarzem

w lewo; przyświecając latarką zbiegł bocznymi schodami. Gdy gasił światło, posłyszał zgrzyt klucza i trzask zamykanych drzwi. Zapalił latarkę i puścił się korytarzem. Ale było już za późno. Panna Michałowska raz jeszcze wyprowadziła go w pole.

19

Tym razem powiodło się nadspodziewanie łatwo. Właściwie dopomógł przypadek. Po drugiej wezwano Sylwestra do głównego magazynu.

– Wychodzę – oświadczył. – Zostaje pan?

– Tak, mam jeszcze sporo do roboty – odparł skwapliwie Broniś stojąc na pomocniczych schodkach.

- W takim razie nie zamykam. Poczekaj pan do mego powrotu.
- Wychodzę punktualnie za pięć trzecia – przypomniał Broniś.
- Dobrze, dobrze. Gdybym dotąd nie wrócił, może pan iść, tylko żeby drzwi zamknąć...

Za kwadrans trzecia Broniś uznał, że nadeszła właściwa pora, aby się zakonspirować. Sylwester wbiegł o trzeciej, a zawoławszy kilkakrotnie i nie otrzymując odpowiedzi był pewien, że magazyn pusty. Trzask klucza w zamku Broniś

200 przywitał jak wybawienie. Mógł nareszcie działać. Żeby tylko mieć struprocentową pewność... Co prawda wszystko za tym przemawiało, ale...

Regał, na który przyszła dziś kolej, nosił na swych półkach nie batignole, lecz ocalałe niedobitki bogatej Biblioteki Polskiej w Paryżu. Broniś wahał się chwilę,

czy warto wertować te bardziej od innych zakurzone tomy. Regał sięgał sufitu, zbudowano go z masywnego dębowego drzewa. Trochę szerszy niż inne, widać innej był proveniencji.

Gdy Broniś ukończył przegląd półek, do których mógł sięgnąć bez pomocy drabiny, dochodziła dziewiąta. Przerwał pracę, by się posilić z ukrytej na galeryjce paczki, a gdy dojadł ostatnie kęsy chleba z szynką, do magazynu weszła panna Klara.

Na pierwszy rzut oka nie zdziwiła jej obecność rywala.

- Niepotrzebnie pan się fatygował – powiedziała zamiast przywitania. – Przecież wiem, gdzie znajduje się skarb.

- Bez wskazówki przeora nic pani nie zrobi – zauważył spokojnie opierając się oburącz o poręcz galeryjki.

- Toteż będę ją miała.

- Nie wiadomo.

- Powiedziałam, że wiem, gdzie jest skarb.

- A ja powiedziałem, że to nie wystarczy, że potrzeba kartki ukrytej w czwartym tomie „Roczników”... Pani skłamała, udając, że odnalazła tę książkę.

- Aby pana się pozbyć, gotowam nie tylko skłamać.

- Więc pani przyznaje?

- Przyznaję.

- Doskonale. Wobec tego nasze szanse znowu się zrównały. Szukamy już tylko kartki przeora...

- Tylko – krzyknęła. – Cały czas jej szukam. Inaczej dawno już skarb byłby w moim ręku. Wiem wszystko i jedynie ta maleńka kropka nad i... Od dawna wiedziałam. Dlatego

201

zgodziłam się tu pracować. Inaczej jakież sens miałoby to wszystko?

- Ja też pracuję w Bibliotece. – Broniś wyprostował się z godnością.

- Pan! Bibliotekarstwo w sam raz dla pana. Ale ja, ja!...

- Pani jako najpiękniejsza dziewczyna... Panna Michałowska podniosła głowę.

- Tak – powiedziała uroczyście. – Wiem o tym. Czeka mnie wspaniałe życie, daleko od tej nędzy... – uczyniła okrągły ruch ręką – i jeżeli zgodziłam się tkwić wśród wstrętnej mi miernoty, uczyniłam to dla wielkiego celu.

- Rozumiem. Wstąpiła pani do Biblioteki z zamiarem odnalezienia kartki przeora...

- A po cóż miałabym skazywać się na tę ohydę?

- Jest pani niesprawiedliwa.

- Dla pana to kariera, ale dla mnie...

- To szlachetna praca.

- Dziękuję. Gdy zdobędę skarb, postaram się szybko wymazać z pamięci dni spędzone na tak przez pana cenionych zajęciach.

- Owszem, cenię je, gdyż są tego warte.

- Cóż innego czeka pana w życiu jak nie bibliotekarstwo? Pan nie pierwszy i nie ostatni. Chyba nie uważa pan, bym pasowała do tego otoczenia?

- A jednak zależy pani na jego opinii i robi pani wszystko, by zaskarbić sobie jak największe uznanie tych tak pogardzanych... bibliotekarzy.

- Robiłam. Rzeczywiście starałam się i przyszło mi to nawet bez większego trudu.

Czegóż jednak nie robi się, gdy przyświeca cel wielki i wspaniały. Ale już koniec tej komedii.

- Komedie była tak realna jak najprawdziwsza rzeczywistość.

– To nic trudnego. Już Napoleon, zdaje się powiedział, że każdy rodzi się po trosze aktorem.

202

– Ale pani doszła w tej sztuce do perfekcji i stała się jednym z naukowych filarów Biblioteki Narodowej.

– Przekonam pana, jakie to łatwe – zaśmiała się. – Należy tylko wybadać słaby punkt danego środowiska czy osób, z którymi ma się do czynienia, a potem już wszystko idzie jak po maśle. W tym wypadku na przykład naukowość. To jedna z form modnego dziś snobizmu. Podczas gdy dawniej pytano: „kto cię rodzi?“, dziś informujemy się „kiedy bronisz pracy doktorskiej?“ Wszyscy, mogą czy nie mogą, stają do wyścigu o stopień naukowy.

– No, nie wszyscy. Pani ani ja...

– Pan jest pozbawiony ambicji – przerwała żywo – a mnie to niepotrzebne. Moje życie i tak potoczy się z dala od tych problemów. To dobre dla niedołęgów, którzy w taki sposób przydają sobie ważności we własnych oczach.

– Bardzo pani zarozumiała. I choć nie ma tu żadnej dziewczyny nawet w połowie tak pięknej jak pani, jest wiele osób niezwyklej wartości. Znamy je oboje. Klara wydeła piękne usta.

– Zależy, co dla pana jest wartością. Jeśli o mnie chodzi, widzę tu zbiorowisko nieszczęśników, którym nie powiodło się w życiu. Najstarsi to ofiary wojny. Poza tym niewydarzeni młodzieńcy i co najbrzydsze kobiety, które całe swe zainteresowanie ulokowały w książkach. Nic zresztą dziwnego. Biedactwa, cóż im pozostało? Ich widok nie rozpali niczyjzego serca, na zawsze zamknięta przed nimi kraina miłości; rzuciły się więc w pracę, jak inne w ramiona ukochanego. Jedne zgorzkniały, drugie znalazły pocieszenie w zaspokojonej ambicji. Ambicja to wielka siła, młody człowieku, choć pan może tego niedocenia, o ile słyszałam nie podlegał pan dotąd tak ludzkiej ułomności. To tłumaczy, dlaczego wśród kobiet mamy tylu pracowników nauki.

– Okrutna pani dla swych mniej hojnie wyposażonych sióstr. Okrutna i bezwzględna. Potępia je pani bezlitośnie za

203

brak urody, co przecież nie jest ich winą. Ponadto zapomina pani o innych zaletach, które czasem zastępują piękność.

– Nic nie zastąpi piękności – krzyknęła namiętnie. – Nic. Piękność jest wszystkim.

– Niezupełnie. Wdzięk, urok osobisty...

– Bzdury, bzdury. Proszę spojrzeć na tę gromadę bibliotecznych dziewcząt. Brzydkie, wszystkie brzydkie i co za tym idzie nieszczęśliwe.

– A może się pani myli? Może one są zadowolone ze swego losu? W domu kochający rodzice, w Bibliotece miłe, serdeczne koleżanki? Przyzna pani, że wszyscy czujemy się tu wyjątkowo dobrze i trudno o przyjemniejszą atmosferę w miejscu pracy.

– Mógłby pan przemawiać na zebraniu związkowym jako agitator. Czy nie może pan zrozumieć, że muszą znaleźć jakiś cel, coś, co wypełniłoby ich ubogie życie? Żal mi ich, choć w większości to niezdary i tylko jednostki wywalczą sobie jaką taką pozycję w bibliotekarstwie.

– Pani od nich biedniejsza.

– Głupstwa pan plecie. Wkrótce będę miała miliony i cały świat u stóp.

– Miliony? A to jak?

– Proszę nie udawać głupszego, niż pan jest. Gdy znajdę skarb.

– Przedtem musi pani znaleźć kartkę przeora.

– Znajdę ją, znajdę. Czekaj na mnie gdzieś tu, na tej lub na tamtej półce, w grubym, zakurzonej tomiku. Może za godzinę, za dwie będę ją trzymała w ręku, odczytywała wyblakłe litery... Skarb... Leżał sto lat – dla mnie!

– Dla pani?

– Tak, dla mnie.

– Przecież nie przywłaszczysz pani takiego depozytu? To byłaby po prostu kradzież,

więcej niż kradzież – świętokradztwo.

204

– Tylko po to męczę się tu od miesięcy. Nie wracajmy do starej piosenki. Słowa pana i tak nic nie zmieniają.

– Szkoda. Pierwszy raz była pani ze mną szczerą. Rozmawialiśmy... i myślałem...

– Nie należy myśleć niepotrzebnych rzeczy.

- Rzeczywiście.
- Proszę mi już nie przeszkadzać, straciłam przez pana wiele czasu.
- Zapomina pani, że i ja szukam kartki przeora.
- To bezcelowe i tak pan jej nie dostanie.
- A jeżeli? Mówiłem przecież, że nie dopuszczę...
- Mam argument, który pana przekona.
- W takim razie szukajmy.
- Jeśli pan koniecznie chce...

Broniś powoli zszedł z galeryjki. Panna Klara szperała w torebce, oparta o stół magazyniera. Wielką drabinę Sylwester zaciągnął w drugi koniec sali i Broniś znikł za środkowymi regałami. Gdy po chwili pojawił się pchając drewnianą manichę, panna Michałowska zajęta już była przy półkach.

Ustawivszy drabinę wdrapał się na połowę mniej więcej wysokości i usadowiony jako tako na szczeblu zabrał się do zwykłej pracy. Usiłował przy tym nie myśleć, co robi, jeżeli szczęście dopisze przeciwnicze, i przerzucając kartki nie tracił jej z oczu.

Czarny kok pochylał się rytmicznie, obciążone zieloną tkaniną ramię wsuwało się między półkami, a niepokojące oczy zerkwały w górę. Widać Klara nie była pewna wygranej.

Gdy Broniś przeniósł się na wyższy szczebel, wypadki zaczęły się toczyć z dziwną jak na to spokojne miejsce szybkością. Z samego brzegu półki stały cztery tomy pierwszego formatu, tak zakurzone, że aby odczytać tytuł dzieła, trzeba było obetrzeć skórzane grzbiety. Nic nie mówiący tytuł i kryptonim autora zmusiły do otwarcia książki. Brak było karty tytu-

205

łowej, a gęsto zadrukowane stroniczki bynajmniej nie zachęcały do czytania dawno temu pisanych słów. Broniś raczej z obowiązku niż z ciekawości otwierał następne tomy. Tak, to jakieś mowy na różnych akademiach, przy pożegnaniach i innych podobnych uroczystościach, wydane niegdyś w Poznaniu. Doprawdy, ten, co je zebrał, wstydził się widocznie swego trudu, gdyż podpisał się jedynie literami D.

N. Tom drugi, trzeci, to samo, ale tego jest! Co za nudziarstwo! Tom czwarty znowu bez karty tytułowej. Skonać można przy takiej chale... Zaraz, zaraz, znajoma czcionka... która to była strona? Zdaje się trzysta trzydzieści siedem...

Prędeż, prędeż... Jest. Po prawej stronie „Życie publiczne w Wielkopolsce”. A po lewej... po lewej wycięta kartka i do wąskich brzegów, jak w ramce, cieniutka bibułka doklejony arkusik. Broniś pochyła się tak nisko, że czołem dotyka prawie książki. Nie ma żadnej wątpliwości, że trafił wreszcie na tak poszukiwany dokument. Kartka przeora. Tak więc wygląda. Niestety, nie może przeczytać jej w całości, na to nie pozwala sytuacja. Jednak dobrze ją ukryto. Ciekawe, czy to dziad Aleksander wpadł na ten pomysł, by cenny wolumen oprawić w okładkę innego, także czterotomowego dzieła? A może po prostu przypadek? Bardzo sprytny schówek i ten brak karty tytułowej... A jak zręcznie wklejono kartkę przeora! Żadnego zgrubienia, nic, co by zdradziło, że obcy arkusik wcisnął się między stronicę. Żeby to już do domu... Ale nie, dopiero druga... Tyle jeszcze godzin do rana.

- Co pan tam robi? Psiakrew, już wywęszyła!

- Proszę pokazać książkę, którą pan przegląda. Broniś nie spiesząc się wstawia czwarty tom „Mów i przemówień” na miejsce.

- Słucham panią?

- Niech pan wyjmie tę książkę, chcę ją zobaczyć.

- Nic ciekawego, okropnie zakurzona.

206

- Proszę mi podać.

- Doprawdy szkoda pani pięknych rąk.

Panna Klara prędko podeszła do stołu. Broniś posłyszał trzask zamykanej torebki. Za chwilę znowu stała przy drabinie. Czarny kok chwiał się w takt wypowiedzanych słów.

- Raz jeszcze proszę pokazać...

- Owszem - przerywa Broniś. - Jeśli już tak pani zależy. Nie pamiętam, co prawda, która to była książka, chyba tu... - po czym sięga o półkę wyżej.

- Nie, za wysoko. To obok tej pękatej, czerwonej.

- Już widzę...

- Nie, nie, z lewej strony.
- Z lewej?
- Tak, z lewej. Nie rozumie pan po polsku?
- Rozumiem, tylko tu tyle kurzu...
- Kurz jest wszędzie. Proszę podać mi książkę, tę z lewej strony. Czwarta od brzegu...
- To było wyżej, wiem, teraz sobie przypominam.
- Bez wykrętów, dobrze widziałam.
- Nic pani nie mogła widzieć. Przerzucałem wszystkie książki po kolei.
- Ale jedna bardziej pana zainteresowała.
- Dlaczego pani traci czas zamiast pracować?
- Właśnie pracuję.
- Stojąc pod drabiną?
- Pan znalazł tom czwarty...
- Niczego nie znalazłem.
- Znalazł pan, cały czas obserwowałam, co pan robi.
- Doprawdy? Czy nie szkoda czasu? Pani mi przeszkadza, a ja chciałem do rana skończyć ten regał...
- Mówię po raz ostatni, proszę dać książkę.
- A ja po raz ostatni oświadczam, że nie wiem, o którą książkę chodzi i w ogóle nie rozumiem...
- Może teraz pan zrozumie?

207

Co to za czarny przedmiot w paluszkach Klary? Kształtem zupełnie przypomina rewolwer.

- Czy to zapalniczka czy elektryczna latarka?
- To zabawka, która zmusi pana do posłuszeństwa.
- Czyż możliwe? Rewolwer?
- Jak pan widzi.
- Prawdziwy?
- Najprawdziwszy.
- Jak to? Pani ma prawdziwy rewolwer?
- Mam. A teraz proszę podać mi książkę. Broniś poprawił się na szczeblu.
- Ma pani pozwolenie na broń?
- Dość zwracania głowy. W tej chwili proszę dać mi książkę.
- To znaczy, że mierzy pani do mnie z nielegalnie posiadanej broni?
- Jeszcze chwila a stracę cierpliwość.
- Czy pani wie, że to przestępstwo?
- Jeśli pana zastrzelę, Biblioteka Narodowa nie okryje się żałobą.
- Chce mnie pani zastrzelić?
- Wolałabym pozbyć się pana w inny sposób, ale sam pan sobie winien. Proszę zejść z drabiny.
- Chwileczkę, nie skończyłem jeszcze tego regału.
- Nie potrzeba.
- Ale ja szukam czwartego tomu...
- Już go pan znalazł.
- Brednie. Gdybym znalazł, nie omieszkałbym pochwalić się przed panią.
- Bardzo w to wątpię. No, schodzi pan czy nie?
- Zaraz, zaraz.

Czarny przedmiot błyska niepokojąco w wypielęgnowanej dłoni. Tego jeszcze brakowało! Zupełnie jak w filmie krymi-

208

nalnym. No, nie ma rady. Widziała, najwidoczniej widziała, jak oglądał kartkę przeora. Nie udało mu się ukryć wzruszenia, w jakiś sposób musiał się niechcący zdradzić. Śledziła go. Książkę w każdym razie należy wsunąć między inne tomy tak, by tylko on jeden potrafił ją odnaleźć. Grunt, że wie, jak wygląda, choć podszywa się pod cudze piórka, pod jakieś nudziarskie „Mowy i przemówienia”. Broniś bierze bezcenny wolumen, wspina się na szczyt drabiny, rzuca książkę na pokryte grubo kurzem najwyższe półki, zsuwa się na ziemię i staje naprzeciwko zarumienionej z gniewu dziewczyny.

- Jestem!
- Gdzie książka? - Głos rywalki aż syczy.
- Dobrze ukryta, nie znajdzie jej pani.

- Więc nareszcie przyznaje się pan?
- Do czego?
- Łotr! Bezczelny łotr! Ograbił mnie...
- Ja? Panią?
- Tak, to moja książka.
- Przepraszam, jeśli o to chodzi, książka była własnością mego pradziadka.
- Ale kartka przeora...
- Kartka przeora nie należy ani do pani, ani do mnie.
- Dość! Zastrzelę jak psa!

Czarny przedmiot podnosi się na wysokość serca, ale Broniś zaskakuje nie przygotowaną na atak przeciwniczkę. Panna Klara szamocze się, próbuje uwolnić ramię.

Strzał! Broniś błyskawicznie uchyla się, nie rozluźniając chwytu, po czym bez trudu już wyjmując rewolwer ze zdrętwiałych palców dziewczyny.

- Bardzo przepraszam. - Stara się nadać swemu głosowi normalne brzmienie, choć cały jeszcze jest napięty do ostatnich granic. - Obawiałem się nieszczęścia. Pani nie

14-Cień dłuższego.

209

umie obchodzić się z bronią. Ja natomiast przeszedłem przeszkolenie wojskowe. Uczono mnie, że z nabitym rewolwerem żartów nie ma.

- Ja nie żartowałam. - Po pięknej twarzy płyną łzy wściekłości.

- Kula trafiła w książki, o tam, wysoko. Widzi pani? Ten regał pod ścianą... Kiedyś nasi następcy będą się zastanawiali nad tajemniczą zbrodnią popełnioną w tym magazynie.

- To kula przeznaczona dla pana! I tak pan stąd nie wyjdzie.

Klara dopada stołu i otwiera torebkę. Zanim Broniś uświadomił sobie możliwość nowego niebezpieczeństwa, w jej rękach pojawił się klucz i pudełko zapalek. Twarz kobiety, którą ma przed sobą, zmieniła się nie do poznania. Oczy mają dziki, nieprzytomny blask.

- Trudno, nie dostanę skarbu, niech więc ginie. Ale pan zginie razem z nim.

Stare książki to łatwopalny materiał. Wysuszony, nasiąkły kurzem papier zajmuje się od pierwszej iskry. W ciągu minuty płonie już cała półka.

Broniś czuje, jak serce podchodzi mu do gardła. Klara dobrze wybrała miejsce: pół regału nieoprawnych broszur! To dopiero uczta dla płomieni! Teraz decydują już sekundy! Coraz więcej kartek zwija się i skwierczy w ogniu, który rozzuchwalony łatwością sięga po następne ofiary.

Myśli pędzą jak błyskawice! Broniś zrywa kitel i używając cienkiej tkaniny jak gaśnicy usiłuje stłumić rozpętany nagle żywioł.

Klara stoi chwilę jak urzeczona widokiem pożaru, po czym biegnie do wyjścia.

- Nie wyjdzie pan stąd, nigdy nie wyjdzie, zamknę pana i wszystko się spali, cała Biblioteka!

210

Klucz, prędko klucz! - Broniś zdeptuje tłący się bibio-teczny fartuch i pędzi ku drzwiom.

Klara wskakuje raptem między środkowe regały.

- Zginie pan tu, zginie, spali się na węgiel, ze wszystkimi książkami, z kartką przeora! - Wysoki, rozpaczliwy śmiech brzmi przerażająco. Jest w nim coś, co prawie podnosi włosy na głowie pędzącego za dziewczyną mężczyzny.

Niesamowita gonitwa między regałami, przy wtórze palących się książek i trzasku rozeschłego drewna półek, trwa zapewne sekundy, ale Bronisiowi wydają się one wiekiem. Klara wywija mu się jak wąż, dopada drzwi i nagle wybuchając śmiechem, zawraca do zamienionego w ognisko regału.

- Telefon! - krzyczy Broniś. - Niech pani natychmiast dzwoni po straż, do dyżurnego, ja spróbuję otworzyć hydrant. Jeszcze da się uratować!...

- Nic się nie uratuje, nie chcę ratować, niech ginie, niech się pali!

Wariatka! Ona chyba oszalała! Przecież Biblioteka w niebezpieczeństwie ... batignole...

Broniś nie myśli już o pogoni za kluczem. To teraz nieważne. Najważniejsze ratować zbiory: a więc telefon i hydrant.

Telefon. Jakże te sekundy się wloką! Dyżurny upił się czy co, u licha? Śpi jak kamień. Cholera! Czyż nigdy się nie dodzwoni?

- Halo... słyszy mnie pan dobrze?... pożar w starym magazynie. Tak! Pożar! Jaki

kawał, do jasnej cholery! Pali się! Mówię chyba wyraźnie! W starym magazynie. Gdzie? Tu, w Bibliotece Narodowej! Osioł! Pali się, rozumiesz, człowieku?! Boże, co za kretyn! Mówię wyraźnie: pali się w starym magazynie, trzeba natychmiast wezwać straż pożarną... Natychmiast!

Histeryczny chichot Klary, stłumiony barykadami regałów, dobiega już z drugiego końca sali.

211

– Wszystko na nic! Nie wpuszczę straży! Ja mam klucz, klucz, klucz!

Broniś dopada ściennej szafki z hydrantem. Czy tylko wąż dostatecznie długi? Czy dosięgnie?

Po chwili strumień wody z sykiem dotyka płomieni.

Zza regałów wynurza się panna Michałowska. Jakże zmieniona! Czarny kok rozpadł się podczas bieganiny, lśniąca pasma prawie aż granatowych włosów powiewają dokoła wykrzywionej twarzy. W tej chwili nie ma w niej nic pięknego, jest straszna jak głowa Gorgony.

– Po co to? I tak wszystko spłonie. Straż nie wejdzie, drzwi mocne, nie dam klucza. Niech się pali, tak chcę!

Broniś manewruje węzem wyrzucając jednocześnie książki z zagrożonych półek. Ręce ma poparzone, rozdarta marynarka. Ciągnie węża do regału przy stole, gdzie zaczyna się nowa niszczycielska robota płomieni. Książki ociekają wodą, ale tak lepiej, bezpieczniej. Mokre skórzane oprawy błyszczą jak nowe, konserwatorzy będą mieli nie lada kłopot z suszeniem.

W wylocie książkowego korytarza pojawia się zielona postać. Jak żałośnie wygląda jasny kostiumik w plamach! Postać podnosi rękę z kluczem.

– Widzisz – syczy – to klucz. To ratunek, ocalenie. Ale ja ci go nie oddam, żadne z nas stąd nie wyjdzie, nie chcę wyjść bez kartki przeora. Zostanę z nią razem, jest moja!

Klucz, wyrzucony całą siłą w górę, pada gdzieś na wysokie regały, grzęźnie w miękkich grzbietach książek. Nie słyhać żadnego dźwięku, żadnego stuku czy szelestu. Nic. Po prostu nie ma go, przepadł.

W sali coraz więcej dymu. Lamy owinięte gazą przyćmionego światła. Oczy pieką, w gardle dusi. Ręce trzymające tętniącego wodą węża mdleją z wysiłku. Gdzież ta straż?! Jasnozielony kostiumik w czarne pręgi miga to tu, to tam wśród płomieni. Nagle Broniś spręży się do skoku, rzucając

212

jednocześnie węża. W rękę Klary znowu zapąki! Chwyta cienkie ramię, wyszarpuje małe pudełeczko.

– Co pani robi? Pani zwariowała! Batignole! Przecież to przestępstwo! Odpowie pani za to przed sądem! Rozumie pani!

– Spalą się wszystkie, spalą się właśnie dlatego, że batignole. Nie ma już nikogo, nikogo, komu trzeba by zostawić... a ja odnajdę kartkę przeora, jest tam, wysoko...

Nieprzytomna? A może ona nigdy nie była całkiem normalna? Ale właśnie... kartka przeora... zupełnie o niej zapomniał. Co robić?!

Raptem ze środkowego regału wystrzelają ogniste race. A więc to nie koniec. Broniś znowu rzuca się w ogień, wyszarpuje cenną zawartość półek. Całe naręcze książek leci w bezpieczne miejsce, fruwają luźne kartki. To nic, potem się uporządkuje, teraz byle ratować, byle dalej od ognia...

Regały zaczynają niepokojąco trzeszczeć.

– Trudno – chaotyczne myśli gonią jedna drugą – spalą się, to się robi nowe, tym razem metalowe, tak przewiduje regulamin. Byle uratować książki! Jakże te ręce pieką! Ile czasu jeszcze wytrzyma?! Co z tym dyżurnym? Dlaczego nikt nie przychodzi?

Huk padającego regału, huk i krzyk jednocześnie – przenikliwy i świdrujący, raczej pisk.

Broniś rzuca węża tryskającego wodą i, przeskakując sterty książek, pędzi na miejsce katastrofy. Nie, to nie regał, to największa podwójna drabina. Ale skąd ten pisk? Wciśnięty między szczeble a bok regału zielony kostiumik, zmięty jak szmata, blada twarz oblepiona czarnymi kosmykami, zamknięte gwiazdziste oczy. Boże, jaka ciężka ta drabina. Broniś z trudem wydobywa bezwładne ciało, odnosi je na bok. Co się właściwie stało? Dlaczego Klara nie daje znaku życia? Na skroni, pod włos-

213

mi, rozcięcie, kilka kropel krwi... Czyżby od tego? Poruszają się usta, choć oczy pozostają zamknięte.

– Piękne, wspaniałe życie... Nienawidzę pana... I to wszystko. Nic więcej. Broniś bezwiednie trzyma w swej dłoni dziwnie miękką, wypielęgowaną rączkę. Taka wąska i długa, brudna teraz, w kurzu i sadzy... Czerwona emalia paznokci połyskuje jak świeża, nie zakrzepła krew.

Nie! To nieprawdopodobne. A może to wszystko sen?

W otwartych drzwiach magazynu błyska hełm strażaka. Za nim wyłania się pobladła twarz dyrektora Biblioteki.

Broniś powoli podnosi się z kolan.

– Chyba nie żyje... – słyszy własne słowa jak z oddali

– ...nie wiem zresztą... Gasiłem w tym czasie... Prędeż!...

– i chwyta sikawkę.

20

Z ponurą twarzą siedzi przy stole zastawionym smakołykami ciotki Zuzanny. Z troskana ciotka krząta się koło stołu, podając bratankowi to masło, to bułeczki, ale Broniś odsuwa talerz. Nie przełknie ani kęsa.

– Czy nie lepiej powiedzieć dyrektorowi prawdę?

– Nie, ciociu, o Klarze nie mogę. Wszystko inne tak, to swój chłop, zrozumiał, powiedział, że postara się załatwić z milicją, żebym był spokojny... Ale Klara...

nie, nie, to niemożliwe.

– Wiesz, chwilami myślę, że jest w tym jakaś sprawiedliwość losu. Jej życie za życie dziada Aleksandra... I patrz, jakie to dziwne, tak samo trafiona w skroń...

A ty zwyciężyłeś i skarb uratowany. Chociaż... żal biednej dziewczyny... umarła w nienawiści...

214

– Umarła... Trudno wprost uwierzyć... Już nigdy nie wejdzie do starego magazynu.

Ale ja uszanuję wolę dziada. Pamięta ciocia, co pisał? Ze względu na rodziców Barna, na dom, gdzie przyjmowano go jak syna, nie chciał oskarżyć przyjaciela nawet przed Zygmuśkiem... i ja też – Klary...

– Więc nie powiedziałaś dyrektorowi?

– Okropna sytuacja! Dyrektor i ten z milicji oczywiście po pierwsze pytali, skąd wzięliśmy się w nocy w Bibliotece, kto podłożył ogień i tak dalej. Co miałem mówić? Plotłem trzy po trzy, a potem oznajmiłem dyrektorowi, że opowiem wszystko, ale tylko jemu samemu. Ten z milicji nadspodziewanie łatwo zgodził się i poszliśmy na górę do gabinetu. Cała Biblioteka oświetlona, wszędzie pełno strażaków... miotali się po piętrach jak wariaci... powtarzałem, że paliło się tylko w starym magazynie, ale nie chcieli słuchać, wszystko sprawdzali. A potem zostaliśmy sami z dyrektorem. Był naprawdę bardzo miły i życzliwy... Widział zresztą, w jakim byłem stanie... półżywy... Ale on zawsze taki... Nie to, co ten z milicji... dla niego jestem podpalaczem i mordercą...

– No, widzisz. Jeśli nie powiesz prawdy, będą cię podejrzewać. Tak się o ciebie boję, dziecko!

– I tak będą mnie podejrzewać, a w prawdę mogą nie uwierzyć. Klara nie żyje... jestem jedynym podejrzanym...

Ciotka Zuzanna podnosi do oczu chusteczkę.

– Czemu nie powiedziałaś?...

– Dyrektorowi powiedziałem wszystko... w każdym razie lwia część prawdy...

– Co powiedziałeś?

– Kiedy zostałem z nim sam w gabinecie, powiedziałem, że wśród batignoli odnalazłem przypadkowo książki z biblioteki mego pradziadka, Aleksandra, powstańca z sześćdziesiątego trzeciego roku, emigranta w Paryżu; że dziad pozostawił w niektórych egzemplarzach niezwykle interesujące notatki rodzinne oraz napomknął o skarbie. To rozпалиło moją cieka-

215

wość i zacząłem poszukiwać dalszych informacji. Tak dowiedziałem się, że przed stu laty, uciekając spod szubienicy, dziad, zanim udał się na wygnanie, ukrył w jakimś klasztorze powierzony sobie skarb powstańczy, że dokonał tego wraz z przyjacielem, Barnabą Michałowskim; że pracująca u nas panna Klara Michałowska okazała się prawnuczką tegoż Barnaby i także poszukiwała skarbu. Ale o tym dowiedziałem się później. No i że ostatnia wskazówka dziada odsyłała nas do

czwartego tomu „Roczników Polskich”. Znaleźliśmy to dzieło, lecz bez czwartego tomu. Jak ciocia widzi, dotąd nie ma w tym ani jednego słowa, które nie byłoby ściśle zgodne z prawdą. To samo mógłbym powtórzyć pod przysięgą. Teraz dopiero mylnie zinterpretowałem dalsze fakty, a mianowicie dałem do zrozumienia, że tego czwartego tomu poszukiwaliśmy wspólnie i całą akcję prowadziliśmy w jak największej zgodzie, że jednym słowem była to współpraca. Potem dodałem, że panna Klara dorobiła klucz do starego magazynu, co jest przecież prawdą, gdyż uznała, że zbyt wolno posuwamy się naprzód, nie mogąc swobodnie w dzień prowadzić naszych poszukiwań; że wobec tego postanowiliśmy pracować nocą. I tego właśnie wieczoru pierwszy raz skorzystaliśmy z naszych możliwości. Szczęście nam dopisało, gdyż odnaleźliśmy kartkę przeora z ostateczną wskazówką. Chcieliśmy oddać skarb narodowy we właściwe ręce, jak tego życzył sobie dziad Aleksander...

– I co na to dyrektor?

– Dyrektor nie przerwał mi ani razu, tylko palił papierosa za papierosem... a potem zapytał, dlaczego nie przyszedłem z tym do niego. Więc odpowiedziałem, że sam pragnąłem dokonać tak doniosłego odkrycia, że to było pasjonujące zadanie, że w tej nudzie... no i w ogóle, coś tam jeszcze się mądrzyłem... Ale zrozumiał. Poklepał mnie po ramieniu. Powiedział: „Tak, tak, mój synu, ja też w swoim czasie szukałem skarbu”.

216

– Ale myślisz, że naprawdę ci uwierzył?

– Dlaczego miałyby nie uwierzyć? Przecież dotąd wszystko potwierdzają fakty. I ja mówiłem, że mogę notatki dziada w każdej chwili pokazać. Dodałem jeszcze, że chciałem egzemplarze z notatkami dziada zatrzymać na własność, dziad bowiem nie ofiarował swego księgozbioru bibliotece Szkoły Polskiej, tylko oddał na przechowanie. Wyraźnie mówi o tym w liście do syna, który również pokażę. Czego ciocia jeszcze chce? Z wyjątkiem tego o Klarze wszystko istotnie jest prawdą.

– Mój drogi, nie bądź naiwny. Pożar w Bibliotece Narodowej to nie zaproszenie ognia w budce „Ruchu”. To sprawa w skali państwowej i oboje wiemy, że tak łatwo się nie wykręcisz... Ponadto tragiczna śmierć tej Klary... Możesz być oskarżony o morderstwo... Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Gdy zaczną badać, dochodzić, Sylwester zezna wszystko przeciwko tobie... Prawdę mówiąc – ciotka odruchowo ściszyła głos – dziwię się, że siedzisz w domu nad talerzem jajeczniczy zamiast gryźć słomę na więziennej pryczy.

– Oni by mnie na pewno zatrzymali, gdyby nie poręczenie dyrektora – przyznał się wreszcie Broniś. – Ten facet z milicji powiedział mi to wprost. Uprzedził mnie też, że do wyjaśnienia sprawy nie wolno mi się ruszać z Warszawy.

– No, widzisz, widzisz! Nie możesz utracić zaufania dyrektora. To cały twój ratunek. A dyrektor za mądry, nie da się tak łatwo oszukać. Postępujesz jak głupiec, ukrywając przed nim część prawdy, do tego jak nieuczciwy głupiec. I w końcu co z tą nieszczęsną Klarą? Nie bardzo rozumiem twą grę. Jaka jej przeznaczyłeś rolę?

– Jej? Naturalnie rolę bohaterki. Zbyt piękna na podrzędną figurę. „Piękność jest wszystkim” powiedziała tej nocy... Ciągłe mam to zdanie w uszach... W ogóle gdyby można było coś cofnąć z tego, co zaszło...

Ciotka poruszyła się niecierpliwie.

15–Cień dłuższego.

217

– Słuchaj, chłopcze, nie odbiegajmy od tematu, czy ty ze mną tak samo rozmawiasz jak z dyrektorem?

– Dyrektorowi powiedziałem, że Klara po bohatersku walczyła z pożarem, nie dbając o życie; że choć kazałem jej opuścić magazyn, nie usłuchała... zawadziła o drabinę, a ta padając uderzyła ją w skroń... tak przynajmniej tłumaczę sobie katastrofę, gdyż w owej chwili znajdowałem się w drugim końcu sali. Cioci naturalnie to nie wystarczy.

– A myślisz, że wystarczyło dyrektorowi?

– Lekarz milicyjny stwierdził jako powód zgonu silne uderzenie w skroń. Na drabinie znaleziono ślady krwi i trochę włosów... Myślę, że ta sprawa nie nastręczy milicji żadnych trudności; w tym wypadku moja wersja pokrywa się całkowicie z rzeczywistością. Gorzej z pożarem...

– Właśnie, z pożarem. Jak to wytłumaczyłeś? Broniś pochylił głowę.

– To bardzo twardy orzech. Sam jeszcze nie wiem...

– Więc nie wytłumaczyłeś?

– Mówiłem cioci, jakie mam skrupuły... Dziad Aleksander nie życzył sobie...

Dyrektorowi powiedziałem, że nie wiem, skąd wziął się ogień w magazynie. Na szczęście zapalek odebranych Klarze nie znaleziono... Zdaję sobie zresztą sprawę, że gdyby nie dyrektor, byłbym już aresztowany... Zaręczył za mnie, powiedział, że w każdej chwili będę do dyspozycji śledztwa... Przyszło mi nawet do głowy, by powiedzieć prawdę, nie oskarżając jednak zmarłej, wyznaczyć na przykład, że ktoś trzeci zakradł się do magazynu, kto pragnął zawładnąć skarbem... Klucza nie było w torebce Klary, rzuciła go przecież wysoko, na górne półki... Może tam przeleżeć wiek, zanim znajdzie go jakaś sprzątaczką z odkurzaczem... Ale potem rozmyśliłem się w obawie, by nie posądzono Sylwestra lub innego Bogu ducha winnego człowieka... Po południu czeka mnie ostateczna rozmowa z dyrektorem... Nie wiem, co po-

218

wiedział temu z milicji, że puścili mnie do domu. Dyrektor, niestety, zechce poznać całą prawdę...

– Wcale mu się nie dziwię.

– Cały czas mówi ciocia tonem tego z milicji... a mnie doprawdy bardzo ciężko...

– Wiem, wiem i dlatego martwię się o ciebie... Jesteś pod wrażeniem tej dziewczyny i jej tragicznego końca. To zupełnie zrozumiałe. Boję się jednak, że ci nie uwierzą... że sam zapłaczesz się we własne kłamstwa... Mogą być z tego grube nieprzyjemności, wierzaj mi, Bronisiu, jesteś jeszcze młody...

– Czy młodość to synonim głupoty? Powiedziałem, że coś wymyślę...

– Po co wymyślać, kiedy gotowa prawda najlepiej oczyści cię z wszelkich zarzutów...

– Tak ciocia sądzi. A ja jestem przeciwnego zdania. Nikt nie uwierzy, gdy powiem, kim naprawdę była Klara. Maską idealnego pracownika nauki zbyt ciasno przylegała do jej pięknej twarzy. Tylko ja jeden wiem, co myślała, dlaczego wybrała Bibliotekę. Jeżeli powiem prawdę, wyjdę na oszczercę. Zmarła nie może się bronić, a przecież rzeczywistość przeszła najśmielsze nawet wyobrażenie.

– Nie trzeba tego rozgłaszać, jednak dyrektorowi... to człowiek dyskretny i taktowny...

– A życzenie dziada Aleksandra? Ponadto nie zapominajmy o naszym celu: kartka przeora daleko. Widziałem ją, ale czy odnajdę? Po południu mam się stawić u dyrektora. Być może zaproponuję mu pewien układ. Powiedział: „Proszę się wyspać i zjeść dobre śniadanie, czekam o czwartej. Muszę poznać całą prawdę”.

– Więc widzisz, sam dyrektor stara ci się pomóc, następczając okazję do szczerej rozmowy. Trzeba powiedzieć, jak było i prosić o dochowanie sekretu.

219

– Ale to będzie niełojalnie.

– Wobec kogo? Wobec Klary? Przecież chciała cię zastrzelić.

– Klara nie żyje: umarła najpiękniejsza dziewczyna i zapewne drugiej takiej nie ma na świecie...

– Zwariowałeś – przerwała cierpko ciotka. – Jej tragiczna śmierć pomieszała ci w głowie. Zastosuj się lepiej do rady dyrektora i wypocznij. Obawiam się, że czekają cię niełatwe dni.

– Wiem, ale muszę znaleźć wyjście z tej sytuacji. Klary nie będę oskarżał, to pewne...

•

O czwartej w Bibliotece Narodowej bywał najmniejszy ruch. Pracownicy wychodzili o trzeciej i dyżurni zajmowali zwykle stanowiska w Katalogu i czytelni. Broniś, nie spotkawszy nikogo znajomego, minął wielki, mroczny hall i głównymi schodami ruszył na pierwsze piętro od gabinetu dyrektora. W pokoju sekretarki natknął się na milicjanta w cywilu – widział go już przedtem w uniformie. Milicjant siedział przy biurku nieobecnej o tej porze panny Hanki i coś pilnie przepisywał z dużego arkusza. Gdy Broniś wszedł, podniósł się natychmiast, zamknął notatnik i zakręcił wieczne pióro. Broniś zatrzymał się niezdecydowany.

– Pan dyrektor czeka już na pana – powiedział swobodnie milicjant. – Niech pan wchodzi.

Dyrektor stał przy oknie, odwrócony plecami. Twarz miał zatroskana.

– Ciągłe siedzi tu ten milicjant? – Broniś wskazał pokój sekretarki.

– Tak, to porucznik Janowicz, bardzo miły zresztą człowiek. Właśnie ustalaliśmy straty...

– Czy... czy wiele książek spłonęło?

- Nie bardzo. Więcej użyło kąpieli.
- Mógłbym zobaczyć?...
- Nie, stary magazyn dla wszystkich zamknięty. Wydałem zarządzenie.
- A... ona?
- Zwłoki panny Michałowskiej przewieziono do gmachu medycyny sądowej.
(Więc sekcja... Czyba nie uszkodzą pięknej twarzy? Nigdy by się na to nie zgodziła...)
- Sekcja wykazała, iż zgon rzeczywiście nastąpił wskutek uderzenia w skroń. Natomiast badanie mózgu wykryło, że w chwili śmierci biedna dziewczyna nie była przy zdrowych zmysłach. Może strach, wstrząs wywołany pożarem... Jak pan sądzi?
- Tak, to możliwe... Była... była bardzo... podniecona, ale chyba się nie bała...
- Jest tylko dalsza rodzina. Skontaktowałem się już z jakimś kuzynem, mówił coś o Powązkach...
- Tak, panie dyrektorze, rodzina Michałowskich ma swój grobowiec, znam miejsce...
- Pogrzeb za kilka dni... No więc jak tam, młodzieńcze, z tym pożarem?
- Tak jak panu dyrektorowi mówiłem. Nie wiem, skąd się wziął ogień... Stałem na drabinie i w pewnej chwili ujrzałem płomienie na półce jednego ze środkowych regałów.
- To samo powie pan milicji?
- To samo, panie dyrektorze.
- Przypominam, że spotkaliśmy się na szczerą rozmowę. Chcę wiedzieć, jak było naprawdę, nie interesuje mnie, co pan zezna na śledztwie.
- Wiem, że milicja mi nie uwierzy, tak samo jak pan...
- Czy to pana dziwi? Jeżeli więc nie mamy sobie nic do powiedzenia...
- Mam wiele do powiedzenia panu dyrektorowi. - Bro-

- (niś położył na brzeżku biurka wypchaną teczkę. - Tu są książki z notatkami dziada Aleksandra, mego pradziadka, powstańca, dotyczące skarbu.
- Więc to nie bajka?
- Czyżby pan wątpił, panie dyrektorze? Zdawało mi się dziś rano...
- Dziś rano i mnie zdawało się inaczej. Z chwilą jednak, gdy postanowił pan milczeć... Czyba zdaje pan sobie sprawę, co znaczy pożar w Bibliotece Narodowej? Pożar, który pociągnął za sobą śmierć pracownicy...
- Tak, wiem, ale sądziłem...
- Pana szczęście, że straty nie są duże. Jednakże wszystkie zbiory były w niebezpieczeństwie i mogły pójść z dymem. A najważniejsze: śmierć panny Michałowskiej.
- Przecież jej nie zabiłem! Zajęty byłem ratowaniem ba-tignoli i przez myśl mi nie przeszło, że ta drabina... że panna Klara spowoduje taki tragiczny wypadek...
Biegał po magazynie, pomagała opróżniać półki... wtedy musiała potraścić drabinę...
- Dowiedziałem się, że pan nie pali. Panny Michałowskiej też nikt nie widział z papierosem. Zakładając więc nawet, że to, co powiedział pan o skarbie i o waszych nocnych poszukiwaniach, jest prawdą, skąd wziął się w magazynie ogień? Podpalono książki w kilku punktach sali. Jak pan to wytłumaczy?
- Nie potrafię, panie dyrektorze. Ale musi pan uwierzyć, że tego nie zrobiłem. Na to przysięgam.
- Nawet jeśli ja panu uwierzę, milicja zażąda wyjaśnień.
- Czy nie można by... tak przedstawić sytuację... tak podać fakty... by wyglądało...
- By stworzyć pozory prawdopodobieństwa? Czy to pan chciał powiedzieć?
- Tak, panie dyrektorze.

- I to ja miałbym rozmawiać z milicją i podawać te fak-ty?
- Jeżeli mógłbym prosić...
- Jednym słowem mam się stać pańskim współnikiem? Nie znając prawdziwego biegu wypadków mam pokrywać zbrodnię? Bo to zbrodnia. Widocznie pan się nie orientuje, co przedstawiają dla narodu zbiory naszej Biblioteki?
- Wiem o ich bezcennej wartości. To batignole...

- Otóż właśnie: powierzone pańskiej pieczy batignole.
- Panie dyrektorze...
- Słucham.
- Panie dyrektorze, jeśli to byłoby możliwe...
- Gdybym znał prawdę, gdybym wiedział, co kryje się za pańskim upartym milczeniem...
- Ale ja nie milczę, panie dyrektorze, wszystko panu powiedziałem! Cóż pocznę, jeśli sam nie potrafię zrozumieć... To mnie zaskoczyło, stało się tak nagle! Siedziałem na drabinie. Gdy ujrzałem, że się pali, nie myślałem, skąd się wziął ogień w magazynie... Rzuciłem się na ratunek... Zerwałem hydrant... telefonowałem do dyżurnego, kazałem sprowadzić straż pożarną... Pan mi nie wierzy?
- Jest jeszcze inna sprawa. Za co nienawidzi pana magazynier Sylwester? Jego zeznania są bardzo obciążające, oskarża pana o najgorsze...
- Tak, wiem, ale...
- Co mu pan zrobił?
- Ja? Nic, panie dyrektorze. Nie lubi mnie... ale to zrozumiałe... Panna Michałowska przychodziła stale do magazynu... też prowadziła poszukiwania... No i Sylwester pomagał jej wybierać książki. Był zawsze bardzo grzeczny, a ona taka piękna... W całej Bibliotece nie ma równie wspaniałej dziewczyny. Pan dyrektor chyba zauważył? Więc przypuszczam, że Sylwester... no, że przewróciło mu się w głowie... sądził...

223

- miał nadzieję... jednym słowem był nieprzytomnie zakochany. I nie lubił mnie, uważał pewnie za rywala, choć ja... Panna Michałowska traktowała mnie po koleżeńsku, jak innych, ale to mu się nie podobało. Był wściekle zazdrosny... a ja też ciągle w starym magazynie, więc mu się zdawało...
- Jan Sylwester zeznał, że panna Michałowska skarżyła się, jakoby przeszkadzał jej pan w pracy.
- Nie zwierzałyśmy się mu z naszych zamiarów, zresztą zaślepiała go zazdrość. Był w niej naprawdę zakochany.
- Bardzo możliwe. Gdy dowiedział się o jej śmierci, nie potrafił opanować rozpacz. Płakał jak kobieta, a potem nazwał pana mordercą.
- Mnie?...
- No cóż, milicja musi poszukiwać winnego.
- Wiem, ile panu zawdzięczam, panie dyrektorze. Uratował mnie pan od więzienia. Od początku okazał wielkie zaufanie, powierzył opracowanie batignoli...
- Miałem do pana zaufanie.
- Miał pan. A teraz?
- Teraz nie wiem, co myśleć. Gdyby jeszcze panna Michałowska żyła, prawdopodobnie dałaby nam rozwiązanie zagadki.
- Prawdopodobnie.
- A więc jest zagadka?
- Jest skarb, panie dyrektorze.
- Skarb...
- Tak, skarb, ukryty sto lat temu przez powstańców. Oto notatki dziada Aleksandra.

Dyrektor bierze podawane książki, rozkłada poźółkłe arkusiki. Nie ma tam nic przeciwko przyjacielowi Barnabie. Broniś dokonał selekcji, nie przyniósł oskarżycielskich dokumentów. Jest natomiast niepokój o całość przechowanego depozytu, lęk, by ktoś niepowołany nie położył ręki na kartce przeora.

224

- Dyrektor długo czyta, ogląda książki, przewraca strony. Milczy.
- No dobrze - odzywa się wreszcie - wszystko to jednak nie tłumaczy pożaru.
- Pragnąłem przekonać pana dyrektora, że skarb nie jest fikcją...
- Wierzę, wierzę, już mnie pan przekonał. Stare książki kryją niejedną tajemnicę. Więc odnalazł pan kartkę przeora?
- Odnalazłem.
- Nie widzę jej wśród tych książek.
- Bo jej tu nie ma. Dyrektor unosi wysoko brwi.
- 0 - Więc gdzież ona?
- W starym magazynie.
- W starym magazynie - powtarza dyrektor powoli. - No, to dobrze jest ukryta.
- Doskonale. Ocalała z pożaru^ mam nadzieję, że i nadal jest bezpieczna.

- Cóż pan zamierza?
 - Zgodnie z wolą dziada oddać skarb we właściwe ręce. To mój obowiązek.
 - Ale bez kartki przeora...
 - Bez kartki przeora skarb jest nieosiągalny – przerywa Broniś.
 - No, skoro mamy ją w starym magazynie i jak pan twierdzi nietkniętą pożarem, to nic łatwiejszego jak...
 - Rzeczywiście nic łatwiejszego – Broniś znowu wpada w słowa dyrektora – niestety, dziad ukrył ją bardzo starannie, użył nawet wybiegu...
 - Ma ją pan czy nie?
 - Nie mam. Została w magazynie. Ale ja jeden wiem, gdzie jej szukać.
 - Aha, pan jeden. Przypuszczam, że i panna Michałowska wiedziała, co?
- 225
- Tak, ale nie zdążyła jej zobaczyć, gdy wybuchł pożar. Panie dyrektorze, co pan zamierza dalej zrobić?
 - Ja? Nie powziąłem jeszcze ostatecznej decyzji.
 - Nie wierzy mi pan jednak, przypisuje najgorsze rzeczy... a wszystko odbyło się tak, jak powiedziałem. Dziad Aleksander w ostatniej wskazówce odesłał nas do czwartego tomu „Roczników Polskich z lat 1857–1861”. Mamy tego dwa egzemplarze batignolskie. Jeden kompletny, z autografem niejakiego pana Antoniego Kunickiego, drugi dziada, ale bez czwartego tomu. Długo szukaliśmy. Kosztem bibliotecznych zajęć przeglądaliśmy książka po książce, w nadziei, że brakujący wolumen zawieruszył się między inne tomy. I dopiero tej nocy... A wie pan, gdzie był? Oprawiony w okładkę innego dzieła. Moglibyśmy szukać drugie sto lat. Ale miałem szczęście. I nagle ten pożar...
 - Otóż to, znowu wróciliśmy do pożaru.
 - Nie moja wina, panie dyrektorze, jeśli nie udało mi się pana przekonać. Przedstawiłem wszystkie okoliczności towarzyszące katastrofie, więcej nie mam nic do powiedzenia.
 - I zostawi pan kartkę przeora?
 - Jeżeli nie mam wstępu do starego magazynu...
 - Czy mam rozumieć, że winę ponosi panna Michałowska?
 - Nigdy w świecie. Umarli zawsze są bez winy.
 - Więc kartka przeora...
 - Panie dyrektorze, pokażę panu kartkę przeora pod warunkiem, że załatwi pan z milicją, wyjaśni, co trzeba, aby dali spokój dalszym badaniom.
 - A więc to coś w rodzaju szantażu? Kartka przeora za pokrycie pańskiego milczenia?
 - Nie, nie tak... Błagam, panie dyrektorze, nikomu nie stanie się krzywda, Bibliotece nic nie grozi. Ale wszystkie pozory są przeciwko mnie i choć niewinny, w oczach milicji jestem jedynym potencjalnym winowajcą. Zdaję sobie doskona-
- 226
- le sprawę z mojej sytuacji, która właściwie jest bez wyjścia. Bo i jak wytłumaczę obciążające mnie fakty? Jak przekonam władze, jeśli prawda ma wszelkie cechy nieprawdopodobieństwa? Nie wiem, co zrobię. Pan jeden może mnie ocalić, inaczej jestem zgubiony. Kartka przeora odnaleziona i jeśli wpuści mnie pan do starego magazynu, dziś jeszcze mogę ją pokazać. Nie popełniłem żadnego przestępstwa, staram się tylko postąpić tak, jak sobie życzył mój pradziadek. Nie należy niepokoić umarłych, oni przecież nie potrafią się bronić.
- Czy to wszystko, co pisał do syna Aleksander Mączyński?
 - Nie.
 - A odnalazł pan resztę?
 - Odnalazłem. _?
 - Mam w domu, to ściśle rodzinne sprawy i chciałbym prosić pana dyrektora o pozwolenie zatrzymania tych kilku książek. Dziad przeznaczył je synowi. Dyrektor wstał.
 - No cóż – powiedział rzeczowo – role się zmieniły. Teraz pan trzyma mnie w szachu. Jeśli chcę odnaleźć skarb, nie mam wyboru: albo kartka przeora, albo milicja, skandal i inne nieprzyjemności. Skarb, własność narodu, ukryty sto lat temu, musi być zwrócony dziedzicom tamtych czasów. Dobrze więc, załatwię, co trzeba, ale chcę być pewnym, że bronię słusznej sprawy.
 - Jak najśluszej, panie dyrektorze, słowo honoru.
 - No to chodźmy do starego magazynu.

– Dziękuję, panie dyrektorze.

W korytarzu natykają się na pytające spojrzenie milicjanta.

– Mamy tu do przeprowadzenia maleńką wizję lokalną – głos dyrektora jest pewny, nakazujący posłuch.

Milicjant nie protestuje.

227

Dobrze znane, obite blachą drzwi. Z dużego pęku kluczy dyrektor wprawna ręką wybiera ten właściwy. Blask jarzeniowych lamp oblewa pożarowe pobojuwisko. Starannie wytarta parkietowa posadzka zachowała ciemne plamy wilgoci po świeżych kałużach. Inaczej tu niż zwykle! I panna Klara nie wejdzie stukając wysokimi obcasami. Broniś podnosi głowę. Na galeryjce wszystko po staremu, tam na szczęście nic się nie zmieniło. Ciszę przerywa dyrektor.

– No, młody człowieku, do dzieła.

– Tu ją rzuciłem, tę książkę, na ten wysoki regał, na najwyższe półki, byle dalej od ognia – wskazuje Broniś.

Razem ciągną drabinę, tę mniej szaj duża, przyczyna zgonu panny Michałowskiej, jest zabezpieczona i chwilowo nie wolno jej używać.

Broniś wspina się na sam szczyt. Dopiero z ostatniego szczebla udaje mu się zanurzyć rękę w czeluść górnej półki. Wytarta z kurzu oprawa dziwnie odbija od zapyłonych tomów.

– Nie zdażyła się jeszcze zakurzyć – mówi, wręczając dyrektorowi „Mowy i przemówienia” otwarte na trzysta trzydziestej siódmej stronie. – Oto kartka przeora, panie dyrektorze. Dotrzymałem słowa.

Jak też ta cela wyglądała sto lat temu? – Broniś wodził spojrzeniem po wąskiej, sklepionej komnacie o bielonych ścianach i małych oknach, głęboko wsuniętych w grube mury. – Pewnie w tych lichtarzach, które dziś ozdabiają proste, gładkie biurko, paliły się świece. (Dziad Aleksander i Barno przywieźli skarb przypuszczalnie nocą, takie rzeczy zwykle załatwiało się przy świetle gwiazd.)

228

Przeor, człowiek jeszcze niestary, z szeroką blizną na prawym policzku – pamiątka drugiej wojny światowej – ruchem ręki wskazał twarde, drewniane krzesła z wysokim, bogato rzeźbionym oparciem.

– Panowie pozwolą – zaproszenie zabrzmiało jak wojskowa komenda.

Pięciu mężczyzn usadowiło się półkolem wokół biurka.

Broniś spoglądał po obecnych. Czuł się bardzo onieśmielony, nic dziwnego, był przecież najmłodszy i najniższy rangą. Oto sympatyczna, energiczna twarz dyrektora, dalej dwaj wyżsi urzędnicy Ministerstwa Kultury i Sztuki, specjalnie delegowani przez samego ministra. Jeden starszy, z siwą głową, drugi młody, bardzo elegancki. Z brzegu major milicji, naturalnie w cywilu, dyskretnie cofnięty ku ścianie, no i marsowy przeor, w którym na milę czuć dawnego żołnierza.

Przyjechali poprzedniego dnia na zaproszenie przeora i teraz czekali na słońce. Mieli pięć dni czasu.

– Tak, proszę panów – przeor pokiwał głową – marmurowy krzyż istotnie stoi w ogrodzie. Wzniesiono go wkrótce po powstaniu listopadowym. To miejsce uświęcone krwią męczeńską naszych dwóch bohaterskich braci, rozstrzelanych przez Kozaków. Klasztor bardzo stary, liczy ponad trzysta lat i tylko dla grubości murów przetrwał wszystkie dziejowe nawałnice. Bogu dzięki Niemcy nie zdażyli wysadzić w powietrze głównego gmachu, ówczesny jednak przeor i pięciu braci zginęło w Oświęcimiu.

– Czy ksiądz przeor wiedział coś o skrytce? – Zdawało się, że dyrektor bada bliznę na policzku gospodarza.

– O tej nic. Mamy tu jeszcze jeden schowek, dziś znany wszystkim braciom. Grube mury łatwo wydrążyć, w ten sposób powstała doskonała kryjówka zdolna pomieścić dwóch ludzi.

– Ciekawe, dlaczego tam nie ukryto skarbu?

– Być może znało ją zbyt wielu braci. W takich spra-

229

wach lepiej jak najmniej świadków. Zresztą wskazuje na to i fakt, że zniszczono mechanizm i zamurowano wejście, pozostawiając jedyną tylko drogę do odzyskania depozytu.

– Człowiek, który tak postąpił, dobrze widać orientował się w sytuacji politycznej i nie liczył na szybką pomoc. Wiedział, że skarb długo przeleży w ukryciu, choć nie wiedział, w czyje trafi kiedyś ręce.

– Liczył na Opatrzność – zauważył z uśmiechem przeora – i nie zawiódł się.
– „Kartka przeora”, tak chyba i nadal będziemy nazywali ten dokument – dyrektor posłał Bronisiowi uśmiech i wziął z biurka czwarty tom „Roczników polskich”. Otóż to, kartka przeora, bolący, nabrzmiały wrzód, który gnębił Bronisia i psuł całą przyjemność niezwyklej wyprawy. Widział ją przelotnie tylko raz, wtedy w starym magazynie, w tragiczną noc pożaru i śmierci panny Klary. Potem, gdy ponownie odnalazł ukrytą książkę, dyrektor zawładnął niepodzielnie ceną zdobyczą; dyrektor i panowie z Ministerstwa Kultury i Sztuki, no i milicja, która także musiała wsadzić swoje trzy grosze w tak sensacyjne odkrycie. Dyrektor dotrzymał umowy, Bronisiowi dano spokój. Ten z milicji co prawda kręcił się jeszcze jakiś czas po Bibliotece i za każdym razem, gdy się spotkali, obrzucał Bronisia – tak mu się przynajmniej wydawało – podejrzliwym spojrzeniem, ale poza tym nie zwracano na niego żadnej uwagi. Nie zapomniał tylko Sylwester, wściekły, że oskarżenia jego nie przyniosły spodziewanego rezultatu.

– Tak mi przykro, ciociu – powiedział przed wyjazdem Broniś – pracowaliśmy razem nad tą zagadką, a teraz...

– Głupstwo, głupstwo. – Ciotka Zuzanna nie okazywała zawiedzionej ciekawości. – Pewnie, że rada bym zobaczyć na własne oczy tajemniczy klucz do groty hrabiego Monte Christo, ale cóż, nie mogłeś inaczej postąpić. I tak wszystko ułożyło się nadspodziewanie dobrze, to zasługa dyrektora

230

i winienieś mu wdzięczność. Byłam o ciebie bardzo niespokojna...

– Tak chciałem przynieść tę książkę do domu, żeby razem z ciocią przestudiować wskazówkę przeora. I nie udało się... Doprawdy chciałem...

Niestety, czwarty tom „Roczników polskich” pozostał własnością Biblioteki, bezcennym cimedlium przechowywanym dla przyszłych pokoleń w pancernym sejfie, na który sam minister i władze biblioteczne miały w tym momencie zwrócone oczy. Dyrektor zezwolił natomiast Bronisiowi zatrzymać resztę książek dziada Aleksandra z notatkami powstańca, motywując ten dar „wola pierwotnego właściciela księgozbioru, jak również tym, że książki te miały już swoje dublety w zbiorach Biblioteki Narodowej oraz nie przedstawiały specjalnej wartości bibliofilskiej”.

– Może obejrzymy raz jeszcze „kartkę przeora”? – zaproponował dyrektor, podając ciemnooprawny tom siwemu panu z ministerstwa, którego tytułowano radcą.

Dzięki temu upragniony papier trafił do rąk odkrywcy. Należało prędko nauczyć się całego tekstu na pamięć, wbić do głowy słowo po słowie, by potem odtworzyć w domu i podzielić się z ciotką rewelacyjną treścią.

Przyjemność niestety nie trwała długo.

– Może byśmy odczytali głośno? – Nowa propozycja dyrektora.

Elegancki urzędnik z Ministerstwa Kultury i Sztuki skwapliwie pochwycił podawaną przez majora milicji książkę.

Broniś przymknął oczy.

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Na tyłach naszego Domu, w ogrodzie, stoi marmurowy krucyfiks, smutna dla naszego klasztoru pamiątka. Ramiona ma nierównej długości. Dłuższe ramię wskazuje skrytkę, przygotowaną przed trzydziestu laty, w czasach łez i krwi naszego na-

231

rodu, dla przechowania ważnych dokumentów i ratunku ukrywających się spiskowców. Dopóki Bóg na nas niełaskaw i daleka pora wyzwolenia, potrzebne nam sekretne miejsce na sprawy, które wielu grozić mogą śmiercią. Po złożeniu tego ostatniego depozytu, wejście do schowka będzie zamurowane i mechanizm zniszczony, a ukrytą teraz skrzynkę tylko w jeden sposób odzyskać będzie można. Od szóstego do dziesiątego lipca o godzinie dziewiątej, w dzień słoneczny, cień dłuższego ramienia krzyża, podając na ziemię wskaże miejsce, gdzie należy kopać.

Najdokładniejszą będzie wskazówka z ósmego lipca, lecz klimat nasz nie zawsze zsyła słońce o tej porze, dlatego dwa dni poprzedzają i dwa dni następują po tej dacie. Gdy kopać ósmego lipca, to koniec dłuższego ramienia krzyża wypadnie prosto na rączce stalowej kłapy. Korytarz podziemny doprowadzi do celu. Skrzynka dostoi bezpiecznie do Sądu Ostatecznego, jeśli taka Wola Boża. A wy, bracia, którzy po latach wypełnicie to zlecenie, użyjcie skarbu na chwałę Ojczyzny naszej. Szczęśliwi wy> gdyż wolni i w wolnym kraju żyjący. Niech Bóg będzie z wami.

Stary dokument odczytany młodym głosem eleganckiego urzędnika, zdawało się, ożył.

Tak jak gdyby sam autor przemówił do zebranych.

Pierwszy przerwał milczenie gospodarz.

– Bardzo sprytnie pomyślane – powiedział tym swoim wojskowym tonem. – Pamiętam przed laty podobną historię. W pewnej wsi stała figurka Matki Boskiej. Raz znaleziono na niej kartkę: „Szóstego maja o godzinie siódmej rano mam złotą głowę”. Gdy nadszedł ten dzień, rozbito głowę posągu, ale nic nie znaleziono. Głowę sklejono i czekano następnego maja. Dopiero po wielu latach jakiś nieznanomy, który tylko przejazdem był w tej wsi, wpadł na właściwy pomysł: oto szóstego maja o siódmej rano zaczął kopać w miejscu, gdzie padał cień głowy posągu i znalazł skarb: gliniany garnek pełen szczerozłotych monet.

232

– Ciekawe zdarzenie. Może jutro i nad nami ulituje się słońce. – Siwy pan z ministerstwa był optymistą. – I my też znajdziemy jakiś dzban ze złotem.

– Znajdziemy coś lepszego – wtrącił milczący dotąd major – w „kartce przeora” wyraźnie mowa o skrzynce.

– Dziad Aleksander wspomina o klejnotach – dorzucił Broniś przewyciężając nieśmiałość.

Dyrektor spoglądał w okno, za którym zamiast nieba szarzała jednostajnie płynąca rzeka chmur.

– Dziś nie ma nadziei na roz pogodzenie – zauważył przygnębiony – zresztą i tak za późno na kopanie. Zbliża się południe.

– Ha, czekamy lepszego jutra. – Siwego radcę trudno było wyprowadzić z równowagi.

– Czy ksiądz przeor wyobraża sobie, gdzie może znajdować się owe zamurowane wejście z tym mechanizmem? – spytał młody urzędnik.

– Nie, proszę pana, nie mam najmniejszego pojęcia i właściwie trudno mi nawet wyobrazić jakieś konkretne miejsce. Może gdzieś w podziemiach... Korytarz wówczas musiałby być niezmiernie długi. Mury grube, jak już mówiłem, być może któryś kamień, obracający się na osi, otwiera tajemne przejście łączące gmach klasztoru z krzyżem w ogrodzie.

– I proszę nie lekceważyć mechanizmu. – Major patrzył z uśmiechem na eleganckiego urzędnika. – Widziałem raz w pewnym zamku do dziś używaną skrytkę z osiemnastego wieku. Mechanizm działał bez zarzutu. Ruchomy fragment boazerii otwierał i zamykał kryjówkę – spory pokój.

– Tak, tak, tego typu kryjówki były konieczne w czasach wojen i najazdów – radca podał majorowi papierosa – ale czasem ktoś, kto korzystał z takiego ukrycia, pozostawał w nim na zawsze i po latach, przypadkiem odnajdywano jego kości. Zwiedzałem kiedyś stary zamek, zdaje się w Szkocji, i przewodnik pokazywał taką właśnie kryjówkę w murach

16–Cień dłuższego...

ZjD

starej baszty. Historia, którą wtedy opowiedział, wywarła ogromne wrażenie na zwiedzających. Najlepszy dowód, że pamiętam ją po tylu latach. Otóż dawno temu właściciele zamku wydawali córkę za mąż. Zjechało wiele gości, było huczne wesele, a potem młodzież urządziła zabawę w chowanego. Stare domostwo nadawało się idealnie do tej gry, zabawa, niestety, zakończyła się tragicznie. Panna młoda zginęła, wpadła, jak to się mówi, jak kamień w wodę. Przeszukano wszystkie zakamarki, cały zamek od piwnic do strychu, nie ominięto naturalnie starej baszty. Młody małżonek omal nie postradał zmysłów z rozpacz. I nie znaleziono. Dopiero po stu czy więcej latach, nie pamiętam już przy jakiej okazji, odkryto schowek w baszcie, a w nim szkielet kobiety...

– To się nazywa masywne budownictwo – pokiwał głową przeor. – Dziewczyna musiała krzyczeć, mimo to żaden dźwięk nie dotarł do szukających... Tak, tak, ta grubość murów... Taka kryjówka to grób.

• – Aby uniknąć podobnych tragedii, skrytka miewała przeważnie dwa wejścia. – Dyrektor zaciągnął się papierosem. – Inaczej stawała się rzeczywiście grobem. Przez całe pokolenia była rodzinną tajemnicą, znaną tylko głowie rodu.

– W tutejszym klasztorze interesującą nas skrytkę znał prawdopodobnie sam tylko mój czcigodny poprzednik, no i dwaj powstańcy, którzy dostarczyli skrytkę. – Przeor spojrział na Bronisia. – Oni jednak dochowali tajemnicy, nic bowiem w kronikach klasztornych nie wskazuje, by ktoś na tym terenie prowadził poszukiwania. Prawda, przez jakiś czas w części budynku stali Kozacy, ale bracia,

ściśnieni w oficynach, bacznie dawali na wszystko oko...

– Skarb czeka nietknięty – powiedział z mocą Broniś i zamilkł przerażony własną śmiałością.

234

Siódmego lipca cały dzień lało jak z cebra. Niebo miało listopadowy koloryt. Goście przeora snuli się po klasztornych korytarzach, spoglądając z napięciem w okna. Gospodarz oddał do ich dyspozycji bibliotekę, więc oglądali wspaniale iluminowane kancjonały, piękne starodruki oraz kilka płócien dawnej szkoły polskiej. Starannie unikano rozmowy o pogodzie. Nazajutrz, w ten najważniejszy dzień, określony w „kartce przeora” jako idealny do poszukiwań, deszcz co prawda nie padał, lecz słońce wyjrzało na krótką chwilę dopiero po południu. Napięcie rosło, goście unikali się nawzajem.

Obawiam się, że przyjdzie czekać do przyszłego roku – pisał Broniś do ciotki. Codziennie wysyłał kartkę – biuletyn meteorologiczny – informując o fatalnym stanie pogody i braku nadziei na słońce.

Dziewiątego było znowu gorzej: od rana ciężkie chmury koloru ołowiu i deszcz, który z krótkimi przerwami padał cały dzień. Ustał dopiero po północy. Nikt z oczekujących nie zmrużył oka. I nagle niespodzianka zdarzająca się w naszym klimacie: piękny, słoneczny ranek, prawdziwie „włoskie” niebo. Lipiec powrócił. Już o szóstej rano, uzbrojeni w łopaty, goście kręcili się wokół krzyża, snując domysły i przypuszczenia.

O wpół do ósmej braciszek poprosił na śniadanie, ale któż mógł jeść? Pachnący razowy chleb domowego wypieku, świeże masło, ser i miód pozostały nietknięte. Powodzenie miała tylko doskonała kawa ze śmietanką.

O ósmej wszyscy byli na stanowiskach. Cień krzyża ostro rysował się na ziemi, koniec dłuższego ramienia przyciągał spojrzenie obecnych.

Punktualnie o dziewiątej dyrektor i Broniś, major i elegancki urzędnik chwycili łopaty. Ministerialny radca kierował operacją. Przeor podniósł rękę i powiewając szerokim rękawem habitu nakreślił w powietrzu znak krzyża. Cień marmu-

235

rowych ramion gubił się w grudkach rozrzuconej ziemi; załamywał się w ostrzach łopat czysty rysunek dłuższego z nich. Broniś zagłębia szpadel, nasłuchuje, kiedy stal uderzy o żelazo. Młody urzędnik ociera czoło. Major kopie zaciekle, nie odrywając oczu od rosnącej jamy. Przeor stoi nieruchomo jak ciemny posąg na tle bogatej zieleni ogrodu.

– Teraz trochę w lewo – komenderuje siwy pan. Łopata dyrektora pierwsza uderza o metal, zatrzymuje się raptownie, by gorączkowo już powrócić do pracy. Za nią inne ze zgrzytem odkopują stalową płytę. W środku rączka uchwytu.

– Trzeba poszerzyć dół, inaczej nie dostaniemy się do kłapy.

Czterej mężczyźni pracują w milczeniu. Stalowe wieko Tajemnicy lśni w promieniach słońca.

– Wystarczy – woła siwy radca.

Wszyscy rzucają łopaty, jak gdyby zażenowani nagle faktem, że im właśnie przypadło zadanie pogwałcenia nie tkniętej przez sto lat kryjówki.

– Chyba podniesiemy klapę? – Młody urzędnik nie może dłużej pohamować ciekawości.

– Podniesiemy – odpowiada dyrektor i pierwszy schodzi do wykopu.

Mimo wspólnego wysiłku stalowa płyta ani drgnie: widać mocno zasiedziała w ziemi.

Dopiero żelazny drąg, wsunięty w zardzewiałą rączkę uchwytu, podważa wieko. Płyta odskakuje z głuchym odgłosem próżni, otwierającej się pod stopami. Z czarnej otchłani wyłaniają się stopnie. Schody. Mocne, kamienne stopnie prowadzą w głąb ziemi. Wieje chłodem i wilgocią.

– Schodzimy, księżę przeorze? – Dyrektor zanurza się rezolutnie w mroczną czeluść.

Siwy pan zostaje na powierzchni. Pochylony nad otworem słucha dudniących głosów towarzyszy.

236

Schody zupełnie wygodne, niezbyt strome, ciasno tylko jak w bardzo wąskiej studni. I zimno. I tak jakoś cicho. Broniś podnosi głowę, by spojrzeć na błękitny prostokąt życia, z głową siwego pana w słonecznej aureoli.

Wkrótce płatek nieba usuwa się gdzieś w bok. Ciemność, tylko migają latarki.

Zupełnie jak w czytanej niegdyś powieści Verne'a „Podróż do środka ziemi”...

Dwadzieścia dwa stopnie. Schody kończą się maleńkim przedsionkiem, od którego w

prawy biegnie podziemny korytarz. Elegancki urzędnik podnosi latarkę, oświetlając kamienne ściany galerii.

– Czy prowadzi do głównego gmachu? – pyta.

– Chyba nie – przeor z trudem orientuje się w podziemnej topografii – raczej w przeciwnym kierunku, może potem zakręci...

Korytarz rzeczywiście zakręca i to dwa razy. Przeor zupełnie traci orientację. Gładkie kamienne ściany poznaczone plamami wilgoci. Pod stopami twardo ubita ziemia. W górze sklepienie, podparte gdzieś przytulonym do ściany kamiennym filarkiem.

– Uwaga, znowu schody – woła w pewnej chwili dyrektor.

Na szczęście niewiele, sześć stopni w górę i korytarz, który nieznacznie się podnosi, a po dziesięciu mniej więcej metrach rozszerza się i kończy murem. Po obu stronach tej jak gdyby salki, pod ścianami dwie krótkie kamienne ławy. Na jednej spora skrzynka pięknie okuta, na drugiej płaskie, blaszane pudełko, używane dawniej do przechowywania tabaki.

Członkowie podziemnej ekspedycji cisną się wokół skrzynki.

– To skarb – mówi prawie z lękiem elegancki urzędnik. Przeor podnosi rękę.

– Panowie – głos biegnie korytarzem i zamiera gdzieś w głębi ziemi. – Obejrzymy najpierw pudełko.

237

– ??? – dodaje major – ksiądz przeor ma rację. Tu może znajdziemy cenną wskazówkę.

Trudno podnieść nadzarte rdzą wieko. Wewnątrz klucz, zardzewiały jak i pudełko.

– Pewnie od skrzynki – stwierdza dyrektor. – Piękna robota, proszę spojrzeć, jaki skomplikowany musi być zamek.

Klucz przechodzi z ręki do ręki. Każdy pragnie dotknąć wzruszającej pamiątki.

Major tymczasem obstukuje mur.

– To cienka ściana – mówi. – Za nią jest próżnia, znam się na tym. Mechanizm co prawda zniszczony i wejście zamurowane, ale łatwo skruszyć cement.

– Ten major – opowiadał potem w domu Broniś – pewnie nieraz przeprowadzał rewizje w złodziejskich melinach, wie, gdzie bandziory ukrywają łupy. Żeby ciocia wiedziała, z jaką wprawą wydrapywał cement scyzorykiem! Wszystkich nas ubielił. Eleganckik z ministerstwa skrył się w korytarzu, a potem godzinę otrzępywał ubranie. Swoją drogą uniknęliśmy powrotu podziemnym korytarzem, bo gdy major wydarł nowszą warstwę tynku, cegły okazały się ruchome. Widocznie przedtem, nim je scementowano, mechanizm w tym właśnie miejscu otwierał przejście. Pomagałem majorowi w robocie, pchaliśmy tę część ściany, gdzie cegły nie były spojne z resztą muru, no i otworzyły się jak gdyby drzwi. I niech sobie ciocia wyobrazi, gdzie się znaleźliśmy? W kominie, a raczej pod okapem wielkiego jak dom komina starej, nie używanej kuchni klasztoru, gdzie można było kiedyś upiec całego wołu z kopytami. Biedny przeor zupełnie stracił głowę i z trudem rozpoznał miejsce. „To przecież stara kuchnia!” – zawołał, gdy wy leżliśmy spod okapu i omal nie nadzialiśmy się na olbrzymi rożen. Dużo z tego było śmiechu.

Dyrektor z tym młodym z ministerstwa nieśli skrzynkę. Nie mogliśmy się od razu wydostać na świat, bo stara kuchnia

238

mieści się w osobnym budyńeczku. Wdrapałem się na okno umieszczone pod sufitem i zacząłem nawoływać. Po dłuższej chwili mój krzyk usłyszał jakiś przechodzący nie opodal braciszek. Gdy mnie zobaczył, tak się przeraził, że pognał jak opętany.

Na szczęście sprowadził pomoc. Przyniesiono klucz i wypuszczono więźniów. Potem jeszcze posłano mnie po radcę, który został nad wykopem. Był bardzo zdenerwowany,

bo nie słyszał głosów i myślał, że poginęliśmy w tej czeluści.

Skrzynkę otwarto w pracowni przeora. Oczyszczony z rdzy klucz pasował jak ulał i obracał się gładko w świeżo naoliwionym zamku. Ceremonii dokonał dyrektor wspomagany przez siwego radcę. Elegancki urzędnik protokołował przebieg uroczystości.

Gdy zdjęto kawałek czarnego aksamitu, którym przykryto niegdyś zawartość skrzynki, przed olśnionym wzrokiem obecnych ukazała się prawdziwa grota hrabiego Monte Christo. Czego tam nie było! Ciężkie złote bransolety i łańcuchy, sznury wspaniałych pereł, pierścienie, mieniające się wszystkimi drogimi kamieniami, jakie tylko wydała ziemia, kolie, które niegdyś ozdabiały może szyje księżniczek,

skromne ślubne obrączki, tym cenniejsze, że pewnie jedyne, broszki z kamei, brylantowe kolczyki, nawet stare złote monety z wizerunkami dawnych królów... Surowa klasztorna cęła rozbliżyła nagle jak zapalony kryształowy żyrandol. Na tle nagich, bielonych wapnem ścian zagrały kolory klejnotów z Sezamowego skarbcza.

– Sporządzimy teraz listę kosztowności – odezwał się wreszcie dyrektor, gdy minęło pierwsze oszołomienie widokiem takiego bogactwa. – Czyli mówiąc językiem bibliotecznym „przystąpimy do inwentaryzacji”.

– Doskonale – ucieszył się elegancki urzędnik i przygotował czysty arkusz papieru.

– Bracia nasi nie żalowali niegdyś dla sprawy narodowej. – Przeor poważnym wzrokiem szacował kosztowności.

239

– Nie wiadomo, czy i my, gdyby zaszła potrzeba, potrafilibyśmy okazać się równie hojni.

– To bezcenne rodzinne pamiątki. – Radca ujął delikatnie parę długich diamentowych kolczyków, zakończonych różową perłą w kształcie gruszki. – Dawali, co mieli najdroższego, rzeczywiście nie żalowali dla Ojczyzny.

Major pomagał opróżniać skrzynkę, układając klejnoty na szerokim biurku przeora.

– Wpierw chyba posegregujemy tę biżuterię? – Oficer milicji starał się nie okazywać wrażenia, jakie na wszystkich zrobił odnaleziony skarb. – Najbardziej pomocny byłby nam jubiler.

– Damy radę i bez niego – zaśmiał się siwy radca.

– Nie spodziewaliśmy się, co prawda, tak wspaniałego odkrycia, takich prawdziwie bajecznych skarbów Golkondy. No cóż, tym lepiej, zabawimy się w jubilerów. Do roboty, panowie.

Ułożone w osobne stosiki pierścionki, broszki, bransolety, kolczyki i łańcuchy, kolie i monety utworzyły na ciemnym blacie biurka siedem iskrzących się, migocących, jak gdyby ruchliwych i żyjących istot.

– Możemy spisywać. – Dyrektor wziął pierwszą z brzegu broszkę.

I tak zaczął się długi pochód kamieni, drogocenny poemat nazw, od których pojaśniało w celi: rubiny, szafiry, szmaragdy, brylanty i perły, ametysty i turkusy, topazy, opale i chalcedony, kornaliny i chryzolity, akwamaryny i herbowe krwawniki, ciężkie sygnety, krwawo połyskujące karbunkuły, olbrzymie solitery mieniające się jak zastygłe bańki mydlane.

– Markiza z brylantem. – rzucał dyrektor.

– Sygnet z krwawnikiem – odpowiadał major.

Od żaru kamieni, zdawało się, wszyscy dostali wypieków.

– Pierścień z brylantem. – Major podniósł wspaniałego solitera. – W oprawie używanej zazwyczaj do sygnetów.

240

– Przepraszam. – Broniś przewyciężył nieśmiałość.

– Czy wewnątrz jest łaciński napis?

– Łaciński napis? – zdziwił się radca biorąc pierścień z rąk majora.

– Tak. „Amor et Virtus”...

– Jest. Słabo widoczny, ale jest.

– Skąd pan wiedział? – W jednej chwili major przeistoczył się w myśliwskiego ogara.

– Stąd. – Broniś wyciągnął z kieszeni rozsypujący się tomik „Kazań Skargi”. – Jest tu pismo mego pradziada do syna, pisane w przeddzień śmierci. Czy mogę odczytać?

– Prosimy, prosimy – radca obracał w palcach brylant. Ty, synu, myśl o skarbie, odszukaj go i oddaj we właściwe

ręce. Niech służy sprawie, gdyż dla sprawy ofiarowano te cenne, rodzinne pamiątki, przechowywane nieraz od pokoleń. Jest tam pierścionek mego ojca, klejnot, pozostający od dawna w naszym rodzie. Poznasz go z łatwością: wielki brylant, niezwykle czystej wody w masywnym złocie, oprawa jak w sygnetach. Ojciec nosił go zawsze na małym palcu lewej ręki. Wewnątrz obrączki wryty łaciński napis, słabo już, czytelny, bo zatarty czasem i zużyciem: „Amor et Virtus”, – „Miłość i Męstwo”. Widzę jak dziś ojca, gdy zdjął z palca ten pierścień i rzucił do zgrzebnej torby powstańczego skarbnika. Pamiętam wyraz jego twarzy i slysze słowa, jakie wówczas wypowiedział: „Przyczyn się do zwycięstwa lub zgiń, ale nie ozdabiaj wrogiej ręki”. Musi spełnić się to życzenie, dlatego, Zygmusiu, weź go i noś, a kiedyś przekaż synowi. Przedtem jednak trzeba wykupić ten klejnot. Oszacuj więc kamień i zwróć należną zań sumę.

W ten sposób spełni swój obowiązek i będzie służył zwycięstwu.

Reszta państwa nie zainteresuje, to ściśle rodzinne...

– Broniś poszukał wzrokiem życzliwych oczu dyrektora.

– Tak, to pismo Aleksandra Mączyńskiego, mamy w Bibliotece Narodowej sporo jego autografów.

Siwy radca waży na dłoni pierścień z brylantem.

241

'ter ^powaźnił mnie do pewnej... powiedzmy * ??????^ może wybrać sobie z tej kolekcji leinot. poskonale się składa, że akurat jest tu tmiątka, proszę więc...

f, ujp – przerywa zaczerwieniony Broniś. – Ja

prag^ x7^* odkupić... tak przecież pisze dziad Aleksander...

an uśmiecha się dobrotliwie.

^ 'tupnie nie ma mowy, nie posiada pan monet z owej

epoki] Aż znaczą wobec tego nasze ubożuchne złotówki...

Stary tfiagazyn otrzymał nowoczesne wyposażenie, wspaniałe metalowe regały.

Opinię pracowników Biblioteki Narodowej na temat zaszłych wydarzeń streściła jednym zdaniem pani Wiktorja:

– Zdawało się, że do trzech nie zliczy, a ten gagatek trudnił się poszukiwaniem skarbów.

isi?

WYDAWNICTWO ALFA

zaprasza wszystkich czytelników

do swojej księgarni w Warszawie

przy ulicy Siennej 63

– Pan minister upowaźnił mnie do pewnej... powiedzmy transakcji. Pan Mączyński może wybrać sobie z tej kolekcji jaki zechce klejnot. Doskonale się składa, że akurat jest tu rodzinna pamiątka, proszę więc...

– Dziękuję – przerywa zaczerwieniony Broniś. – Ja pragnąłbym odkupić... tak przecież pisze dziad Aleksander...

Siwy pan uśmiecha się dobrotliwie.

– O kupnie nie ma mowy, nie posiada pan monet z owej epoki, a cóż znaczą wobec tego nasze ubożuchne złotówki...

Stary magazyn otrzymał nowoczesne wyposażenie, wspaniałe metalowe regały.

Opinię pracowników Biblioteki Narodowej na temat zaszłych wydarzeń streściła jednym zdaniem pani Wiktorja:

– Zdawało się, że do trzech nie zliczy, a ten gagatek trudnił się poszukiwaniem skarbów.

IS1?

WYDAWNICTWO ALFA

zaprasza wszystkich czytelników

do swojej księgarni w Warszawie

przy ulicy Siennej 63

?/.s . ?

Halina Popławska – Renesansowa przygoda

Włochy. Małe senne miasteczko, malownicze ruiny zamku, przepastne studnie i sekretne przejścia – oto sceneria niezwykłych zdarzeń.

Broniś, Maria i Franco szukają ukrytych dokumentów, mogących potwierdzić, że Franco jest ostatnim z rodu Sforzów. Poszukiwania stara się uniemożliwić działająca bez skrupułów markiza Bianca.

Mary Stewart – Nie draźnij kota

Bryony miała dar. Dar Ashleyów – zdolność przekazywania myśli. Od lat odbierała przekaży. Słyszała zawsze ten sam głos, ukochany głos; głos mężczyzny.

Myślała o nim jako o tajemniczym kochanku, swoim „duchowym” ukochanym. Minęły jednak lata, nim dane jej było odkryć, czyj był ów głos i na czyją miłość czekała.

A teraz mówił jej rzeczy, których nie chciała słuchać. Wydarzyło się coś

straszego i miało to związek z jej ojcem.

Kiedy Bryony dotarła do Madery do Bawarii, było już za późno. Ojciec nie żył – padł ofiarą tajemniczego wypadku na drodze. Lecz jego ostatnie słowa były skierowane do córki. Ostrzegał ją. Jej również groziło niebezpieczeństwo...

Mary Stewart – jedna z najpoczytniejszych współczesnych pisarek angielskich, w Polsce znana z powieści Prządki księżycowe i Ogary Gabriela.

Duńcan Bali – Tajemnica Selby'ego

Jest to opowieść o psie, z pozoru całkiem zwyczajnym, sympatycznym i kochanym jak inne.

Selby jednak ma dwie cechy, które go wyróżniają: po pierwsze – potrafi mówić, po drugie – dla własnej wygody postanowił trzymać swą umiejętność w głębokim sekrecie przed ludźmi.

Tajemnica Selby'ego to znakomita lektura zarówno dla dzieci jak i dla rodziców, pełna zaskakujących sytuacji, zabawnych przygód, w których sekret Selby'ego co rusz wisi na włosku. Selby bowiem obok umiejętności mówienia ma przedziwny dar nieustannego pakowania się w kłopoty.

Mary Stewart – Nie drażnij kota

Bryony miała dar. Dar Ashleyów – zdolność przekazywania myśli. Od lat odbierała przekazy. Słyszała zawsze ten sam głos, ukochany głos; głos mężczyzny.

Myślała o nim jako o tajemniczym kochanku, swoim „duchowym” ukochanym. Minęły jednak lata, nim dane jej było odkryć, czyj był ów głos i na czyją miłość czekała.

A teraz mówił jej rzeczy, których nie chciała słuchać. Wydarzyło się coś straszego i miało to związek z jej ojcem.

Kiedy Bryony dotarła do Madery do Bawarii, było już za późno. Ojciec nie żył – padł ofiarą tajemniczego wypadku na drodze. Lecz jego ostatnie słowa były skierowane do córki. Ostrzegał ją. Jej również groziło niebezpieczeństwo...

Mary Stewart – jedna z najpoczytniejszych współczesnych pisarek angielskich, w Polsce znana z powieści Prządki księżycowe i Ogary Gabriela.

Duńcan Bali – Tajemnica Selby'ego

Jest to opowieść o psie, z pozoru całkiem zwyczajnym, sympatycznym i kochanym jak inne.

Selby jednak ma dwie cechy, które go wyróżniają: po pierwsze – potrafi mówić, po drugie – dla własnej wygody postanowił trzymać swą umiejętność w głębokim sekrecie przed ludźmi.

Tajemnica Selby'ego to znakomita lektura zarówno dla dzieci jak i dla rodziców, pełna zaskakujących sytuacji, zabawnych przygód, w których sekret Selby'ego co rusz wisi na włosku. Selby bowiem obok umiejętności mówienia ma przedziwny dar nieustannego pakowania się w kłopoty.

?&????

,
WYDAWNICTWO „ALFA” – WARSZAWA 1993

Wydanie II

Skład, druk i oprawa: Zakład Poligraficzny Wydawnictwa „Alfa”

Zam. 1081/92